



MALWINA A.
TYLEWICZ

ŚMIERĆ NAD JEZIOREM

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

A winter landscape featuring a frozen lake in the foreground, with evergreen trees and mountains in the background. The scene is misty and snowy, with a reflection of the trees in a small puddle of water on the ice.

**MALWINA A.
TYLEWICZ**

**ŚMIERĆ NAD
JEZIOREM**

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

**MALWINA A.
TYLEWICZ**

**ŚMIERĆ NAD
JEZIOREM**

© Copyright by Malwina A. Tylewicz & e-bookowo
Redakcja i korekta: e-bookowo
Skład i łamanie: Ilona Dobijańska
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN: 978-83-8166-269-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I, 2022
Konwersja do epub A3M Agencja Internetowa

Prolog

Kamień ciążył mu w dłoniach. Ciepła posoka skapywała z niego powoli, wsiąkając w płaszcz leżącego na wznak mężczyzny. Palce lepiły się od potu i krwi.

Chwilowa pustka w umyśle ustąpiła miejsca wściekłości, która targała serce. Zaskoczyło go, jak łatwo można zakończyć ludzkie życie. Może to wiek albo miłość do butelki ułatwiła sprawę? Wystarczyło jedno uderzenie i pijak osunął się na deski pomostu, a przecież to nie mogło się tak skończyć. Poczul żal.

Ona tu była. Zabiła go. Tak właśnie było. Gdyby postąpiła, jak należy, nie musiałby teraz po niej sprzątać. Złość przysłoniła mu obraz przed oczami.

Wyrzucił kamień do wody. Usłyszał ciche pluśnięcie i atramentowa tafla połknęła go bezpowrotnie. Krew między palcami zaczynała zasychać. Podeszedł do krawędzi pomostu i opłukał dokładnie dłonie w lodowatej wodzie. Dopiero wtedy poczuł się lepiej. Umysł zaczął pracować na wyższych obrotach, jakby obudził się ze snu. Wrócił do ciała.

Cofnął się o krok, oceniając trupa. Wyglądało na to, że starzec najlepsze lata miał już za sobą. Wódka pozbawiła go kilkunastu kilogramów, a szeroki, brudny płaszcz dobrze ukrywał wątle ramiona. Mógł go przenieść bez trudu, musiał tylko uważać, by krew z rany na głowie nie spływała na deski pomostu.

Zanim przykucnął, rozejrzał się jeszcze wokół półprzytomnym wzrokiem. Nic.

Schylił się więc, aby podnieść ciało. Trzeba było je ukryć, zanim ktoś przyjdzie.

Stary, niebieski autobus dalekobieżny zatrzymał się w wyznaczonej zatoczce z ostrym piskiem zużytych tarcz hamulcowych. Kaszlnął dwa razy, po czym przeszedł na jałowy bieg.

Ze środka wysiadło kilka osób, przeważnie obciążonych niebieskimi torbami z żółtym logiem. Rozeszli się po niewielkim rynku, znikając w bocznych uliczkach. Na przystanku została samotna kobieta. W ręce dzierżyła niewielką walizkę.

Weronika zmarszczyła brwi. Chłód powoli kończącego się dnia wdzierał się pod płaszcz. Powiodła spojrzeniem po niewysokim budynku ratusza, w cieniu którego stała, po niskiej i zwartej zabudowie placu stanowiącego rynek w Moczycach. Jako młoda dziewczyna obiecała sobie, że nigdy tu nie wróci. Jak wiele obietnic w życiu, tę też złamała.

Wyciągnęła komórkę i wyświetliła zegar. Do spotkania nad jeziorem została jej nieco ponad godzina. Czuła, jak w żołądku stopniowo narasta ucisk świadczący o zdenerwowaniu. Odetchnęła głęboko zimnym powietrzem, próbując się uspokoić. Nie mogła dopuścić, by widział ją w tym stanie. Nie chciała dać mu tej satysfakcji.

Ruszyła przed siebie, ciągnąc terkoczącą walizkę. Miała nadzieję, że pamięć jej nie myliła i znajdzie urząd pocztowy bez niepotrzebnego kręcenia się po okolicy. Minęła kilku przechodniów, którzy nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Próbowwała dostrzec ich twarze w zapadającym zmierzchu, zastanawiając się, czy zna któregoś z nich. W Mroczykach nie było jej od dziesięciu lat i pamięć mogła płatać figle. Nie kojarzyła nikogo. Oni też zdawali się jej nie poznawać.

Na pocztę dotarła bez problemu. Żółto-czerwony szyld pysznił się nad niewielkimi, brązowymi drzwiami. Przed wejściem stało kilka osób, rozmawiając z ożywieniem. Oni także nie zwrócili na Weronikę najmniejszej uwagi. Wyminęła ich i weszła do środka. Jasno oświetlone pomieszczenie było nieduże, a stojąca przy ladzie grupka zajmowała większość miejsca.

— Przepraszam, ale kolejka jest odtąd — zaszczębiotała młoda kobieta z garścią pełną pocztówek.

Weronika spojrzała na nią zaskoczona.

— Ja nie kupuję... — Uśmiechnęła się do niej przepraszająco.

— Pani dopiero wybiera? — zapytała tamta, mierząc ją wzrokiem od czubka brązowych włosów po czarne botki i granatową walizkę. Wskazała w stronę stojaka przy oknie, gdzie stała jakaś para dziewczyn odwrócona do nich tyłem. — Tam są ładne pamiątki, ale strasznie drogo wychodzą. Lepiej kupić pocztówkę — poradziła.

Weronika kiwnęła nerwowo głową i ruszyła w głąb sali. Nie zamierzała wyjaśniać kobiecie, po co przyszła na pocztę. Obawiała się, że tylko pogorszyłaby sytuację. Przecisnęła się obok starszego pana z płaszczem przewieszonym przez ramię, rozmawiającego z równie wiekową panią, trzymającą w ręce gipsowy odlew starego grodu, oraz dwóch innych kobiet wybierających pocztówki. Wreszcie udało jej się dotrzeć do lady.

— Hania? — zawołała niepewnie, próbując za wysokim kontuarem dojrzeć ekspedientkę.

— Wera? Cześć! — zawołała dziewczyna zza lady, przerywając wystukiwanie czegoś na klawiaturze komputera. Wskazała drzwi oddzielające kolejkę od wnętrza dla pracowników. — Chodź tu do mnie.

— Cześć, ale masz ruch. — Weronika weszła do środka, starając się nie zwracać uwagi na niechętnie spojrzenia czekających na obsłużenie. — Nie myślałam, że tu tyle ludzi przychodzi.

— Sami turyści. — Wskazała na klientów. — Mroczyce zyskały rozgłos dzięki ruinom

grodu nad jeziorem. Sporo się zmieniło, odkąd wyjechałaś.

— Czy pani może skasować mnie do końca? — zapytała z pretensją panna stojąca najbliżej.

— Pani się nie gorączkuje — mruknęła spokojnie Hania. — To i tak jedyne miejsce, gdzie może pani kupić pamiątki.

Kobieta prychnęła niezadowolona. Weronika dyskretnie spojrzała na zegarek. Do spotkania została jej niecała godzina. Musiała jednak jeszcze dojść nad jezioro.

— Może wrócę później — zaproponowała nieśmiało. — Zostawię tylko walizkę.

— Daj spokój. Nie martw się tym, co mówią.

Hania mimo swoich słów wydrukowała paragon i wydała kobiecie resztę. Odwróciła się ponownie do Weroniki, spostrzegła bagaż i wsunęła go pod stolik.

— Czy ma pani te przypinki w innych kolorach? — zapytała natychmiast następna klientka.

Hania znudzonym gestem wzięła stojak z przypinkami przedstawiającymi jezioro w Mroczycach i stary gród na różnego koloru tłach i podała go kobiecie. Gdy tamta zajęła się wybieraniem, ponownie odwróciła się do Weroniki.

— To mów, co u ciebie. Nie było cię dziesięć lat.

— Byłam na ślubie Elizy i Piotra — rzuciła w usprawiedliwieniu.

— Tak, ale ślub twojej siostry był ponad sześć lat temu i to nie było w Mroczycach. Nawet się tu na chwilę nie pokazałaś.

— Nie było czasu...

— A czy te niebieskie są w tej samej cenie? — przerwała im klientka.

— Tak, w tej samej — odparła cierpliwie Hania.

— Ja przyjdę później — odezwała się szybko Weronika. Siedziała jak na szpilkach pod miażdżącymi spojrzeniami zniecierpliwionych turystów.

— Czekaj, gdzie się tak spieszysz? — Hania chwyciła ją za rękę i zatrzymała w miejscu.

— Przejdę się, masz pełno ludzi. — Wskazała na salę.

— Teraz, po ciemku?

— Haniu...

— No dobrze. — Dała za wygraną. — Może idź na rynek. Piekarnia chyba jest jeszcze otwarta — zaproponowała. — Paweł ją teraz prowadzi, odkąd pani Wiesia zmarła.

— Co ty...

— No co ja — mruknęła Hania, uśmiechając się znacząco. — Ja tylko mówię.

Weronika poderwała się z miejsca, jakby ją prąd trzepnął.

— Nie będę mu się narzucać zaraz po przyjeździe, on... — zawahała się, szukając dobrego argumentu. — Pewnie ma dziewczynę!

— Nie ma — odparła natychmiast Hania. — Przez chwilę była jakaś, ale teraz jest sam. Idź do niego.

— Daj spokój.

Weronika zmarszczyła brwi i spojrzała na szkolną przyjaciółkę z wyrzutem. Hania zerknęła na zegar wiszący na ścianie.

— Za chwilę będzie zamykał.

Weronika podążyła za jej wzrokiem. Wskazówki przebyły spory szmat drogi, odkąd ostatnio na nie patrzyła. Poczowała przyływ adrenaliny. Spotkanie! Musiała natychmiast iść nad jezioro.

— Do zobaczenia — rzuciła, kierując się szybkim krokiem w stronę drzwi.

— Pozdrów go ode mnie! — zawołała Hania.

Klienci odprowadzili Weronikę ciekawskimi spojrzeniami.

Kobieta stanęła przed pocztą. Wiosna jeszcze na dobre nie zawitała i dni nadal były krótkie. Otoczyła ją ciemność, z rzadka rozświetlana starymi lampami. Rozejrzała się po opustoszałej ulicy, zastanawiając się, jak najszybciej dotrze nad jezioro. Lata nieobecności zatępiły w jej pamięci większość ścieżek w Mroczykach. Przygryzła wargę, niepewna. W końcu uznała, że nie ma to znaczenia, którądy pójdzie, i pospiesznie ruszyła ulicą. Ręce schowała do kieszeni płaszcza. W jednej z nich trafiła na znajomy, prostokątny kształt. Ścisnęła mocniej w dłoni taser. Poczuli się odrobinę pewniej.

Po chwili marszu trafiła ponownie na rynek. Spojrzała na zegar nad wejściem do ratusza. Wskazywał prawie pełną godzinę. Serce zabiło jej mocniej. Już za chwilę miało się wszystko rozegrać. Skręciła i puściła się niemal biegiem w dół, w stronę jeziora.

Dzwonek odezwał się wesoło. Paweł odetchnął z ulgą. Ostatni klient właśnie zamknął za sobą drzwi. Wokół zrobiło się nagle cicho i spokojnie. Przez chwilę rozglądał się po sali. Słońce schowało się za kamieniczkami po drugiej stronie placu i do pomieszczenia powoli sączyła się szarówka. Uśmiechnął się do własnych myśli. Bez pani Róży trajkoczącej jak katarynka i z powodzeniem zastępującej radio, było tu wręcz martwo.

Przeszedł się po sali i zgarnął ze stolików pod oknem brudne filiżanki. W głowie planował już kolejne zadania. Musiał jeszcze zebrać z wystawowych koszy resztę towaru — w drodze do kuchni rejestrował, ile tego jest. Zapowiadało się na dobry utarg, bo zostało niewiele. Później czekało go sprzątnięcie, zbilansowanie kasy, przygotowanie kilku zaczynów na ciasto, żeby o świcie miał z czego zrobić pierwsze wypieki. No i potykacz — ciągle o nim zapominał.

Odstawił naczynia do zmywarki i zaczął zbierać koszyki z pieczywem. Dla miłośników zwiedzania wiosna najwyraźniej już przyszła, bo w Mroczycach, pomimo chłódów, pojawiły się pierwsze wycieczki, zmierzające do ruin pobliskiego grodu — największej atrakcji turystycznej okolicy. Paweł Wrona najlepiej widział to w utargu. Choć po drugiej stronie placu otworzono kawiarnię, często gościli u niego turyści zlaknieni domowych słodkości. To dlatego postawił pod oknem stoliki — zmieściły się tylko trzy — i zainwestował w porządny ekspres do kawy.

Paweł policzył drożdżówki oraz bułki, które włożył do jednego koszyka i westchnął ciężko.

— Oby Krzysiek szybko skończył te swoje poprawki — wymruczał do siebie. — Inaczej będziemy mieli kłopoty.

Odstawił wszystko do kuchni i zabrał się za kasę. Kilka minut później chwycił miotłę. Sprzątnął między stolikami i wyprostował się, czując ból w plecach. Jego wzrok spoczął na zdjęciu zawieszonym na ścianie. Pani Róża miała rację, powinien je dawno zdjąć, nie pasowało do wystroju. Ścisnął trzonek miotły, próbując zmusić się do ruchu.

Nie, to jednak nie był ten moment. Przed oczami stanęły mu wspomnienia.

*

Było letnie popołudnie, skwar lał się z błękitnego nieba, w powietrzu unosił się zapach wody. Pośród szumu drzew słychać było śmiech dziewczynki biegnącej po pomoście. Jej bosa stopy dudniły równo.

— Chodź! — krzyknęła. Dobiegła do końca i z radosnym piskiem skoczyła do wody na bombę.

Pobiegł za nią, ile sił w nogach. Pęd powietrza sprawił, że zrobiło mu się odrobinę chłodniej. Jego stopy uderzały w rozgrzane deski pomostu. Wybił się z krawędzi najwyżej, jak potrafił. O wiele wyżej niż ona. Zwinął się, przyciągając kolana do piersi i oddając się swobodzie lotu. Jego ciało w ułamku sekundy spadło do wody. Uderzenie było silne. Tafla natychmiast zamknęła się nad jego głową. Zimna woda wdzierła się do nosa i uszu. Wstrzymując oddech, rozprostował się i wybił w górę, do światła. Gdy tylko pokonał barierę, usłyszał jej śmiech. Śmiała się do rozpuku.

— Okej, wygrałeś. — Przesunęła dłonią tuż pod powierzchnią, ochlapując go wodą. — Ale mnie nie prześcigniesz.

— Założysz się?

— Jak wygram, będziesz moim sługą!

— Jak ja wygram, to wejdiesz na jabłonkę i wykrzyczysz, że jestem mistrzem!

— Niedoczekanie. Do boi i z powrotem, kto pierwszy! — Wskazała czerwoną kulę na środku jeziora. Była daleko, ale nie zamierzał dać jej satysfakcji. Kiwnął głową i dwoma płynnymi ruchami zrównał się z nią na wyimaginowanej linii startu. Dziewczynka się uśmiechnęła.

— Nie masz szans...

— Wera! — Męski głos gdzieś z oddali sprawił, że oboje zamarli. — Wera, do cholery!

Z twarzy dziewczynki zniknęła radość. Popatrzyła na niego, jakby szukała pomocy. Nawoływanie było coraz bliżej.

— Wracajmy — powiedział w końcu.

Weronika kiwnęła głową i odwróciła się w stronę pomostu. Popłynął za nią. Z każdym ruchem czuł, jak chłód otacza ciało. Zimna woda wywoływała kolejne fale dreszczy, aż w końcu zaczął szczerkać zębami.

*

Paweł otrząsnął się ze wspomnień. Spuścił wzrok, aby nie patrzeć na zdjęcie. Energicznymi ruchami zebrał śmieci na szufelkę i wyrzucił. Odstawił sprzęt do schowka, zadowolony, że udało mu się wreszcie skończyć. Już chciał zabrać się za robienie zaczynu, kiedy przypomniał sobie o potykaczu. Odstawił miski na stole w kuchni i ruszył przez salę na zewnątrz. Może i mógł zostawić go na ulicy, raczej nikt by się nie pokusił, ale nie chciał, aby nocna wilgoć i chłód zniszczyły drewnianą konstrukcję oraz starannie kaligrafowany napis. Nie po to męczył się przez kwadrans, aby jutro miał powtarzać tę czynność.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Wcześniej tego nie zauważył, bo w piekarni wszystkie światła były pozapalane. Wyszedł w ciemność, uważając i patrząc pod nogi na niewielkim granitowym stopniu przed sklepem. Chłód wiosennej nocy przeszył ciało osłonięte tylko koszulką. Chwycił stojak. Odwrócił się, chcąc jak najszybciej wrócić do ciepłego wnętrza i wtedy ją zobaczył. Zamarł w połowie ruchu, o mało nie spuszcżając sobie ciężaru na nogi.

Stała przed sklepem na chodniku. Zaledwie kilka kroków od niego. Półmrok rozświetlonego tylko kilkoma ulicznymi lampami placu nie zwiódł jego wzroku. Niewysoka, drobna postura, małe dłonie ściskające przed sobą torebkę, ramiona opatulone brązowym szalem współgrającym z orzechowymi włosami, gładko zaczesanymi do tyłu. Mocno zarysowane kości policzkowe, wąskie usta i wielkie ciemne oczy.

W głowie huczało mu od błyskawicznie przebiegających myśli. Widział ją dziś, gdy wysiadała z autobusu, ale po tym, co się stało, w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że przyjdzie do niego. Miał do niej tyle pytań, ale żadne jakoś nie chciało przecisnąć się przez usta. Bał się, że jeśli je zada, dziewczyna ucieknie, a on nie dowie się niczego. Nie zatrzyma jej, bo przecież nie będzie się z nią szarpał na ulicy. A jeśli jeszcze ktoś by ich zobaczył? Rozejrzał się nerwowo w obawie, że w każdej chwili może nadejść jakiś mieszkaniec i przerwać to niespodziewane spotkanie. W panice szukał w głowie słów. Nic nie wydawało się odpowiednie. Spojrzał na nią jeszcze raz. Stała tam nadal, ale coś się w niej zmieniło. Zaciśnęła usta w wąską kreskę i cofnęła się.

— Cześć — zaryzykował.

— Cześć — odparła po chwili. Po jej twarzy przebiegł cień nerwowego uśmiechu.

Paweł rozluźnił się odrobinę. Pierwsza bariera jakby powoli kruszała. Odstawił potykacz i otworzył przed nią drzwi piekarni.

— Wejdiesz?

Zawahała się, ale ruszyła do środka. Otrzeptała ubłocone buty na metalowej wycieraczkę. Kiedy przechodziła obok, poczuł zapach jej perfum, świeży jak kwiat pomarańczy.

Zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz. Nie zwróciła na to uwagi. Rozwinęła szalik na szyi i weszła głębiej. Rozglądała się dyskretnie, ale z zaciekawieniem. Paweł poczuł, że musi czymś zająć ręce, aby nie próbować jej dotykać, choćby tylko po to, żeby przekonać się, czy jest prawdziwa.

— Chcesz kawy? — uświadomił sobie, która jest godzina i zmienił pytanie. — Herbaty?

— Kawy, chętnie — odparła, spoglądając na niego śmiejąc się.

Wszedł za ladę, ściągnął z półki świeże filiżanki i zaczął przygotowywać napój. Przez chwilę salę wypełniły trzaski i warkoty wydobywające się z ekspresu. Mieli trochę czasu, aby oswoić się z sytuacją. Spoglądał ukradkiem na swojego gościa. Nie widział jej prawie dziesięć lat. Z licealistki stała się kobietą.

Zdjęła płaszcz, przysiadła przy jednym ze stolików. Razem z szalikiem i torebką odstawiała wszystko na sąsiednie krzesło. Rozglądała się po sali z uznaniem. Jedyne gdy spostrzegła zdjęcie, jej oczy zmrużyły się w wąskie szparki. Zastanawiał się, czy ich rozpoznała. Czy pamiętała tamto lato, kiedy spędzali prawie każdy dzień nad jeziorem przy ruinach grodu. Wymyślali tak dziwne i niebezpieczne zabawy, że gdy teraz je wspominał, włos jeżył mu się na głowie.

Filiżanki napełniły się aromatyczną kawą. Paweł odetchnął głęboko.

— Wiele się zmieniło, odkąd byłeś tu ostatni raz. — Uśmiechnął się łagodnie.

— To prawda — przytaknęła, odbierając od niego napój. Miała zimne dłonie. Musiała stać na zewnątrz od jakiegoś czasu, żeby wyziębić się aż tak bardzo. — Ładnie to urządziłeś. Wiedziałam, że ci się uda.

Uśmiechnęła się do niego, a on rozptywał się pod siłą jej uroku. Zakopane głęboko w sercu uczucia wróciły do niego jak starzy przyjaciele, których nie widział od lat.

— Bez przesady — próbował zbagatelizować, czując jak zaczyna się rumienić. Dawno nikt go nie chwalił. — Odmalowałem i postawiłem kilka stolików. To było parę lat temu, teraz przydałby się już porządny remont... Może jesienią?

Bezwiednie rozejrzał się po sali, uświadamiając sobie, że wewnątrz rzeczywiście przydałoby się odświeżenie. Kiedy odziedziczył piekarnię po babci Wiesi, trochę bał się cokolwiek zmienić, aby przyzwyczajeni klienci nie stracili zaufania. Już i tak część patrzyła na młokosa, który postanowił prowadzić piekarnię, jak na najbardziej podejrzaną jednostkę w okolicy. Pomyślałby kto, że chce ich wszystkich otruć. Nie wierzyli, że mu się uda. Jak na złość minęło osiem lat, a on nadal się trzymał.

— Zawsze brakowało ci poczucia własnej wartości — mruknęła półgłosem.

Spojrzał na nią zaskoczony. Popijała spokojnie kawę małymi łydkami, ale dłonie lekko jej drżały. Zastanawiał się, czy spowodowało to długie oczekiwanie na zewnątrz, czy był to efekt ich spotkania. Kiedy się przyjrzał, spostrzegł, że za spokojną fasadą była wyraźnie spięta. Siedziała na krawędzi krzesła, jakby zamierzała za chwilę wyjść. Ta myśl go poraziła.

Po raz kolejny się przełamał, szukając odpowiedniego tematu do rozmowy.

— Co cię sprowadza na stare śmieci? — spytał, siląc się na beztroski ton.

— Moja mama nie żyje — odparła po chwili — ale to pewnie wiesz...

Kiwnął głową. W Mroczycach nie uchowała się prawie żadna tajemnica. Zgony, narodziny, rodzinne niesnaski i kłótnie. Nawet jeśli człowiek się nie interesował, to samo przychodziło. Najczęściej pod postacią pani Róży dbającej o doinformowanie mieszkańców.

Paweł zastanowił się przez chwilę, rozważając, jak powinien zareagować. Nie chciał wzbudzać bolesnych wspomnień.

— To było jeszcze przed Bożym Narodzeniem — wypalił z lekkim zdziwieniem. Po chwili uświadomił sobie, jak głupio zabrzmiała jego wypowiedź, więc spróbował się

wytłumaczyć. — To cztery miesiące, zjawiasz się dopiero teraz?

Weronika przygryzła wargę. Odstawiła filiżankę na spodek i sięgnęła po płaszcz.

— Powinam już iść, to nie był dobry pomysł — rzuciła szybko, nerwowo próbując w płataninie rzeczy odnaleźć szalik.

— Czekaj. — Sięgnął przez stół w jej kierunku. Odsunęła się gwałtownie, więc cofnęła rękę. — Nie miałem nic złego na myśli, nie musisz się tłumaczyć.

Weronika zamarła w pół gestu. Odłożyła trzymany płaszcz.

— Byłam na pogrzebie — przyznała po chwili. — Myślałam, że już tu nie będę musiała wracać, ale został jeszcze dom.

— Eliza chce go chyba sprzedać, widziałem ogłoszenie.

— Tak, ale to też mój spadek i muszę podpisać papiery, a moja siostra uparła się, że trzeba to zrobić tutaj.

— Jej mąż, Piotr, szukał kupca przez dłuższy czas. Słyszałem, że zatrudnili nawet jakiegoś agenta z okolicy. To stary dom, a na takie niełatwo znaleźć chętnych, tu kupuje głównie deweloperka i raczej na obrzeżach niż w centrum miasteczka, ale wasz dom miał chyba spory ogród?

— Tak. — Weronika przytaknęła, wpatrzona w prawie pustą filiżankę. — To był spory teren.

— Eliza chyba nie chciała go remontować, dlatego go sprzedają — mówił dalej, tylko po to, aby nie zapadła krępująca cisza. — Nie wyglądało, jakby była specjalnie do niego przywiązana. Kiedy wyszła za mąż, natychmiast się wyprowadziła.

Patrzył, jak Weronika wyprostowała się na krześle, wypila resztę kawy, a jej dłoń znów powędrowała w stronę torebki. Chciała wyjść. Oblał go zimny pot. Szukał w pamięci czegoś, co powinien powiedzieć, jak na egzaminie, do którego się nie przygotował. Coś, co zapobiegnie katastrofie, jaką będzie jej odejście.

— Nie szkoda ci? Wspomnień?

Jak tylko wypowiedział te słowa, miał ochotę palnąć się w łeb. Przecież doskonale wiedział, że nigdy nie czuła się tam dobrze. Uciekała stamtąd przy każdej okazji. Nie znosiła ojca, który w końcu, ku uciesze wszystkich, je zostawił. Podobnie myślała o matce, która się z nim rozwiodła i bardziej interesowała się sobą niż dziećmi i domem.

Spojrzenie kobiety przeszło go jak stalowe ostrze. Filiżanka stuknęła o spodek zdecydowanie za mocno.

— Nie, tego domu mi nie szkoda — odparła zimno.

— Wybacz, Weroniko.

Powiedział to tak szczerze, że uszło z niej całe powietrze. Znów przygarbiła się lekko. Nagle wydała mu się krucha i delikatna, jak dziecko. Sprawiała, że miał ochotę się nią zaopiekować. Gdyby tylko mógł zatrzymać ją na dłużej, może ich relację udałoby się odbudować.

— Gdzie się zatrzymasz? Nie w domu — stwierdził.

— Nie — przyznała. — Jest zamknięty i wysprzątny, czeka na nowego właściciela.

Paweł się uśmiechnął. Właśnie wpadł na wspomniały, jak mu się wydawało, pomysł.

— To może u mnie? Mieszkam na górze, tam, gdzie kiedyś babcia.

Wskazał palcem na sufit. Weronika przechyliła lekko głowę, zastanawiając się. Kiedy się odezwała, starannie dobierała słowa, jakby nie chciała go urazić. Paweł poczuł ukłucie żalu, ale trwało to zaledwie chwilę.

— Planowałam raczej zatrzymać się u Hani. Byłam u niej wcześniej na moment. Teraz pracuje na poczcie... ale to też wiesz — kontynuowała lekko zażenowana, przypominając sobie,

że to ona przyjechała, on żył tu przez cały czas i o mieszkańcach przecież wie wszystko. — Zostawiłam u niej rzeczy, żeby nie nosić ich ze sobą.

— Hania ma męża i dwójkę dzieci, a wszyscy gnieźdzą się w trzech małych pokojach w starym domu. — Pokręcił głową, starając się, aby jego prawdziwe uczucia nie odbiły się na twarzy zbyt wcześnie. — Nie mają miejsca nawet dla siebie. Ja, co prawda, mam dwa pokoje, ale jestem sam, mam dość przestrzeni.

— To nie jest chyba...

— Obiecuję, że nic ci nie zrobię — przerwał jej, nim zdążyła skończyć. Podniósł dłonie w obronnym geście. — Możesz spać w sypialni, ja przenocuję na kanapie w salonie.

Twarz Weroniki zmieniała się powoli. Walczyła ze sobą przez chwilę. Widział, jak pomimo początkowych oporów, pomysł podobał jej się coraz bardziej.

— Ale ja już powiedziałam Hani...

— Nie obrazi się, znasz ją. — Uśmiechnął się, po czym zagrał swoją ostatnią kartą. — Hania dopiero niedawno wróciła do pracy po porodzie. Chcesz nocować pod jednym dachem z niemowlakiem? Nie zmrużysz oka.

— Hania ma takie maleństwo? — Weronika, ku przerażeniu Pawła, rozczuliła się nagle. Jego słowa wywołały zupełnie odwrotne działanie od zamierzonego. Teraz wyglądała, jakby miała natychmiast ruszyć na spotkanie płacznego bobasa, o którym sama Hania, ukazując oblicze z oczami przypominającymi pandę, mówiła jak o małym tyranie.

— No... tak. Nie wiedziałas?

— W sumie... nie pomyślałam — przyznała po chwili refleksji. Pokręciła głową. — Hania wspominała w mailach, że rodziła. Zupełnie nie pomyślałam, że tak mało czasu minęło. Nie utrzymujemy stałego kontaktu — dodała w usprawiedliwieniu.

Weronika spojrzała odruchowo na zegarek i zbladła.

— Przecież ja nie mogę się tam pokazać o takiej porze — wyszeptała przerażona, uświadamiając sobie, jak nierozsądnie postępuje. Hania od dawna musiała na nią czekać, a ona nie dała jej znaku życia. Czas od wyjścia z poczty do teraz, zdawał się zaledwie koszmarnie krótką chwilą. Tyle się wydarzyło. Nie zauważyła, jak późno się zrobiło.

— Dokładnie — podchwycił, zanim zdołał sam pomyśleć, po czym kontynuował już płynnie: — Przenocujesz tu, a jutro odbierzesz walizkę. Chyba że chcesz iść po nią teraz...

Weronika zawahała się.

— Nie — odparła, wreszcie dając za wygraną. — Dziś już jest zbyt późno, nie chcę ich niepokoić. Jeśli nie masz nic przeciwko, przenocuję u ciebie. Mam nadzieję, że masz jakąś szczoteczkę do zębów?

— Jasne!

Paweł poczuł, jak nagle wzbiera w nim radość, o mało nie klasnął w dłonie. Zerwał się z krzesła, aż zadźwięczała zastawa. Weronika przytrzymała odruchowo stół. Widać było, że rozbawiła ją ta spontaniczna reakcja.

Serce zabiło mu szybciej. Uświadomił sobie, że było późno, dawno powinien już nastawić zaryn, nie zdąży na rano. Szybko jednak odsunął tę myśl. Teraz co innego było ważne. Przecież nie zostawi Weroniki samej. Odwrócił się i uśmiechnął do niej.

— Chodź. Wszystko ci pokażę. A może jesteś głodna?

Zatrzymał się gwałtownie. Pokiwała głową, ale zdawało mu się, że robi to bez przekonania. Nie był pewien, czy nie chciała robić mu kłopotu, czy rzeczywiście nie była zbyt głodna. On sam poczuł lekkie ssanie. Teraz, gdy miał Weronikę w swoim domu i wiedział, że przynajmniej na razie mu nie ucieknie, stres odrobinę ustąpił.

— Zabiorę coś z kuchni i spotkamy się przy schodach. Trafisz?

— Tak.

Chwilę później zgarnął z kuchni kosz z pozostałymi drożdżówkami i popędził na górę. Może nie była to wykwinna kolacja, ale musiało wystarczyć.

Weronika czekała na niego na szczycie schodów, znów ściskając kurczowo torebkę. Gdy zobaczył jej twarz, przeraził się, że się rozmyśliła i chce uciec.

Obudziła się gwałtownie i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Nieznane łóżko, zapach i pokój. Potrzebowała trochę czasu, żeby przypomnieć sobie wydarzenia wcześniejszego wieczoru. Odwróciła się na plecy i wpatrując w sufit, rozmyślała o swojej głupocie. Kiedy przyszła pod piekarnię, wiodła ją ciekawość. Przez jakiś czas obserwowała z perspektywy ulicy, jak Paweł krzątał się po rozświetlonym wnętrzu. Nie była pewna, czy powinna się z nim spotykać, a już z pewnością nie zamierzała nocować. Później wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planowała, wystarczyło, że wyszedł do niej. Nim się obejrzała, spędzili sporo czasu na rozmowie. W zasadzie to on mówił. Opowiadał o ich dawnych przyjaciółach i tym, jak potoczyło się życie w miasteczku, kiedy jej nie było. Kilka razy próbował o nią pytać, ale Weronika nie podjęła tematu, więc taktownie zrezygnował. Przez większość czasu snuł niezobowiązujące opowieści o przeszłości. W końcu koło czwartej przyznał, że musi zejść na dół. Poprosił, żeby na niego nie czekała. Była zmęczona wydarzeniami całego dnia, więc tak zrobiła. Położyła się i natychmiast zapadła w sen.

— Głupia kobieto — wycodziła przez zęby, podnosząc się i siadając na łóżku. Przetarła oczy dłońmi i przeczesła palcami splątane włosy. Rozejrzała się przytomniej. Paweł oddał jej swoją sypialnię. Pokój był czysty i prawie pusty, nie licząc łóżka, niewielkiego stolika obok, pełniącego rolę szafki nocnej, i starej szafy w rogu, pamiętającej młodość jego babci.

Weronika wysunęła się spod kołdry i szybko przebrała się we wczorajsze ubrania. Dopiero wtedy otworzyła drzwi i stanęła w progu salonu. Pokój był przechodni. Po lewej szerokie okna wychodziły na rynek, po prawej miała wyjście na niewielki korytarzyk łączący łazienkę i kuchnię z salonem. Wychodził na wąską klatkę, prowadzącą na tył piekarni. Poczula stamtąd słodki zapach pieczywa. Uświadomiła sobie, że Paweł musiał być na nogach od dawna. Szybko przeszła do łazienki. Umyła się i wykonała lekki makijaż zapasowymi kosmetykami z torebki. Dopiero gdy wracała do sypialni, spostrzegła w salonie na stole talerz z drożdżówkami, których nie zdołali zjeść wczoraj. Były lekko zeschnięte, ale i tak z przyjemnością wbiła zęby w jedną z nich. Głód sprawił, że nie była wybredna.

Gdy już upewniła się, że wygląda jak człowiek i zaspokoila głód, odważyła się zejść na dół.

*

— Jak to nie ma bułeczek cynamonowych?

— Przepraszam, dziś mam mocno okrojona ofertę. — Paweł uśmiechnął się przepraszająco do pani Róży, czym odrobinę załagodził jej złość, ale starsza kobieta nie zamierzała łatwo ustąpić.

— Rogalików z nadzieniem miętowo-czekoladowym też nie widzę — zrzędziła. — Dziś wtorek, a ty nic nie masz. Co się stało?

Zmierzyła Pawła wzrokiem tak przenikliwym, że poczuł się jak uczeń. Wolał się jednak nie odzywać, bo wiedział doskonale, że wystarczyło jedno nieopatrzone zdanie, aby pani Róża domyśliła się wszystkiego. Jakoś na razie nie miał ochoty tłumaczyć jej wczorajszej wizyty Weroniki. Dla niego samego było to jak sen i gdyby nie poszedł na górę tuż przed otwarciem i nie zajrzał do sypialni, pewnie sam by sobie nie wierzył.

— Przepraszam — powtórzył po raz setny tego dnia. — Zaspałem i nie zdążyłem przygotować niektórych rzeczy.

Pani Róża zmrużyła oczy. Mogła z powodzeniem przewiercić go na wylot.

— Marnie wyglądasz, Pawełku — stwierdziła bez oporu. — Nie jesteś chyba chory? Może ty się za słabo odżywasz? Tacy młodzi jak ty, to o zdrowe jedzenie nie dbają.

— Wszystko w porządku, pani Rózo, to chwilowa niedyspozycja.

— Może ty masz temperaturę? — Nie ustępowała.

— Nie, pani Rózo.

— Pawełku, ja ci dobrze radzę, zadbaj o siebie, żeby cię jakieś choróbko nie wzięło. Ja mam na takie początki przeziębienia doskonały sposób, to jeszcze od mojej mamy — tłumaczyła, nie zważając na zniecierpliwienie innych klientów i samego Pawła. — Weź trochę czosnku i cebuli i zetrzyj na tarce, wyciśnij sok z cebuli, do tego trochę miodu. Zmieszaj i jedz po łyżce, trzy razy dziennie. Wzmacnia i zapobiega chorobom. Mówię ci, to stary, sprawdzony sposób, mi zawsze pomaga.

— Dziękuję za radę, pani Rózo — odparł, starając się, aby nie zabrzmiało to ostentacyjnie.

Do lady podeszły dwie dziewczynki z tornistrami i położyły na blacie swoje zakupy, czym wybawiły Pawła przed dalszymi niewygodnymi pytaniami i potrzebą odpowiadania staruszce. Pani Róża pozostała jeszcze chwilę, a potem wreszcie znudzona przeniosła się do stolika pod oknem. Odetchnął z ulgą, gdy zajęła się rozmową z sąsiadką.

Zdażył skasować dwie osoby, nim usłyszał dzwonek piekarnika. Ruszył szybko na zaplecze, aby wyciągnąć kolejną partię bułek. Przez wczorajsze wydarzenia dziś był mocno w niedoczasy. Zdażył tylko przygotować część pieczywa z podstawowego zakresu i wciąż nie wypiekł wszystkiego. Przez cały ranek biegał od kasy do pieca i z powrotem, zastanawiając się, jak mógł kiedyś pracować sam, zanim przyjął do pomocy Krzyśka — chłopaka raptem piętnastoletniego, który pomagał mu na co dzień przed i po szkole. Teraz jednak Krzysiek miał jakieś egzaminy i przez najbliższy tydzień nie mógł przychodzić. Paweł miał wątpliwości, czy uda mu się przetrwać do jego powrotu.

Wyciągnął z pieca blachę i odstawił na stół. Bułki, pięknie przyrumienione, lekko parowały. Jednym wprawnym ruchem zsunął wszystkie do wiklinowego koszyka i zabrał się za rozkładanie następnej partii. Z daleka słyszał, jak za ladą tworzy się już kolejka.

— Cześć — usłyszał obok i o mało nie oparzył się gorącą jeszcze blachą.

— Cześć — odparł szybko. Podniósł wzrok. Weronika stała przy schodach.

Poczuł ukłucie niepewności. Miała na sobie płaszcz, a przez ramię przewieszoną torebkę. Wyglądało na to, że zamierzała wymknąć się tylnymi drzwiami. Pomyślał, że nie chciała się z nim spotkać. Może żałowała wczorajszej wizyty i nie miała zamiaru wracać do piekarni.

— Wychodzisz? — rzucił z lekkim wyrzutem. — Chyba nie chciałaś wyjść bez pożegnania?

Dziewczyna odwróciła się w stronę sali sprzedaży, zerkając ukradkiem na zniecierpliwionych klientów.

— Masz chyba dużo pracy — stwierdziła. — To przeze mnie, prawda? — domyśliła się. — Babcia Wiesia zawsze mówiła, że trzeba zaczynać wcześniej, a ja przyszłam wczoraj prawie w nocy.

Nie wiedział co odpowiedzieć. Stał z ciastem powoli przeciekającym mu przez palce. Nie chciał, żeby wychodziła, bo nie miał pewności, czy jeszcze ją zobaczy. Z drugiej strony nie podobało mu się, że tak szybko zniknęła. Mogła przynajmniej podziękować za gościnę, zamiast wymykać się nad ranem, unikając spotkania. Poczuł się jak facet na jedną noc, odrobinę oszukany.

— Nie. — Pokręcił głową, siląc się na uśmiech. Wciąż czuł narastający w trzewiach strach. — Cieszę się, że przyszedłeś, mogliśmy przynajmniej trochę pogadać. Nie chcę cię zatrzymywać, chyba się spieszysz. — Wskazał głową drzwi wyjściowe.

Weronika spojrzała na niego z nieskrywanym wyrzutem. Powoli odstawiła torebkę i zdjęła płaszcz. Podeszła bliżej, zakasując rękawy.

— Pomogę ci. Wypiekę to, a ty idź do klientów. — Wyciągnęła dłonie w oczekiwaniu, że odda zdeformowane kawałki ciasta.

Paweł otworzył usta lekko zaskoczony. Jeszcze przed chwilą sądził, że przed nim uciekała, teraz proponowała pomoc. Miał ochotę ją przytulić, choćby po to, żeby upewnić się, że to nie jest sen i Weronika naprawdę tu jest. Ta sama ciepła, troskliwa dziewczyna, którą kochał od lat. Gdyby nie oblepione ciastem dłonie, pewnie by się nie powstrzymał.

— To za ciężkie, lepiej, żebyś pomogła na kasie — zaprotestował słabo.

— Nie. — Weronika pokiwała głową, jej głos przybrał cierpkie tony. — Jak mnie zobaczą, zaraz zaczną się plotki. A to nie jest takie trudne, muszę tylko wyłożyć ciasto i wsunąć do pieca. Poradzę sobie — zapewniła. — Jak za dawnych czasów.

Paweł przyznał jej w duchu rację i dał za wygraną. Oddał resztki ciasta i ruszył w stronę drzwi. Przynajmniej miał pewność, że dziewczyna na razie nigdzie mu nie zniknie.

Stanął za ladą i z przeproszającym uśmiechem obsłużył zniecierpliwionych klientów. W piekarni zrobiło się luźniej. Po kilku minutach uporał się z pierwszą falą tych, którzy szli na najwcześniejsze godziny do pracy i szkoły. Do pojawienia się pierwszych klientów z autokarów wycieczkowych zostało jeszcze trochę czasu. Na zapleczu usłyszał sygnał z pieca, kilka trzasków i po chwili dotarł do niego zapach świeżego pieczywa. Najwyraźniej Weronika radziła sobie w kuchni, więc rozejrzał się po sali. Przy drożdżówkach zostały dwie maruderki, które zamierzały spóźnić się na pierwszą lekcję albo po prostu jej nie miały. Z dużym ociąganiem wybierały pomiędzy serem a śliwkami, konspiracyjnym szeptem analizując ich dietetyczne właściwości. Pod dużym oknem witryny pani Róża pełniła wachtę na swoim zwyczajowym miejscu, bacząc czujnie na plac rynku i rozmawiając z panią Iwonką, opiekunką lokalnego kółka historycznego.

Paweł przywołał na twarz profesjonalny uśmiech kelnera, zgarnął z blatu drewnianą tacę i ruszył do nich. Gdzieś w połowie drogi poczuł, że źle zrobił. Obie kobiety były wyraźnie czymś zaaferowane. Z doświadczenia wiedział, że to wróżyło jedynie długie dyskusje, w których musiał uczestniczyć, jeśli nie chciał zrazić do siebie którejkolwiek z nich. Żałował, że nie podszedł do nich trochę później, teraz jednak nie było odwrotu. Odetchnął głęboko i stanął przy stoliku.

Gdy tylko się zatrzymał, kobiety urwały rozmowę w połowie. Spojrzały na niego jak na nieproszonego gościa. Dopiero po kilku sekundach odsunęły się od siebie niechętnie. Paweł pochylił się odrobinę nad stołem i zaczął zbierać puste filiżanki.

— Czy podać paniom coś jeszcze? — spytał.

Pani Róża wierciła się na krześle, nie mogąc wytrzymać ani chwili. Paweł nawet nie chciał sobie wyobrazić, co ją tak zaaferowało. Zwykle okazywało się, że była to plotka o zakochaniu którejś dziewczyny. Zwłaszcza jeśli była to lokalna dzieciarnia z liceum, której natychmiast przypinano łatkę puszczalskich. Rzeczy równie nudne dla niego, co zliczanie miesięcznych wydatków. Pani Róża dramatycznym gestem chwyciła papierową serwetkę ze stojaka na stole i odchylając się na krześle, zaczęła się nią wachlować.

— Masz może melisę, na uspokojenie? — spytała, oddychając ciężko.

Paweł uśmiechnął się do niej ponownie, próbując nie okazać, jak bardzo bawi go jej zachowanie.

— Niestety, pani Różo — odparł z żalem, prostując się. Przez chwilę się zastanawiał. Spojrzał na panią Iwonkę i coś go tknęło. Historyczka mimo uwielbienia do plotek, zwykle była cicha i spokojna, o wiele bardziej powściągliwa niż jej współtowarzyszka, ale tym razem siedziała spięta i blada. Wyglądała, jakby potrzebowała melisy bardziej niż pani Róża. — Mam na górze rumianek, mogę zaparzyć, na koszt firmy.

— Dobrze, Pawełku, zrób tak — zgodziła się pani Róża — i dla Iwonki też, obie musimy się uspokoić po tych strasznych nowinach.

— A co straszego się stało?

Nagle sytuacja przestała go bawić. Pani Róża przechyliła się do przodu, zapominając o teatralnych gestach i swoim rzekomym złym samopoczuciu. Rozejrzała się wokół, jakby sprawdzała, czy nikt nie podsłuchuje, a jej głos przeszedł w konspiracyjny szept.

— To straszne, Pawełku. W jeziorze znaleziono trupa, podobno jakiś wędkarz z sąsiedniej wsi go znalazł przy brzegu, jak szedł na ryby — mówiła z przejęciem — ale nie to jest najgorsze.

Paweł słuchał jej z rosnącym zaciekawieniem. Pani Róża potrafiła dawkować informacje w mistrzowski sposób. Lata wprawy sprawiły, że cokolwiek by nie powiedziała, ludzie słuchali jej z mimowolnym przejęciem. Paweł uległ tej magii nie tylko z powodu jej umiejętności. Trup w pobliskim jeziorze istotnie nie był czymś częstym w okolicy.

— Ty nie wiesz, kto to jest — wtrąciła pani Iwonka, sama nie wytrzymując budowanego przez sąsiadkę dramatyzmu. Pani Róża skarciła ją wzrokiem za psucie jej tak starannie budowanego napięcia.

— Kto? — Paweł dał się wciągnąć w konwersację.

— To Maciej Zabuda — odparła pani Róża, całkowicie usatysfakcjonowana wywołanym przerażeniem, jakie odmalowało się na twarzy chłopaka. — Ojciec Weroniki i Elizy. Teraz te dziewczyny już naprawdę nikogo nie mają.

Posterunkowy Tomasz Ząbek siedział w kucki na trawie, udając, że bada znalezione ślady. W rzeczywistości nic nie znalazł. Z całych sił starał się jedynie nie zwrócić dwóch bułek z serem i szynką oraz porannej porcji kawy. Po raz pierwszy w życiu widział trupa, nie licząc oczywiście tych wszystkich seriali, jakie można było ściągnąć z Internetu, gdzie nawet nieżywi wyglądali ładnie i modnie, jakby dopiero co wyszli spod skalpela oraz szczotki. Ten tu zdecydowanie odbiegał od filmowych odpowiedników. Stary ramol już za życia prezentował się nieciekawie. Od lat pił i staczał się po równi pochyłej. W efekcie na co dzień, kiedy Ząbek oglądał go pod monopolowym albo na ławce w parku, przedstawiał sobą obraz nędzy, jakby ścigał się o to miano na jakichś zawodach. Teraz, gdy wyłowili go z jeziora — właściwie sam wypłynął — wyglądał jeszcze gorzej.

Nie po to Tomek poszedł do roboty w policji, żeby oglądać takie sceny. Kiedy dostał przydział w Mroczycach, oddalonych od jego rodzinnego domu zaledwie o pięć kilometrów, uznał to za szczęście. Teraz już nie miał tej pewności.

— Co ty, kurwa, robisz, Ząbek?

Przywitanie sprawiło, że aż podskoczył. Odkąd na komisariacie w Mroczycach pojawił się Rafał Rębak, zwany przez co odważniejszych Rąbanką, atmosfera zrobiła się zdecydowanie bardziej napięta. Podkomisarz przyjechał trzy miesiące temu i natychmiast ugruntował przekonanie współpracowników o szaleństwie, przez które rzekomo został odesłany z miasta. Nawet komendant Bierczyński unikał spotkań z Rębakiem, jeśli tylko mógł, zupełnie jakby bał się byłego, najlepszego detektywa komendy wojewódzkiej. Skutkiem tego Ząbek nie tylko zaczął miewać nerwowe bóle żołądka, ale też reagował popłochem na samą obecność Rąbanki.

— Szukam śladów — odparł, prostując się tak gwałtownie, aż zatrzeszczało mu w stawach.

— I co żeś znalazł?

— Na razie nic.

— Jakoś mnie to nie dziwi — mruknął Rębak, szukając po kieszeniach wyświechtanej marynarki gumy do żucia.

Od dwóch miesięcy próbował rzucić palenie. Głównie z miernym skutkiem, ale odkąd jego żona Marysia uparła się, że muszą przejść na zdrowy tryb życia, w zasadzie nie miał innego wyjścia, niż pogodzić się z przymusowym odstawieniem ukochanego nałogu. W końcu zrezygnował z bezowocnych poszukiwań i skupił się na tym, po co go wezwano.

Przeciągnął dłonią po nieogolonej twarzy i przedwcześnie siwiejących włosach, wzdychając ciężko.

— Dobra, gadaj, co tu się działo.

— Nad ranem jeden z wędkarzy zauważył w jeziorze ciało człowieka. Zawiadomił policję... znaczy się nas. Pół godziny temu udało się wyciągnąć go na brzeg. — Ząbek relacjonował z pamięci fakty, które poukładał sobie wcześniej, na wypadek gdyby któryś ze starszych policjantów sprawdzał jego wiedzę.

— Nazwisko?

— Ząbek... — oparł automatycznie, po czym zreflektował się pod wpływem wymownego spojrzenia Rąbanki. — Maciej Zabuda.

— Co to za gość?

— Stary pijak, kiedyś raptus, ale ostatnio gorzała mocno go wypaliła. Miał niewielki sad pod Dębinką i kawałek lasu, utrzymywał się ze sprzedaży jabłek i chyba jakichś zasiłków.

— Czyli nie o pieniądze chodziło — wnioskował Rąbanka. — Rodzina?

Posterunkowy zastanowił się przez chwilę. Nie pamiętał dokładnie i nie zdążył sprawdzić. Nie zamierzał się jednak do tego przyznawać. Rębak nie znosił niedoinformowanych policjantów.

— Miał kiedyś żonę — zaczął ostrożnie Ząbek — ale zmarła jakiś czas temu. Jego córka mieszka niedaleko... Eliza... Eliza Kwiatkowska.

— A wrogowie? Zadarł z kimś ostatnio?

— Nie wiadomo.

— No dobra, a ten, co go znalazł?

Tym razem Tomek odruchowo sięgnął po notes, ale dłoń zamarła mu w połowie drogi do kieszeni. Rębak ponownie wbił w niego ciężkie spojrzenie i posterunkowy przypomniał sobie nazwisko.

— Tyrak... Zenon — zająknął się nieznacznie. — Emeryt, lubi przychodzić z rana na ryby, jest tam.

Ząbek wskazał palcem w stronę grupki ludzi stojących w pobliżu starego pomostu.

— A ciało? Ktoś się nim już zajął?

— Patolog będzie lada chwila, musi dojechać aż z wojewódzkiego.

— No dobra, obejrzyjmy to sobie.

Rębak ruszył w stronę brzegu. Ząbek stał jak sparaliżowany. Naprawdę nie miał ochoty drugi raz oglądać trupa. Na samą myśl poczuł kwaśny smak w ustach. Zgiął się w pół i całą siłą woli starał się powstrzymać odruch wymiotny.

— Ząbek! — wydarł się Rębak. — Szczęsz tam czy ruszysz się wreszcie?

Nie miał wyjścia. Wszystkie oczy nagle skierowały się na niego. Chcąc nie chcąc, przełamał się i ruszył za starszym policjantem.

Od pomostu dzieliło ich zaledwie kilkanaście metrów. Ciało wyciągnięto z wody, ale gęste w tym miejscu zarośla i tak mocno przeszkadzały przy oględzinach. Rębak pochylił się nad czarną płachtą i podniósł ją jednym, zdecydowanym ruchem. Ząbek natychmiast odwrócił głowę, wbijając wzrok w grupkę ludzi przy pomocy.

— Długo pływał? — Rębak oglądał ciało bez dotykania go. Wpatrywał się w twarz trupa, szukając czegoś intensywnie. Powoli przekręcał głowę, próbując zajrzeć głębiej, pod innym kątem.

— Patolog jeszcze nie dotarł...

Zdławiony głos Ząbka sprawił, że Rębak odwrócił się do niego zdziwiony. Ujrzał go z profilu, bladego jak ściana... właściwie nie bladego, ale zielonego. Od razu było widać, że to jego pierwszy raz. Rębak pokręcił głową z rezygnacją. Gdzie tych idiotów znajdują, pomyślał rozczłony. Nie oczekiwał, że chłopak będzie specjalnie przydatny, ale to zachowanie przechodziło ludzkie pojęcie. Młody nadawał się najwyraźniej co najwyżej do parzenia kawy w komisariacie. Poczul, jak w zniecierpliwieniu wzbiera w nim złość i chęć zapalenia. Ręka bezwiednie powędrowała do kieszeni, nie napotykając na pudełko.

— Ktoś go wczoraj widział? — warknął jeszcze bardziej rozdrażniony.

— Nie zdążyłem rozpytać.

— A trupa obejrzałeś? Miał ze sobą coś wartościowego?

— Nie...

— Ząbek — głos Rębaka był zimny jak lód — patrz na mnie, jak do ciebie mówię — wycedził.

Chłopak zawahał się i wreszcie odwrócił głowę. Natychmiast zrobił się jeszcze bardziej zielony, o ile było to w ogóle możliwe.

— Młody, leć lepiej załatw mu paczkę mentolowych — rozległo się z boku.

Obaj, jak na komendę, odwrócili się w stronę głosu. W ich kierunku zmierzał długimi krokami Piotr Zweiss, patolog. Dobrze po czterdziestce, wysoki z ciemnymi, krótko przystrzyżonymi włosami i wечно uśmiechniętymi oczami. Przypominał długiego pająka, sunącego po trawie do swojej ofiary. Gdy dotarł na miejsce, poklepał Ząbka po ramieniu, a ten z wdzięcznością skinął głową i ruszył czym prędzej ścieżką w stronę samochodów.

— Cześć, Rafał. — Patolog uśmiechnął się do Rębaka, przechylając głowę. — Widzę, że to dopadło cię aż tutaj — stwierdził lekko.

Rębak zmarszczył się, nie rozumiejąc, do czego pije stary kolega.

— Że co?

— Mówię o zbrodni — wyjaśnił patolog. — Słyszałem, że miałeś odpocząć od takich spraw.

Podszedł bliżej i uklęknął przy ciele. Obok odstawił walizkę z przyborami. Z kieszeni kurtki wyciągnął parę lateksowych rękawiczek. Po chwili był już gotowy do pracy.

— Co u ciebie? — rzucił w stronę Rębaka, nie podnosząc głowy znad Zabudy. — Dawno cię w mieście nie widziałem.

— Oddelegowali mnie — odparł oględnie, obserwując pracę patologa.

— Wyrzucili — poprawił go Piotr bez najmniejszych oporów. — O kumplach mogłeś pamiętać, ale najwyraźniej wolałeś zapaść się w wiejskie bagno.

— Jakoś nie było okazji...

— Nie chrzań. — Zweiss podniósł głowę, a jego oczy pociemniały na chwilę. — Potrzebuję trupa, żeby się z tobą spotkać? Pół roku nie dawałeś znaku życia i pewnie nie dawałbyś dalej...

Rębak odwrócił głowę. Nie odezwał się, bo obaj wiedzieli, że musiałby przytaknąć, a na to nie było go stać. Piotr w końcu dał za wygraną i wrócił do badania ciała.

Po kilkunastu minutach zjawił się Ząbek, niosąc paczkę papierosów.

— No dobra. — Piotr odchylił się i odwrócił twarz do rozmówcy, ściągając rękawiczki. — Facet nie żyje od kilku godzin, może od dwunastu. Sam raczej nie poszedł popływać. Z boku ma rozbitą głowę, dostał czymś tępym, na razie nie wiem czym. Więcej będę wam w stanie powiedzieć po sekcji.

Patolog dźwignął się na nogi, przez co zaczął górować nad policjantami. Ząbek podał mu paczkę papierosów.

— Nie było mentolowych — usprawiedliwił się.

Piotr uśmiechnął się i podziękował. Wyciągnął jednego, resztę rzucił w stronę Rębaka. Tamten odruchowo złapał pudełko. Popatrzył na nie w zdziwieniu.

— Powiedz Miśce, że lekarz kazał.

Patolog ruszył w stronę samochodów, nie odwracając się za siebie.

Ząbek patrzył to na oddalającego się patologa, to na Rębaka powoli wyciągającego papierosa z paczki. Nie trzeba było wielkiej dedukcji, żeby zrozumieć, że ci dwaj znają się od dawna. Ich relacja była zupełnie odmienna od tego, co do tej pory widział posterunkowy. Wszyscy w komisariacie reagowali na Rąbankę jak na dzikiego niedźwiedzia, rozbijającego się po korytarzach. Powodem tego w dużej mierze były plotki, że został przeniesiony z powodu kilku rękoczynów. W tym jednego z innym policjantem, który trafił do szpitala. Nikt nie próbował dojść, ile było w tym prawdy. Wystarczyło jedno spojrzenie na Rąbankę, w którym złość aż kipiała, żeby nie mieć żadnych wątpliwości.

Podkomisarz nie zabiegał też o zmianę tego wizerunku, przeklinał i warczał na ludzi, wyzywając ich od nierobów. W końcu nikt się do niego nie odzywał, jeśli naprawdę nie było to

konieczne. Większość unikała nawet jego wzroku.

Ząbek, z lekko rozdziawioną gębą, patrzył na cudowne zjawisko. Rębak stał spokojnie, odprowadzając wzrokiem patologa i jedną ręką, bez patrzenia, odpalając papierosa. Na jego twarzy gościł zupełny spokój.

Posterunkowy zamarł, nie chcąc naruszyć kruchej równowagi, ale na niewiele się to zdało. Zweiss przystanął przy karetce, żeby porozmawiać o czymś z ludźmi. Na chwilę zniknął Rębakowi z oczu. Policjant powoli zogniskował wzrok bliżej. Padło na Ząbka. Z twarzy mężczyzny natychmiast zniknął spokój. Brwi zmarszczyły się i znów zaczął przypominać wściekłego niedźwiedzia.

— Rusz dupę — warknął — trzeba wypytać o Zabudę.

— Tak jest. — Ząbek bez namysłu ruszył w stronę ludzi przy pomoście. Wszystko po to, by jak najszybciej zejść z oczu Rąbance.

Paweł wrócił za ladę na miękkich nogach. Odłożył notes i długopis, czując, że serce podjeżdża mu do gardła. Słyszał, jak Weronika krząta się w kuchni, pobrzękując tacami. Bał się jednak tam zajrzeć. Jeśli to zrobi, będzie musiał powiedzieć jej o tym, co usłyszał. Nie chciał być pierwszym, który oznajmi złą nowinę. Dziewczyna dopiero co wróciła do Mroczyc po stracie matki, miała się teraz dowiedzieć, że straciła też ojca?

Podniósł wzrok. Pani Róża zatopiła się w rozmowie z sąsiadką, zapewne roztrząsała szczegóły nowego plotkarskiego odkrycia. Ponad ich głowami, w szerokim oknie, Paweł dostrzegł zatrzymujący się przy placu autokar. Pierwsza wycieczka za chwilę miała wysiąść z pojazdu. Biorąc pod uwagę krótkie zapoznanie z okolicą i sklep z pamiątkami na pocztce, miał jakieś piętnaście minut, nim zawitają w jego progi i zapełnią salę gwarem oraz szumem. Musiał się pospieszyć i wyłożyć kosze z pieczywem, żeby mieli z czego wybierać.

Ruszył do kuchni. W progu zastał go przyjemny widok. Weronika układała świeże drożdżówki z makowym nadzieniem w wiklinowym koszyku, który wedle własnego uznania obwiązała wstążką. Kolejne smakołyki czekały już w pojemnikach ustawionych rzędem na stole. Musiał przyznać, że uwinęła się zaskakująco szybko. Nawet Krzyśkowi kilka miesięcy zajęło opanowanie koordynacji pomiędzy płynnym wyciąganiem z pieca kolejnych partii ciastek, a układaniem ich do sprzedaży. Zastanawiał się, czy w przypadku Weroniki miało znaczenie doświadczenie, jakie nabyła w dzieciństwie, w końcu sporo pomagała wraz z nim babci Wiesi. A może po prostu była dobrze zorganizowana?

— Pomyślałam, że tak będzie ładniej. — Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Weronika zatrzymała się w pół ruchu, gdy tylko jej wzrok spoczął na jego twarzy.

— Mogę zdjąć, jak ci się nie podoba... — dodała po chwili i odsunęła od siebie koszyk, jakby nagle zaczął ją parzyć.

— Nie, jest bardzo ładnie — zapewnił szybko.

Czuł, że im dłużej zwleka, tym trudniej jest mu zebrać się na odwagę.

— Wera... Właśnie się dowiedziałem... — zająknął się, po czym wyrzucił z siebie na jednym oddechu: — Twój ojciec nie żyje, znaleźli go nad jeziorem.

Weronika zamarła. Jej oczy powiększyły się gwałtownie, a twarz przybrała kolor kuchennych płytek, zrobiła się popielata. Paweł ruszył do niej, ale spuściła wzrok i odsunęła się o krok. Położyła ręce na blacie. Jedną dłonią zaczęła miętosić leżące na nim rękawice ochronne.

— Jak...?

— Chyba się utopił. Nie wiem dokładnie.

Weronika podniosła gwałtownie głowę. Jej oczy szklily się niebezpiecznie. Paweł zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. Chciał ją przytulić i zapewnić, że wszystko będzie w porządku. Nie zdążył. W tym momencie zadzwonił dzwonek piecyka. Weronika poderwała się, błyskawicznie wsuwając na dłonie rękawice i otwierając piekarnik. Chwyciła blachę. Jej ręce drżały, wprawiając w nieznośny trzask metalową płytę.

— Czekaj... — Paweł szukał wzrokiem drugich rękawic. Teraz ważniejsze było, żeby nie zrobiła sobie krzywdy, ale Weronika go nie słuchała. Mocowała się z ciężką blachą, która zaklinowała się po potrząsaniu. — Czekaj, ja to zrobię — powtórzył.

Podszedł, chcąc zabrać jej rękawice. Weronika szarpnęła jeszcze raz, nie zamierzając ustąpić. Zanim się oboje obejrzel, blacha odblokowała się i runęła w ich stronę. Kobieta odskoczyła, a Paweł odruchowo przytrzymał ją ręką, aby nie spadła jej na głowę. Syknął, czując

ból w dłoni. Puścił blachę i odwrócił rękę. Przez całą dłoń ciągnęła się czerwona, pulsująca pręga.

— Musisz to schłodzić. — Weronika zostawiła blachę na otwartych drzwiczkach piekarnika i pociągnęła go w stronę zlewu. Po chwili poczuł ulgę wywołaną przez strumień zimnej wody. Dziewczyna trzymała go tak przez moment. Jej dłonie nadal drżały, zaciskając się kurczowo na jego nadgarstku. W końcu ręka zaczęła mu sinieć. Wtedy puściła, przeciągnęła delikatnie palcami po czerwonym śladzie.

— Przepraszam — mruknęła cicho.

— Spokojnie, już się uodporniłem — skłamał. — Tobie nic nie jest?

Posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie.

Zostawiła go przy zlewie bez słowa. Chwyciła rękawice i zdjęła pozostawioną blachę z piekarnika. Zatrzasnęła drzwiczki, przerzuciła czekoladowe rogaliki do kolejnego koszyka. Paweł zakręcił wodę i wytarł dłonie. Patrzył na nią, zastanawiając się, czy właśnie w ten sposób radzi sobie ze straszną wiadomością.

Weronika odłożyła rękawice, blachę i zdjęła fartuch.

— Skończyłam, muszę iść do Hanksi, zabrać walizkę — rzuciła, unikając jego wzroku. Zgarnęła torebkę i płaszcz.

— Poradzisz sobie? Może pójdziemy razem, później?

— Nie trzeba — rzuciła.

Praktycznie wybiega z kuchni, zatraskując za sobą drzwi. Paweł oparty o zlew wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała. Czuł, jak dłoń pulsuje mu na nowo bólem.

Weronika przemierzała szybkim krokiem niewielki rynek, zostawiając za sobą piekarnię. Minęła jakąś wycieczkę, rozprawiającą z przejęciem o oglądanych przed chwilą ruinach starego grodu i policyjnych blokadach na brzegu. Nie wiedzieli, co się stało, ale ich domysły były trafne. Przyspieszyła, aby ich nie słuchać.

Minęła niewielką fontannę, nowy nabytek wciąż rozrastającej się miejscowości, i wiecznie pusty przystanek, na którym autobusy komunikacji dalekobieżnej zatrzymywały się raptem cztery razy dziennie. Przeszła obok zamkniętego od lat, starego Supersamu u zbiegu rynku i bocznej ulicy i skręciła w wąską, łukową, brukowaną kocimi łbami drogę. Zniknęła piekarnia wraz z rynkiem i grupką lekko zdezorientowanych turystów, a jej oczom ukazał się znak poczty.

Weronika z trudem otworzyła ciężkie drzwi do budynku. Przez chwilę zastanawiała się, czy zawsze były takie nieporęczne i niewygodne. Doszła do wniosku, że tak. Pewne rzeczy wcale się nie zmieniły. Jedną z nich były dębowe drzwi z grubym szkłem wprawionym za szerokimi prętami kutych krat. Malowane tak wiele razy, że chyba zyskały zupełnie odporną na wandalizm warstwę. Za drzwiami zmieniło się o wiele więcej. Wczoraj, kiedy poczta pełna była ludzi, nie sposób było ogarnąć jej wzrokiem i pewnych zmian nie zauważyła. Zniknęły dębowe lady i zapach starego drewna, który pamiętała z dzieciństwa. Pomieszczenie było jasne, utrzymane w kolorystyce beżu i niebieskiego. W zasadzie niewiele odbiegało od punktów w dużym mieście. Było mniejsze, a za wysokim przepierzeniem znajdowało się tylko jedno stanowisko obsługi, ale w tak niewielkiej miejscowości więcej nie było trzeba. Przy ladzie porozstawiano stojaki z gadżetami, grammi układankami i wszelkiej maści bibelotami, których mógłby potrzebować klient. Pod oknem, na małym stoliku, rozstawiono blankiety do wypełnienia, a zaraz za nimi, na oku obsługi kolejny stojak. Tym razem z gazetami, gdzie starsza kobieta z uwagą filatelisty przeglądała kolorowe czasopisma. Weronika chłonęła to wszystko, wspominając dawne czasy i mimowolnie porównując stan wcześniejszy i obecny, kategoryzując zmiany na korzystne oraz

niekorzystne.

— Werka! — Hania zerwała się zza lady, gdy tylko ją zobaczyła.

Weronika podeszła się przywitać.

— Cześć.

— Jak mi wczoraj puściłaś SMS, że nie przyjdiesz, to się zdziwiłam, ale przeczytałam, że nocujesz u Pawła i o mało na zawał nie padłam!

Hania chwyciła dziewczynę za ręce i pociągnęła ją do siebie. Już po chwili Weronika siedziała na twardym, plastikowym krześle obok dawnej, szkolnej przyjaciółki lustrowana przez nią uważnie.

— No dobra, opowiadaj — rzuciła szybko. — Wczoraj nie miałyśmy okazji pogadać, więc teraz musisz mi powiedzieć wszystko, prawie wcale się nie kontaktowałeś i nagle wracasz, po co?

— Eliza sprzedaje dom mamy. — Weronika wzruszyła ramionami, jakby była to największa oczywistość pod słońcem.

— Tylko dlatego? Nie wierzę, mogłaś to załatwić przez notariusza albo inaczej... jak wyjeżdżałaś, mówiłaś, że twoja noga tu nigdy nie postanie.

— Wiesz, ludzie się zmieniają.

— Ale nie ty — weszła jej w słowo Hania. — Jak miałaś dziewięć lat i cię Stawiakowa obraziła, mówiąc, że straszysz jej kury, to przez trzy lata chodziłaś naokoło wsi do szkoły. Póki się nie okazało, że to Wojtek Kipowicz rzucał kamieniami i wreszcie cię Stawiakowa przeprosiła. Ty byś nie wróciła z tak błędnego powodu.

Weronika spuściła wzrok i spłótła palce w nerwowym geście. Hania patrzyła na nią wyczekująco. Cisza zalegająca w pomieszczeniu przedłużała się niemiłosiernie. Wreszcie Weronika westchnęła ciężko, otwierając usta. Nie dane było jej się wypowiedzieć. Z drugiego końca pomieszczenia doszedł ich szelest spadających ze stojaka gazet. Hania odwróciła się błyskawicznie, przypominając sobie o klientce. Zgromiła wzrokiem kobietę, która pospiesznie układała gazety z powrotem na stojak.

— Pani Waciakowa — zawołała do niej — od trzech dni nie przywieźli nic nowego. To nie biblioteka, żeby sobie czytelnię urządzać. Kupuje pani czy nie?

Kobieta porzuciła układanie gazet. Wyprostowała się gwałtownie, zmarszczyła brwi i prychnęła dumnie.

— Ja jestem klientką, jak pani może tak się zachowywać w stosunku do mnie?

— Kupuje pani?

— Zastanawiam się jeszcze...

— Albo pani kupuje, pani Waciakowa, albo nie.

Kobieta odwróciła się na pięcie i bez słowa ruszyła do wyjścia. Hania odprowadziła ją wzrokiem, póki nie zamknęły się za nią drzwi.

— Nie boisz się, że się obrazi i nie wróci nic kupić? — Weronika z przerażeniem patrzyła to za kobietą, to na koleżankę.

— Spokojnie. — Hania uśmiechnęła się szeroko. — Ma u mnie prenumeratę zamówioną z odbiorem osobistym, nie pójdzie nigdzie indziej. Poza tym, to jedyna poczta w okolicy. Przecież nie będzie jeździła aż do Dębinki, żeby opłaty zrobić. No i... — Dziewczyna machnęła niedbale ręką. — Ona siedziała tylko po to, żeby podsłuchiwać.

— Jak to?

— A ty myślisz, że ile my tu mamy rozrywek?

Weronika nie odpowiedziała. Doskonale wiedziała, jak funkcjonuje świat w takich małych, zapadłych dziurach. Nic się przed nikim nie ukryje. Lata spędzone w mieście, gdzie

wszyscy byli dla siebie anonimowi, nawet jeśli mieszkali w jednej klatce, przytępiły najwyraźniej pamięć i ostrożność.

Prawda była taka, że jej powrót, w przeciągu jednego dnia będzie zapewne najczęściej omawianą rzeczą w miasteczku. No, może zaraz po śmierci jej ojca.

— W porządku? — Hania zerknęła na nią czujnie.

— Tak — zapewniła Weronika, która wzdrygnęła się na wspomnienie dzisiejszej wiadomości.

— To jak minęła noc u Pawła?

Hania nie dawała za wygraną, znów usiadła wygodnie i pochyliła się do przodu. Widać było, że nie odpuści, póki nie uzyska satysfakcjonującej odpowiedzi.

— Spokojnie, nic się nie stało — zapewniła szybko jej rozmówczyni. — Naprawdę.

— Zupełnie nic? Nie wierzę. — Hania była rozczarowana. Patrzyła na koleżankę zniesmaczona, jakby ta kłamała jej w żywe oczy.

— Naprawdę. Siedzieliśmy i gadaliśmy przez kilka godzin, a potem Paweł poszedł do piekarni przygotować wypieki, a ja poszłam spać.

— Jak zareagował na twój widok? W końcu nie widział cię od dziesięciu lat.

— Nie krzyczał jak ty wczoraj. — Weronika uśmiechnęła się. — Bałam się, że mnie zignoruje albo będzie miał pretensje, ale nic takiego się nie stało. Chyba się ucieszył...

— No ba! Przecież on był chory z miłości. — Hania odchyliła się na krzesło, aż skrzypnęło oparcie. — Kiedy wyjechałaś, przez kilka miesięcy chodził jak struty.

— Niemożliwe. — Weronika otworzyła szeroko oczy. — Unikał mnie, zanim wyjechałam — zająknęła się w usprawiedliwieniu.

— Ja nie wiem, co się z wami wtedy porobiło. — Hania spoważniała nagle, zawahała się, po czym podjęła wątek. — Oboje zachowywaliście się dziwnie, powiesz mi wreszcie, o co chodziło?

Weronika po raz drugi spuściła wzrok, wbijając go w swoje dłonie. Hania jej nie ponaglała, choć wiedziała, że mało prawdopodobne było, aby dawna przyjaciółka nawet po tylu latach się przemogła. Jej zachowanie się nie zmieniło, a Hania знаła ją dostatecznie długo, by wiedzieć, że Weronika należała do tych zamkniętych w sobie, którzy nie puszcza pary z ust, jeśli naprawdę nie chcą, choćby ich świat walił się w posadach. Nie potrafiła do niej dotrzeć i czasem jej za to nienawidziła i siebie też.

Od przedłużającej się ciszy uwolnił je dzwonek przywieszony przy drzwiach. Wprawiony w ruch oznajmił przybycie klientów. Obie jak na komendę podniosły głowy. Do pomieszczenia weszło kilka osób, zajmując prawie całą przestrzeń niewielkiej sali. Nagle zrobiło się gwarnie i wesoło. Turyści rozpierzchli się na boki w poszukiwaniu pamiątek i pocztówek. W pierwszej chwili nie przyuważyli dwóch kobiet za ladą i ich poważnych min. Weronika skorzystała z tej okazji. Natychmiast zaczęła się zbierać do wyjścia. Rozejrzała się za swoją walizką.

— Jesteś pewna, że chcesz znowu nocować u Pawła? — Hania wytargała granatowy bagaż spod zawalonego pułkami stołu i przysunęła go w stronę koleżanki. Głos miała poważny, ale oczy świeciły się jej w rozbawieniu.

— Nic mi nie będzie, a u ciebie, jak słyszałam, zrobiło się jeszcze mniej miejsca — odcięła się Weronika, chwytając za rączkę walizki.

— Nie udawaj, że nie wiedziałas wcześniej. — Hania usiadła wyprostowana na obrotowym krześle. Przed ladą zaczęła powoli kształtować się kolejka. — Na fejsie jest pełno zdjęć małej i wysłałam ci maila z zaproszeniem na chrzciny, na których nie raczyłaś się pojawić.

— Nie mogłam, ale to mi chyba wybaczysz? — Weronika uśmiechnęła się przepraszająco. — A fejsbuka nie mam.

Wstała szybko. Ludzie w kolejce rozmawiali ze sobą, nie mając raczej pretensji do małego zainteresowania ze strony obsługi. To, co Weronika usłyszała między nimi, sprawiło, że poczuła przemożną potrzebę natychmiastowego wyjścia. Temat trupa w jeziorze najwyraźniej jeszcze się nie wyczerpał. Nie miała się czemu dziwić, takie atrakcje były rzadkim rarytasem nawet dla najbardziej wytrawnych mieszczuchów. Weronika bała się, że Hania zainteresuje się rewelacjami i domyśli, kto jest ich bohaterem, a to by oznaczało, że musiałyby sprostać gradowi pytań ze strony przyjaciółki. Na to nie była jeszcze gotowa.

— Ty w ogóle jesteś jakaś zacofana. — Hania westchnęła, odwracając się przodem do okienka, ale nadal patrząc na koleżankę. Jedną ręką odbierała pocztówki od starszego pana, drugą sprawdziła jeszcze godzinę na komórce. — Wpadnij do nas, może wieczorem?

— Nie wiem... — Weronika zawahała się. Nie potrafiła tak bezceremonialnie odmówić dziewczynie.

— Możesz przyjść z Pawłem. Z nim też się dawno nie widziałam. — Hania traktowała temat tak swobodnie, jakby spotykali się co najmniej raz w tygodniu, a nie raz na dekadę. — Zobaczysz Helenkę i Jasia. Skoro tak źle ci idzie z Internetem, to będziesz miała okazję na żywo. Później sobie pójdziesz nocować do Pawła, jeśli będziesz chciała.

— Ja...

— Nie przyjmuję odmowy — zakończyła Hania, poświęcając wreszcie uwagę klientowi. — A teraz możesz zmykać, bo aż ci się podeszwy pała, tak przytupujesz.

— Dzięki. — Weronika westchnęła. W przypływie uczuć, starym zwyczajem, objęła przyjaciółkę za szyję i przytuliła się przelotnie, po czym ponownie chwyciła walizkę. Z wprawą wyciągnęła rączkę i przepchnęła się z bagażem na drugą stronę lady. Turyści robili miejsce do wyjścia, ale było ich tylu, że z trudem udało jej się przecisnąć do drzwi. Zaskoczyła ją jeszcze jedna grupka turystów stojąca przed pocztą. Nie wystarczyło dla nich miejsca, więc grzecznie czekali na swoją kolej, zaglądając do środka z ciekawością lub szukając czegoś w komórkach.

— I co, piszą coś już? — spytała młoda kobieta w kwiecistej sukience. Zarzuciła na nią lekki wełniany płaszcz. Wisiała na ramieniu mężczyzny przy tuszy, którego głowę zdobiły pierwsze zakola. Zaglądała mu w wyświetlacz komórki.

— Nic nie mogę znaleźć, a jeszcze to słońce... — warczał mężczyzna.

— Ja coś mam — zapiszczała radośnie inna dziewczyna z grupy. Przeczesała ręką spadający jej na twarz rudy kosmyk krótkich włosów. Wszyscy rzucili się na nią, prawie objając się głowami. Weronika mimowolnie zwolniła i nastawiła uszu.

— Co piszą? — Niecierpliwiła się kobieta w sukience.

— Na razie, że znaleźli trupa w jeziorze. Jakiś wędkarz znalazł... — Dziewczyna przesuwała palcem po niewielkim ekraniku, czytając szybko i starając się wyłowić najistotniejsze szczegóły. — Podobno jakiś miejscowy... zakładają, że może utopił się sam...

— No jasne. — Mężczyzna z zakolami prychnął niezadowolony. Odsunął się odrobinę, wbijając wzrok we własną komórkę. — Pewnie pijak.

— A może to porachunki gangów i tylko tak zamaskowali? — zapytała z nadzieją kobieta w kwiecistym stroju.

— Elka, chyba kpisz? — Mężczyzna spojrział na nią jak na dziecko proszące o czwarty kawałek tortu. — W tej dziurze? Gangi?

— Może chociaż jakaś kłótnia?

— Może, może... — przedrzeźniał ją mężczyzna.

— Piszą, że miał rozbitą głowę — zakończyła dziewczyna i oderwała wzrok od komórki. Grupka się rozluźniła.

Weronika ruszyła powoli przed siebie, nie chcąc zwracać nadmiernie uwagi tak jawnym

podsluchiwaniem.

— A skąd oni to wszystko wiedzą? — Dziwiła się kobieta zwana Elką. — I to już teraz?

— Dziennikarze wleżą wszędzie, nic się przed nimi nie ukryje. Jak tam byliśmy, to już widziałem jednego z aparatem — odezwał się młody chłopak, stojący obok rudej dziewczyny.

— Chodźmy już kupić te pamiątki, bo głodny jestem — warknął mężczyzna z zakolami, chwytając za klamkę urzędu pocztowego. Nie przejmował się tym, że w środku nie było gdzie szpilki wcisnąć.

— A ja myślę, że ktoś go zabił... — Westchnęła kobieta w sukience.

Weronika skrzyła za róg i straciła możliwość podsluchiwania. Z trudem powstrzymała się przed sięgnięciem po komórkę i sprawdzeniem, czy nie znajdzie w Internecie więcej informacji. W zasadzie nie wiedziała, gdzie by mogła szukać, dla niej zaskoczeniem był sam fakt, że w sieci mogły się pojawić już pierwsze wzmianki o śmierci człowieka mieszkającego w tak małej miejscowości. Porzuciła myśl o szukaniu, dochodząc do wniosku, że bała się po prostu dowiedzieć więcej. W końcu postanowiła poczekać. Jeśli informacje krążyły tak szybko, to z pewnością niedługo całe Mroczyce będą wiedzieć o wszystkim ze szczegółami i nadawać jak radio bez wyłącznika. Odruchowo rozejrzała się po piętrowych, starych budynkach, szczelnie przylegających do siebie i zamykających pierzeje ulicy. Nie była pewna, czego szukała, ale miała wrażenie, że za chwilę zobaczy pierwsze głowy wychylające się z okien, skierowane na nią. Przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą walizkę.

Ząbek odetchnął głęboko i przymknął oczy. Ostatnie dwie godziny spędził na maglowaniu wszystkich, którzy napatoczyli się w okolicy miejsca znalezienia Zabudy. Ze względu na ciekawość ludzką było ich naprawdę sporo. Jakby się wściekli. Wciąż przychodzili następni. Niektórzy twierdzili, że coś widzieli, słyszeli albo byli tu wcześniej. Zwykle okazywało się po prostu, że chcieli, choć przez chwilę, być w centrum uwagi. Wariactwo.

Rąbanka zniknął gdzieś moment po tym, jak patolog zabrał ciało Zabudy. Posterunkowy nie zamierzał na razie go szukać. Mógł się facet upić i leżeć pod płótem albo bić żonę dla rozładowania emocji. Mitów i plotek było o nim tyle, że mogły zaspokoić nawet najbardziej wybujałą wyobraźnię. Co prawda Ząbek nie bardzo wierzył w te opowieści. Choć Rąbanka wyglądał mu na porywczego i skorego do agresji, to jakoś nie potrafił uwierzyć, że bił żonę. Kilka razy widział panią Rębak w sklepie, ale nigdy nie dostrzegł żadnych śladów domowych burd czy przemocy. Co prawda mogła je ukrywać, ale nie wyglądała też na zastraszoną. Co innego z piciem. To Rąbanka mógł robić bez oporów w zaciszu domu i nic nie dałoby się poznać. No może...

Ząbek otworzył oczy i spojrzał na spokojne wody jeziora. Gdzieś po lewej leniwie unosiła się niewielka łódka z samotnym wędkarzem. Po drugiej stronie, nad wodą, rysowały się ruiny starego grodu. Część z niewielkich, drewnianych domków została odbudowana zupełnie jak w Biskupinie. Tylko tu znaleźli jeszcze więcej jakichś skorup, coś tam było podmurowane kamieniem, a układ domów był ponoć bardziej nietypowy. Co nietypowego w nim było posterunkowy nie pamiętał, choć za czasów szkolnych ciąłali go tam kilka razy. Nigdy jakoś nie był tym zainteresowany. Dla niego to była kupa gruzu i drewna. Nieciekawy skansen przeszłości, który dawno powinien przykryć się ziemią i zapomnieniem. W końcu nawet matka natura tak chciała. Inaczej nie musieliby kopać ponad półtora metra, żeby coś znaleźć.

Przez chwilę pozwalał, aby lekki, zimny wiatr chłostał go w twarz i mierzwił ciemne włosy. W końcu przyszedł czas się zbierać. Tu nie było już nic ciekawego. Ząbek niewiele się dowiedział. Zenon Tyrak zeznał tylko, że szedł na przystań, kiedy jego wzrok przykuło coś dużego zaczepionego w szuwarach. Wściekł się z początku, bo myślał, że to worek ze śmieciami. Okoliczni mieszkańcy, zwłaszcza ci nowi, czasami wyrzucali śmieci, gdzie popadnie, nawet do jeziora, co powodowało zanieczyszczenie wody i zdychanie ryb. Dlatego od razu skręcił na brzeg i chciał ten worek wyciągnąć. Zostawił sprzęt na brzegu i wszedł w szuwały. Jak dotarł do celu, okazało się, że to wcale nie jest worek śmieci tylko ciało. Od razu rozpoznał Macieja Zabudę, bo go znał. Czasem zdarzało im się łowić ryby na brzegu. Stary nie lubił wypływać na jezioro. Nie raz mieli też okazję razem pić. Nie żeby byli dobrymi kumplami od kielicha. Zabuda pił zdecydowanie więcej, o wiele za dużo jak na możliwości Tyraka, ale żaden z nich od butelki nie stronił, a to w końcu mała miejscowość. Każdy z każdym się spotyka.

I tak historia Zenona Tyraka trwała dobre czterdzieści minut. Ząbek słuchał z początku uważnie, ale w końcu zrozumiał, że wszystko czego mógł się dowiedzieć już zostało powiedziane. Mężczyzna nic więcej nie wiedział. Po prostu znalazł ciało.

Ząbek oderwał ręce od balustrady, odwrócił się bez żalu i ruszył w stronę samochodu. Od kiedy zabrano ciało, ludzie przestali przychodzić. W końcu nawet ci, co przyszli wcześniej, znudzili się i odeszli. Teraz tylko zdeptana trawa i wszechobecne torfowe błoto świadczyło o tym, co działo się tu od rana.

Zanotował sobie jeszcze w pamięci, że musi znaleźć adres i numer telefonu córki denata. Zadowolony z siebie wszedł do samochodu.

*

Paweł z ulgą przywitał wracającą Weronikę. Dziewczyna weszła od zaplecza, przez co w pierwszej chwili prawie jej nie zauważył. Gdyby nie dźwięk, jaki wydawała walizka ciągnięta po płytkach, pewnie przeszłaby obok niezauważona.

Stała w progu na tyle daleko, aby nie zostać dostrzeżoną przez klientów. Paweł uśmiechnął się do niej bezradnie. Obsługa całej wycieczki za jednym razem zwyczajnie go przerastała. Ludzie kłębili się przy ladzie, domagając się kawy i większej ilości słodkich przysmaków. Z półek zniknęły prawie wszystkie przygotowane wcześniej wypieki. Turystom po całym poranku biegania po ruinach i oglądania trupów wyraźnie zaostrzył się apetyt.

— Mogłabyś pomóc? — spytał w końcu, gdy Weronika nie ruszała się od dłuższego czasu.

Dziewczyna wyjrzała ostrożnie na salę. Przy stoliku pod oknem rozpoznała panią Różę. Od kiedy Weronika mieszkała w Mroczycach, kobieta niewiele się zmieniła. Przybyło jej kilka siwych pasm we włosach, pozostała jednak tą samą, odrobinę przysadzistą kobietą o czujnych błękitnych oczach, zdolnych, jak jastrzęb, z odległości kilometra wypatrzyć swoją ofiarę. Weronika doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli pani Róża zobaczy ją w piekarni, informacja o jej powrocie do Mroczyc tylko nasili plotki. Wolałaby załatwić swoje sprawy bez zbędnego rozgłosu i wrócić do Poznania. Z drugiej strony, o jej wizycie wiedzieli już Hania i Paweł, a wkrótce pewnie też kolejne osoby. Może nie miało większego znaczenia to, kto będzie następnym. I tak będzie musiała stawić im czoła.

Kiwnęła głową, zgadzając się bardziej z własnymi myślami niż z Pawłem.

— Wera? — jęknął z rozpaczą, gdy zniknęła mu za ścianą.

— Poczekaj, umyję ręce. — Dobiegło go z kuchni. Po chwili Weronika wróciła na salę. Przewiązała się szarym fartuszkim i wyszła do ucieszonej gawiedzi. Wystarczyła sekunda, by zalała ją fala pytań od rodzaju kawy w ekspresie, przez możliwość podania ze wszystkimi istniejącymi chyba na świecie rodzajami mleka, po świeżość obwarzanek i najkrótszą drogę do sklepu z pamiątkami. Z tym ostatnim miała najwięcej problemów, bo żadnego w okolicy nie знаła. W tej kwestii na ratunek przyszedł jej Paweł, w trzech zdaniach tłumacząc kierunek drogi na pocztę. Na pozostałe pytania odpowiadała z profesjonalnie dobranym uśmiechem i cierpliwością.

Zanim pani Róża dostrzegła ją w rzedającym przy ladzie tłumie, minęło zaledwie kilka minut. Choć to i tak więcej niż spodziewała się Weronika. Pani Róża błyskawicznie dopiła swoją kawę, porzuciła koleżankę i ruszyła do lady, lawirując między stojakami z kosztami po pieczywie i spokojnymi już klientami z lubością wbijającymi zęby w świeże wypieki.

— Dzień dobry, Weroniko! — zawołała pani Róża. — Cóż za niespodzianka, że cię tu widzę.

— Dzień dobry, pani Rózo — odparła spokojnie Weronika, nie przerywając parzenia dwunastej tego dnia filiżanki kawy.

— Ty tutaj? — przeszła do sedna starsza kobieta. — Myślałam, że będziesz z Elizą.

— Dlaczego miałabym być z Elizą?

Weronika odstawiła filiżankę na spodek i przesunęła w stronę klientki.

— Jak to „dlaczego”? — Pani Róża z trudem powstrzymywała oburzenie. Chwyliła się za bujną pierś. — Przecież dziś znaleziono ciało twojego ojca! Nie chcesz przeżywać z siostrą żałoby?

Kilku najbliższych stojących klientów odwróciło głowy z zaciekawieniem. Dziewczyna poczuła, jak w gardle rośnie jej coraz większa gęła. Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić.

Informacja o śmierci ojca wypowiedana przez kogoś obcego nadal wywoływała w niej dziwne uczucie, jakby ktoś zdzielił ją po głowie.

— Nie wiem jak siostra, ale ja nie widziałam ojca od prawie dziesięciu lat. Nie był mi aż tak bliski — powiedziała wreszcie. Starła się, aby głos brzmiał spokojne, wręcz obojętnie. Nie do końca jej się udało.

Pani Róża popatrzyła podejrzliwie, próbując wyczytać z twarzy, czy mówi poważnie.

— Myślę, że jesteś w szoku — oznajmiła w końcu z przekonaniem.

— Czy mogę prosić o latte z odtłuszczonym?

Pani Róża zgromiła wzrokiem wysoką kobietę, która podeszła do lady i tak beztrąsko przerwała jej wywód.

— Już podaję, sześć pięćdziesiąt — odparła Weronika z uśmiechem. Chwila z klientką pozwoliła błyskawicznie odzyskać równowagę. Postawiła na ladzie filiżankę zwieńczoną białą pianką. Dopiero wtedy odwróciła się do rozmówczynie. — Życzy sobie pani czegoś, pani Różo?

Starsza kobieta popatrzyła na nią zaskoczona. Zmiana tematu i zignorowanie największej historii dnia sprawiło, że kompletnie zbaraniała. Przez bardzo krótką chwilę udawała przed ladą rybkę, to otwierając, to zamykając usta. Weronika zdążyła obsłużyć jeszcze jedną klientkę, która koniecznie chciała kupić bajgl z jak największą ilością sezamu. W tym czasie Paweł wyniósł na salę kosze pełne świeżego pieczywa. Przy ladzie zrobiło się spokojniej, więc pani Róża kontynuowała swój wywiad.

— To po co ty przyjechałaś właściwie, kochana?

— Eliza sprzedaje dom, ja też jestem jego właścicielką — wyjaśniła Weronika. Robiła to już po raz kolejny, przez co wydawało jej się, że w kółko się usprawiedliwia z obecności w Mroczycach. — Musimy obie podpisać, inaczej sprzedaż nie będzie ważna.

— I ile z tego dostaniesz? Pewnie niewiele, bo dom jest stary.

Weronika przystanęła. Do tej pory nikt się tym nie interesował i nie posiadała gotowej odpowiedzi.

— Właściwie to Eliza weźmie pieniądze, jej bardziej się przydadzą... — zaczęła ostrożnie, próbując oszacować na szybko argumenty za i przeciw wyjawianiu tej wścibskiej osóbcie takich informacji. — Ma pani rację, pewnie niewiele tego będzie.

— Co ty mówisz, kochanie — obruszyła się staruszka. — Eliza na pewno się z tobą podzieli. Z takiej sprzedaży to starczy dla was obu i wyjedziesz na jakieś dobre wakacje. Pojedziesz gdzieś z dziećmi, prawda?

Weronika drgnęła gwałtownie i popatrzyła na panią Różę jak sarna w reflektory samochodu. Przeniosła wzrok na Pawła, który stał z tyłu i przerzucał ostatnie rogalce do sąsiedniego koszyka. Na pozór nie zważał na rozmowę przy ladzie, ale po tym pytaniu zamarł w napięciu.

— Skąd... skąd pani przyszło do głowy coś takiego? — wydukała wreszcie.

— No jak, przecież wszyscy tak robią.

— Ale jak to... z dziećmi? Skąd ten pomysł? — Weronika próbowała zyskać trochę czasu, aby przemyśleć odpowiedź, wiedziała, że cokolwiek powie, stanie się to plotką kolportowaną w promieniu dwudziestu kilometrów.

— No przecież wyjechałaś na dobre dziesięć lat temu. Młoda jesteś, musisz mieć męża i dzieci — wyliczała pani Róża, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Weronika rozluźniła się.

— Pani Różo, może usiądzie pani, skoro nic nie zamawia... — zaczęła z lekką reprimendą w głosie.

— Oj. — Staruszka machnęła ręką, nie zważając na sugestię. — Wy młodzi, to tacy teraz

jesteście, najpierw się czerwienicie, a później zaliczacie wpadki jedna za drugą, bo boicie się staropanieństwa. W twoim wieku już dawno powinnaś mieć choćby dwójkę!

Weronika poczerwieniała, z trudem opanowując rosnące zdenerwowanie. Zafiksowana na punkcie potomstwa kobieta wyraźnie nie zamierzała odpuścić. Z odsieczą przyszedł jej nieoczekiwanie Paweł.

— Pani Rózo, to nieprawda, ja też jestem w tym wieku i nie mam rodziny — wtrącił się, podchodząc bliżej.

Pani Róża prychnęła lekceważąco.

— Ty jesteś mężczyzną, od was wymaga się o wiele mniej.

— Myślałem, że więcej, bo jesteśmy silniejsi — próbował zażartować.

— Mniej — poprawiła twardo staruszka — bo jesteście głupsi.

Paweł pokręcił z rezygnacją głową, zgarnął puste koszyki i ruszył w stronę kuchni.

— Pani Rózo, proszę, niech pani usiądzie przy stoliku, bo się obrazimy — zagroził żartobliwie. — I niech mi pani pomocnicy nie straszy, bo jeszcze ucieknie, zanim Krzysiek wróci, i dopiero będę miał kłopot. — Westchnął, przechodząc obok niej i znikając za ścianą.

Pani Róży aż się oczy zaświeciły.

— To ty tu pracujesz, Weroniko? A długo będziesz? Może ci nocleg znaleźć? — wypytywała niezrażona.

Weronika nie wiedziała, co gorsze. Pawłowi niby udało się odwrócić uwagę wścibskiej staruszki od kwestii rodzinnych, ale wpadła z deszczu pod rynnę. Nowiny, że Weronika mieszka u Pawła i spijają pod jednym dachem z pewnością nie przepuści. Rozpowie wszystkim w okolicy i dziewczyna zostanie uznana za puszczalską. Westchnęła ciężko.

— Nie tyle pracuję, co pomagam i mieszkam u Pawła — wyznała, uznając, że lepiej, żeby ta wiadomość wyszła od niej. Przynajmniej nikt nie powie, że kryją się po kątach. — To raptem kilka dni pomocy staremu przyjacielowi, nic wielkiego.

Paweł wyszedł z kuchni z koszem pełnym słodkich bułek. Uśmiechnął się przelotnie, smutno do dziewczyny. Nie miała wątpliwości, że za ścianą słyszał wszystko doskonale, szczególnie o tym, że określiła go jedynie starym przyjacielem. Nie zamierzała jednak drążyć tematu. To, co powiedziała, nie było kłamstwem, nawet jeśli oboje wiedzieli, że przez wzgląd na stare czasy, ich relacja nie miała prawa opierać się na zwykłej przyjaźni.

Odwróciła głowę. Jej wzrok napotkał stare zdjęcie wiszące na ścianie. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie tamto lato. Wtedy naprawdę byli tylko przyjaciółmi. Spędzali ze sobą każdą chwilę, ale byli zbyt mali, żeby myśleć o czymś takim jak związki. Później wszystko się skomplikowało.

*

— Ruszaj się, młody.

Ząbek podniósł gwałtownie głowę znad notesu. Spojrzał z żalem na kartkę, którą przecinała teraz gruba, rozchwiana kreska. Od godziny próbował ołówkiem narysować idealnie okrągłe kółko. Zajmował sobie w ten sposób czas, czekając na telefon z centrali. Głos przechodzącego obok Rębaka przyprawił go o szybsze bicie serca. Nie zastanawiał się ani chwili. Zamknął notes, zerwał się z krzesła i popędził za oddalającym się podkomisarzem. Zastanawiał się, co mogło być powodem tak ciepłego, jak na tego człowieka, zwrotu. Chwilę później stanęli przed drzwiami do biura komendanta. Ząbek przełknął ślinę. To nie mogło wróżyć nic dobrego. Rębak stuknął dwa razy w drzwi i nie czekając na odpowiedź, wparował do środka.

Komendant Witold Bierczyński podniósł powoli głowę i zgromił ich wzrokiem. Nie znosił ludzi, pchających mu się do biura bez szacunku, za który uważał oczekanie odpowiedniej

ilości czasu na korytarzu. Gdy zobaczył Rąbankę i Ząbka tylko westchnął. Po tym pierwszym nie mógł się spodziewać innego zachowania. Ten drugi przynajmniej czuł się nieswojo, co komendant odnotował z niejaką satysfakcją.

Postanowił przejąć inicjatywę, w końcu byli w jego gabinecie.

— Dobrze, że jesteście — zaczął, odchylając się na krześle. Mebel skrzypnął z pretensją na takie traktowanie przez niemałą tuszę komendanta. — Ten cały prokurator to jakiś młokos, ale najwyraźniej już mu się nie chce robić — głos komendanta przybrał ironiczny ton. — Zażyczył sobie dokładnego raportowania przebiegu prac i zaraz po tym zmył się do siebie.

Rębak uśmiechnął się pod nosem, jakby zachowanie prokuratora było dla niego czymś oczywistym. Posterunkowy spoglądał na niego z ukosa, zastanawiając się, czy jest to spowodowane doświadczeniem byłego detektywa z pracy w większym mieście. Może tam wszyscy tak działali?

— Rębak! — odezwał się Bierczyński, jakby wołał do głuchego. — Ty się zajmiesz tą sprawą. Pracowałeś kiedyś w dochodzeniówce, to może nie przegapisz jakichś istotnych szczegółów.

— Mogę wziąć młodego do pomocy? — Rębak wskazał kciukiem w stronę Ząbka.

Bierczyński spojrział na młodszego policjanta z ukosa, jakby oceniał, czy do czegokolwiek się nadaje. Tomek miał ochotę zapaść się pod ziemię. Źle czuł się w centrum uwagi. Jego nadrzędną zasadą było „nie rzucać się w oczy”. Liczył na to, że dzięki temu bez większych problemów odbębni minimalne lata służby i uda mu się przejść na wcześniejszą emeryturę. Co prawda ostatnio wciąż słyszał, że mają znieść ten przywilej, ale nie wierzył, aby ktoś z rządzących miał na to odwagę. W końcu to dzięki takim jak on mogli czuć się bezpiecznie, nawet jeśli to bezpieczeństwo nie dotyczyło się bezpośrednio ochrania ich samych, a jedynie trzymania zwykłych ludzi z daleka.

— Dobra, bierz — warknął komendant. — A teraz wynoście się do roboty.

Rębak poklepał się po kieszeniach w odruchu szukania papierosa. Nie spieszyło mu się z wyjściem. Zdawał się nawet czuć w biurze komendanta lepiej niż właściciel. Znalazł w końcu to, czego szukał. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Włożył do ust koniec z filtrem.

— Tylko mi tu nie pal i nie wydziwiał — warknął Bierczyński. — Wynocha, Rąbanka!

Rafał powoli wzruszył ramionami i odwrócił się do drzwi.

— Przecież nie zapaliłem — rzucił w ramach usprawiedliwienia.

Posterunkowy przepuścił starszego policjanta w drzwiach.

— Ząbek — zawołał za nim odrobinę ciszej komendant, kiedy Rębak zniknął w korytarzu. Policjant odwrócił się. — Pilnuj go, żeby nie sprawiał kłopotów i melduj mi o wszystkim. Chcę dostawać wszystkie szczegóły sprawy.

— Tak jest.

Wyszedł z pokoju. Po niezliczonych plotkach, jakie krążyły po komisariacie na temat Rąbanki, chyba już nikt nie miał do niego zaufania i nie była to kwestia tylko tego, że był tu nowy. Jego zachowanie zdawało się tylko potwierdzać teorie o porywczej i buńczucznej naturze byłego detektywa. Nie w smak jednak było Ząbkowi donoszenie na współpracownika Bierczyńskiemu. W końcu zanosilo się na to, że będą trochę ze sobą pracować i lepiej by było dla Ząbka, gdyby ich relacje nie były zbyt napięte.

Eliza odłożyła czasopismo i stuknęła w wyświetlacz iPhone'a. Było jeszcze dość wcześnie. Dzieciaki miała odebrać dopiero za parę godzin. Dziś, jak nigdy, cieszyła się z dodatkowych zajęć z angielskiego, na które zapisała bliźniaki kilka miesięcy wcześniej. Dzięki temu teraz miała dla siebie większość dnia. Piotr wracał dopiero na kolację, więc dla siebie i chłopców nie musiała starać się z obiadem.

Spojrzała w bok. Za oknem szarość zalewała powoli świat, przysłaniając widok na las w oddali.

— Znowu będzie trzeba zamówić kogoś do ogrodu — pomyślała mimochodem, obserwując krzaki przy granicy działki. Miała na to jeszcze sporo czasu. Wiosna tego roku przechodziła opornie.

Westchnęła i ruszyła do kuchni zrobić sobie herbatę. Siedzenie w domu ją nudziło, ale przez tę aferę z ojcem nie mogła się tak od razu pokazać w pracy. Dla dobra wizerunku musiała pokazać, jak bardzo wstrząsnęła nią jego śmierć. Odmówiła klientki i została w domu, aby wzmocnić to wrażenie. Założyła czarne jeansy i golf, który podkreślał jej smukłą sylwetkę. Przecież nawet w żałobie nie musiała wyglądać jak oferma. Żałowała tylko, że nikt jej nie mógł zobaczyć w tym stroju.

Śmierć ojca tak naprawdę niewiele ją obeszła. Od lat nie utrzymywała z nim większego kontaktu. Mieszkał na tyle blisko, że nie mogła całkowicie z niego zrezygnować tak, jak zrobiła to Wera, przeprowadzając się na stałe do Poznania i nie pokazując w Mroczycach przez dziesięć lat. Eliza z ojcem spotykała się głównie na ulicy, w okolicach supermarketu lub monopolowego. Kilka razy w parku, ale tylko wtedy, kiedy chciał od niej pieniędzy. Nie potrafiła mu odmówić. Głównie dlatego że nie chciała, żeby jeszcze bardziej rozgościł się w życiu jej rodziny. Wystarczyło, że ona musiała go znać. Nie zamierzała pozwolić, żeby spotykał się z chłopcami, a tym bardziej z Piotrem, więc płaciła mu za trzymanie się z daleka. Na szczęście nie przychodził często. Te wydatki udawało jej się jakoś ukryć przed mężem bez większego kłopotu.

Nie spodziewała się, że ojciec utopi się w jeziorze. Pani Róża przybiegła do niej z samego rana z nowinami. Nie zabawiła długo, bo poczucie obowiązku powiadomienia każdego zainteresowanego — a w jej mniemaniu zainteresowani byli wszyscy w Mroczycach i okolicy — pchało ją w dalszą drogę jak owsiki w tyłku. Ledwie zdążyła przekroczyć próg, zlustrować przestronny korytarz i część salonu, widoczną od wejścia. Opowiedziała Elizie o tym, że jakiś wędkarz znalazł ciało Macieja Zabudy w jeziorze i tyle ją było widać. Eliza patrzyła na oddającą się szybko kobietę i zastanawiała, co dalej. Z pewnością musiała zostać w domu. Siedzenie w zamknięciu ją jednak dobijało. Bez towarzystwa czuła się jak więzień. Między innymi dlatego tak szybko po urodzeniu chłopców wróciła do pracy. Oficjalnie chodziło o firmę, którą prowadziła. Była jedyną kosmetyczką w promieniu dwudziestu kilometrów i bardzo chciała, aby tak zostało. Doskonale wiedziała, że rynek nie znosi próżni i jeśli odpuści, natychmiast pojawi się ktoś na jej miejsce. Na to nie mogła pozwolić. Dlatego tak nalegała. Taka przynajmniej była wersja oficjalna. Prawda była trochę inna — siedzenie z chłopcami i opiekowanie się nimi przez całą dobę doprowadzało ją do szaleństwa. W końcu przyłapywała się na myślach, że najchętniej udusiłaby te płaczące bachory poduszką. Po pół roku uciekła do pracy. Zmiana otoczenia i ludzie dobrze jej zrobili. Znowu pokochała dzieci i cieszyła się ze spędzonych z nimi godzin. Wydawało jej się, że dzięki pracy była lepszą matką.

Nie musiała pracować, bo Piotr dobrze zarabiał, ale ona chciała mieć coś dla siebie, własny azyl. Zatrudnili panią Bożenkę, która opiekowała się chłopcami, póki nie dorosli do

przedszkola. Później było łatwiej. Kiedy lada moment mieli pójść do szkoły, Eliza liczyła, że będzie jeszcze lepiej. Teraz, gdy chodzili do zerówki, życie stało się łatwiejsze.

Może gdyby nie Wera. Co prawda Eliza sama sprowadziła ją sobie na głowę. Niepotrzebnie upierała się, że siostra ma osobiście podpisać wszystkie dokumenty związane ze sprzedażą spadku po matce. Namówił ją na to Piotr, bo dom był stary, a oni nie chcieli przecież wydawać pieniędzy na remont. Nie był im do niczego potrzebny. Z ojcem matka dawno była po rozwodzie. Co prawda chciał, żeby mu odpalić jakąś dolę, ponieważ uważał, że mu się to należało. Piotr był innego zdania, Eliza zresztą też, jednak postanowili, że coś ojcu dadzą, żeby się uciszył. W końcu dom szedł za całkiem niezłą cenę.

Do podziału była jeszcze Weronika. Eliza nie potrafiła zrozumieć postępowania siostry. Najpierw chciała zrezygnować ze wszystkiego. Twierdziła, że z domem i mamą nic jej nie łączyło od dawna i nie zamierza wracać do przeszłości. Później okazało się, że prawnie i tak należy jej się część spadku. Eliza z Piotrem uznali, że sprzedaż i podpisanie papierów będzie najłatwiejszym wyjściem. W ten sposób mieli zaoszczędzić na notariuszu i załatwić wszystko za jednym zamachem. Nieoczekiwanie Wera zgodziła się na przyjazd do Mroczyca. Z tego powodu Eliza zastrzegła jej, że nie może wchodzić do domu, bo jest wysprzątany, wyczyszczony i gotowy na nowego właściciela. Jeszcze tego by brakowało, żeby Weronika zmieniła zdanie i postanowiła zatrzymać tę ruderę. Wystarczająco dużo fermentu zrobiła, wyjeżdżając z miasteczka i nie odzywając się do rodziny. Wśród mieszkańców niemal natychmiast pojawiły się spekulacje i plotki. Eliza nasłuchiwała się ich tyle, że miała dosyć do końca życia. Dlatego postanowiła nie dać sąsiadom powodów do drwin czy plotek. Zamierzała załatwić wszystko szybko, zanim Mroczyce na dobre obiegnie informacja, że Wera wróciła.

Eliza zalała kubek z herbatą do pełna i wrzuciła plasterki cytryny. Trochę wody wydostało się na zewnątrz i rozpląnęło po kamiennym blacie. Zakłęła cicho, wycierając szybko płamę do sucha ręcznikiem papierowym. Kątem oka dostrzegła w oknie kuchennym jakiś ruch. Wszystkie myśli o siostrze i ojcu czmychnęły w popłochu, kiedy skupiła się na tym, co działo się na podjeździe. Przed jej domem zaparkował radiowóz i wysiadło z niego dwóch policjantów. Eliza zmarszczyła brwi. Tylko tego jej brakowało, żeby sąsiedzi zaczęli plotkować, że odwiedza ją policja. Mężczyźni zmierzali przez otwartą bramę w stronę domu. Odstawiła więc kubek obok zlewu i ruszyła do przedpokoju.

Nie zamierzała otwierać od razu, żeby nie pomyśleli, że ich widziała albo że ich obecność ją zestresowała. Po tym, jak we wnętrzu rozniósł się melodyjny dźwięk dzwonka, a później stukanie, odczekała jeszcze chwilę, licząc do dwudziestu. Po drodze do drzwi rzuciła kontrolne spojrzenie w duże lustro w przedpokoju. Ciemne ubranie podkreślało ufarbowane na blond włosy.

Za drzwiami stał Tomek Ząbek, z którym kiedyś chodziła do szkoły. Był co prawda dwa lata niżej, ale pamiętała go. Drugi policjant nie był jej znany, nigdy z nim nie rozmawiała. Nie udzielał się na żadnych festynach czy kościelnych uroczystościach, dlatego do tej pory nie miała okazji go poznać.

— Tak? — spytała ostrożnie.

— Dzień dobry, jesteśmy z policji — zaczął starszy i zmierzył ją od stóp do czubka głowy. — Nazywam się Rafał Rębak. My w sprawie śmierci pani ojca, możemy porozmawiać?

Eliza zmarszczyła lekko brwi. Z pewnością nie przyszli jej powiedzieć o jego śmierci. Do tego powinni chyba być delikatniejsi, a i jej strój świadczył o tym, że już dotarła do niej ta informacja. Zastanawiała się, o co innego mogło im chodzić.

— Słucham — powiedziała w końcu, gdy cisza się przedłużała.

Nie cofnęła się do środka, wciąż nie będąc pewną, czy chce ich wpuszczać. Przez chwilę

próbowała rozważyć, czy powinna to zrobić. Co powiedzą sąsiedzi, jeśli będzie z nimi rozmawiać w progu? W końcu uświadomiła sobie, że jeśli stoją na werandzie, każdy może ich podsłuchać, nawet przypadkiem. Na tę myśl cofnęła się gwałtownie.

— Proszę, niech panowie wejdą.

Rębak przekroczył próg bez wahania. Obaj podążyli za Elizą do kuchni.

— Panowie wybaczą, jestem trochę roztrzęsiona z tego powodu — rzuciła w ramach usprawiedliwienia, odruchowo przecierając dłonią czysty blat. Odwróciła się w ich stronę.

— To zrozumiałe. — Rafał uśmiechnął się łagodnie, od razu przechodząc do rzeczy. — Nie będziemy pani zajmować za dużo czasu. Chciałem tylko zadać kilka pytań. Po pierwsze, kiedy ostatnio rozmawiała pani ze swoim ojcem?

Eliza zawahała się, właściwie nie pamiętała dokładnie.

— Chyba kilka dni temu, spotkałam go przy spożywczym. Przywitaliśmy się wtedy.

— Nie utrzymywała pani bliższego kontaktu z ojcem. — Pytanie Rębaka brzmiało jak stwierdzenie. Eliza znów zmarszczyła brwi.

— Raczej nie — odparła otwarcie, ta część ich rodzinnych relacji była powszechnie znana i nie było co ukrywać. — Ojciec zostawił nas wiele lat temu, ale wie pan, jak to jest. Jak się mieszka w tej samej miejscowości, trudno się nie spotkać.

— Wczoraj go pani nie spotkała?

— Nie — odpowiedziała od razu.

— A co z domem, który pani sprzedaje? Nie rozmawiała pani o nim z ojcem?

— Rozmawiałam, ale to już dawno...

— Ojciec chciał, żeby oddała mu pani część pieniędzy ze sprzedaży.

Znów ten sam ton, stwierdzający, a nie pytający. Eliza czuła, jak narasta w niej wściekłość. Co ten człowiek sobie wyobrażał? Co insynuował? Czy nie mógł zostawić jej w spokoju?

— Chciał — przyznała przez zaciśnięte zęby. Splotła ręce na piersi, jakby zamierzała się przed nimi obronić. — Ale to też załatwiliśmy już dawno. Miałam mu oddać część pieniędzy.

— To była duża suma?

Wzruszyła ramionami.

— Zależy, jak na to spojrzeć. Dla tego pijaka pewnie była ogromna.

— Jak duża?

Spojrzała na niego z otwartą wściekłością. Nagle zapragnęła, żeby Piotr był przy niej. Mąż z pewnością poradziłby sobie doskonale ze wścibskim policjantem. Wiedziała by co powiedzieć, żeby mu w piętę poszło. I żeby przestał zadawać takie pytania.

— Około dziesięciu tysięcy... Po co pan pyta o takie rzeczy?

— Zbieramy tylko informacje o pani ojcu, proszę się nie denerwować.

— Mój ojciec się dzisiaj utopił, a pan wypytuje mnie o pieniądze i jeszcze każe się nie denerwować? — fuknęła rozeźlona.

— Chcemy ustalić pewne fakty — odparł spokojnie Rębak, nadal nie spuszczać z niej oczu. — Ponieważ istnieją uzasadnione podejrzenia, że pani ojciec się nie utopił.

Eliza otworzyła usta ze zdziwienia. Nie rozumiała, co do niej mówił.

Przecież pani Róża przybiegła dzisiaj i sama mówiła... więc, co? Po co ta szopka? — myślała szybko. — Nie utopił się tylko udawał? Po co ona robiła z siebie idiotkę?!

— Więc... co? — wyrwało się jej nieświadomie.

— Istnieje podejrzenie — mówił dalej bardzo powoli, obserwując ją uważnie — że pani ojciec został zamordowany.

— Nie wierzę... — jęknęła.

Oparła się ciężko o kuchenny blat. Czuła, jak wszystko wiruje wokół w coraz szybszym tempie. To nie trzymało się kupy. Jej ojciec zamordowany? Przez kogo? Może nie był ideałem, ale nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo w Mroczycach, kto mógłby zrobić coś takiego. Poczuła, jak do gardła podchodzi jej śniadanie. Odwróciła się od policjantów, pochylając się w stronę zlewu. Pierwsze odruchy ustąpiły moment później. Podniosła głowę i odetchnęła głęboko. Za oknem dostrzegła wjeżdżającą na podjazd granatową hondę civic. Po chwili ze środka wysiadł Piotr. Wysoki, szczupły z włosami przeplatany przedwczesną siwizną. Spojrzał w stronę stojącego na zewnątrz wozu policyjnego i natychmiast ruszył do domu. To jej dodało odwagi. Za chwilę przyjdzie i obroni ją przed policjantami. Odwróciła się ponownie w ich stronę. Stali spokojnie, nie spuszczając z niej wzroku, Rębak w skupieniu, Tomek z lekkim niepokojem.

— Czy wie pani coś o wrogach ojca? — zaczął ponownie Rafał.

— Ja... — Zawahała się. — Nic...

— Kochanie? — Głos Piotra rozległ się od samego progu. — Kochanie, gdzie jesteś?

Mężczyzna wpadł do kuchni. Jednym spojrzeniem omiół całe pomieszczenie, roztrzęsioną żonę i dwóch policjantów stojących naprzeciw. Natychmiast podszedł do Elizy i objął ją. Przytuliła się do niego. Zamknięta w jego silnych ramionach poczuła się odrobinę bezpiecznie.

— Kochanie, przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem. Jak się czujesz?

— Teraz lepiej — przyznała słabym głosem.

— Kim panowie są? — zwrócił się do gości, choć po samochodzie na zewnątrz i ich ubiorze było to raczej pytanie retoryczne.

— Podkomisarz Rafał Rębak — przedstawił się spokojnie policjant. — Prowadzę sprawę Macieja Zabudy.

— Czego pan chce od mojej żony? — Piotr natychmiast na niego naskoczył. — Nie widzi pan, w jakim jest stanie?

— Musimy porozmawiać z rodziną. Nie mieliśmy zamiaru zdenerwować małżonki.

Ton głosu Rąbanki nie zmienił się ani odrobinę. Ząbek, stojący obok i nie odzywający się ani słowem przez całą wizytę, chłonął każdy gest i każde słowo byłego detektywa. Nie mógł wyjść z podziwu.

— Skończyli panowie? To proszę wyjść.

— Właściwie to tak, skończyliśmy na tę chwilę — odparł powoli, jakby delektował się tymi słowami. Uśmiechnął się delikatnie. Wcale nie spieszyło mu się do wyjścia. Przeciągał wizytę do granicy tolerancji właściciela domu. — Pewnie jeszcze przyjdę wyjaśnić kilka rzeczy... Na razie do widzenia. Sami trafimy do wyjścia.

Rębak skłonił głowę prawie niedostrzegalnym gestem i odwrócił się na pięcie. Ząbek rzucił pospieszne pożegnanie i pobiegł za nim, zostawiając gospodarzy w kuchni. Dogonił Rębaka dopiero przy radiowozie. Podkomisarz zatrzymał się i włożył ręce do kieszeni spodni. Rozejrzał się powoli wokół, jakby czegoś szukał. W kilku miejscach delikatnie poruszały się firanki. Wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę gum.

— Ząbek, pochodzisz po sąsiadach i popytasz trochę — zwrócił się do młodszego policjanta.

— O co?

Rębak ostatkiem sił powstrzymał się przed pokręceniem głową. Zdawał sobie sprawę, że chłopak jest naiwny i bez doświadczenia, przez co praca z nim może być trudniejsza. Zaczynał jednak wątpić też w jego umiejętność myślenia.

— O denata, kurwa, Ząbek — wyjaśnił zimnym tonem. — Czy go ktoś ostatnio tu nie widział albo nie słyszał kłótni. Tu każde okno ma oczy. — Kiwnął głową w stronę najbliższego

domu, gdzie za zasłoną dało się dostrzec sylwetkę. — Niemożliwe, żeby nic nie widzieli.

— A jak nie będą chcieli powiedzieć?

— Każdy ma sąsiada, który go nie lubi, w końcu znajdzie się ktoś, kto lubi plotkować. Rębak uśmiechnął się półgębkiem.

— Tak jest.

— Ja wracam do komisariatu.

Wsiadł do samochodu i z wprawą zawrócił na wąskiej uliczce. Ząbek popatrzył za odjeżdżającym, po czym przeniósł wzrok na pierwszy z brzegu dom. Czekala go żmudna i upierdliwa praca.

*

Weronika odetchnęła z ulgą. Główna sala piekarni opustoszała w mgnieniu oka. Kolejna wycieczka wsiadała do zielonego busa, zmierzając do następnego punktu swojej podróży. Część z nich zapewne już zapomniała, że była w niewielkiej, zatłoczonej piekarni i zajadała się bajglami oraz słodkimi drożdżówkami.

Zamknęła kasę i zgarnęła pozostawione na ladzie filiżanki. Schowała je do zmywarki, którą włączyła. Kiedy się prostowała, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Od dawna nie pracowała tak intensywnie fizycznie. Powoli zaczynała odczuwać ból w ramionach od podnoszenia ciężkich biał i w kręgosłupie od stania za ladą i ciągłego przemierzania odległości pomiędzy stoliczkami pod oknem a kasą. Miała wrażenie, że przeszła dziś co najmniej półmaraton. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak Paweł może tak funkcjonować na co dzień. Zupełnie sam, bez pomocy.

Odwróciła się, rozglądając za nim. Z kuchni dochodził cichy brzęk metalu. Musiał sprzątać blachy i przygotowywać je na jutrzejszy wypiek. Starając się nie narobić hałasu, stanęła w progu i obserwowała go przy pracy. Nie zauważył jej, skupiony na tym, co robił. Nucił coś pod nosem. Umorusany mąką, z szerokimi ramionami wypracowanymi od podnoszenia ciężarów, na głowie zawiązał bandankę. Kiedy byli mali, wyglądał jak niewyrośnięta pałka wodna, chudy i wysoki. Nigdy nie myślała, że mógłby zostać piekarzem i przejąć interes. Teraz wydawało jej się, że nigdzie nie pasowałby lepiej.

— Dzień dobry!

Weronika aż podskoczyła, odwracając się gwałtownie. Do piekarni dziarskim krokiem wszedł młody mężczyzna. Na oko mógł mieć najwyżej dziewiętnaście lat. Miał na sobie jeansy i koszulkę z narzuconą na nią pikowaną kurtką, pod spodem wystawał czerwony fartuch do kolan. Mężczyzna w ręce trzymał obszerną torbę termiczną.

— W czym mogę pomóc? — spytała, podchodząc do lady i uśmiechając się łagodnie.

— Przyniosłem spaghetti i sałatki. — Uniósł nieznacznie torbę w górę.

— Tutaj?

Weronika otworzyła szeroko oczy. Przez chwilę nie potrafiła pojąć, po co przynosić jedzenie do piekarni. Z odrętwienia wyrwał ją Paweł.

— Świetnie — rzucił wesoło, wyciągając pieniądze z szuflady pod ladą i wymieniając je z chłopakiem na kilka styropianowych pudełek. — Już myślałem, że padnę z głodu, zanim przyjdziesz.

— Nie żartuj, stary — powiedział rozbawiony chłopak. — Przez tydzień potrafiłbyś ciągnąć bez jedzenia. Gdyby nie ja, to byś wcale nie jadł, no chyba że same drożdżówki. — Wyszczrzył się w uśmiechu, po czym odwrócił do milczącej Weroniki. — Jestem Adam. — Wyciągnął do niej rękę. — Moi rodzice mają restaurację w Dębince, nazywa się „Papaja Bar”. Nie wiedziałem, że Paweł zatrudnił nowy narybek.

— Weronika — odparła odrobinę zmieszana, ale rozbawiona całą sytuacją. — Ja w branży spożywczej robię tylko chwilowo — zastrzegła.

— A szkoda, jesteś ładniejsza od Krzycha — ocenił natychmiast. Odwrócił się jeszcze raz do Pawła, zapinając torbę i zbierając się do wyjścia. — Trafiło ci się, nie ma co.

— Szkoda, że tylko na chwilę. — potwierdził Paweł, patrząc wymownie na Weronikę.

— Ciesz się nią, póki możesz — rzucił filozoficznie Adam, zatrzaskując drzwi. Po chwili usłyszeli stłumiony dźwięk motoru i przed witryną przemknął srebrny skuter z kierowcą objuczonym plecakiem z torby termicznej.

Paweł podszedł do witryny. Rozejrzał się na wszystkie strony, jakby kogoś oczekiwał, po czym przekręcił klucz w drzwiach i odwrócił kartkę. Teraz na zewnątrz można było zobaczyć napis — „Zapukaj trzy razy, a otworzymy”. Poniżej drobniejszym pismem zapisano — „przerwa”. Weronika z początku dziwiła się takiej kartce. Zastępowała tą tradycyjną z napisem „zamknięte”. Najwyraźniej jednak Paweł nigdy nie zamykał na stałe. Dla miejscowych piekarnia była otwarta całą dobę, tylko w nocy w ograniczonym zakresie. Weronika podejrzewała, że w środku nocy rzadko kto potrzebował drożdżówek i był gotów iść po nie do piekarni, ale Paweł z pewnością z chęcią i bez mrugnięcia okiem upiekłby je także o tak nietypowej porze.

— Zawsze się tak żywisz?

Podążyła za nim do kuchni, gdzie zabrał opakowania z jedzeniem. Położył je na roboczym blacie i rozstawił tak, aby były dobrze widoczne. Zaczął je otwierać.

— Często — przyznał.

— I zawsze jest to spaghetti? — Podeszła bliżej. Przyjemny zapach jedzenia podrażniał nos, sprawiając, że zaczęło ją ssać w żołądku.

— Nie, staram się urozmaicać dietę. W poniedziałki to ryż z warzywami, we wtorki spaghetti, środy to dzień kurczaka teriyaki, chyba że jest lato, wtedy to ryż z cukinią...

— Dobra, rozumiem... Masz wszystko zaplanowane...

— Jak się tyle pracuje, to trzeba mieć zaplanowane. Inaczej jest tak, jak mówił Adam, potrafię nie jeść ciepłego posiłku całymi tygodniami — stwierdził, siadając na wysokim taborecie i wskazując jej drugi. — Wybieraj.

Weronika zbliżyła się, przysiadła na krawędzi. Z ciekawością zajrzała do pojemników. Tak naprawdę nie miało dla niej znaczenia, co miałyby na talerzu, ale skoro pytał... Wybór stanowił dwa rodzaje spaghetti, klasyczne z pomidorami i drugie z pieczarkami. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Uwielbiała makaron z pieczarkami i nie zdziwiłaby się, gdyby zamówił to specjalnie dla niej. Przynęła sobie pojemnik z makaronem i sałatkę. Już po chwili jedli w milczeniu, bo głód nie dawał się tak szybko opanować.

— Nie sądziłam, że przejmiesz piekarnię — mruknęła, gdy już zaspokoila pierwszy głód i mogła zwolnić na tyle, żeby mówić wyraźnie pomiędzy kolejnymi kęsami.

— Ktoś musiał — odparł, wzruszając ramionami. — Rodzice nie chcieli, mój brat też nie. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, że ktoś inny chodzi po tych pomieszczeniach, piecze chleb...

Zamyślił się, rozejrzał wokół, jakby szukał wzrokiem swojej babci. Nie znalazł jej, więc znów pochylił się nad jedzeniem.

— A ty, co robisz w mieście? Gdzie pracujesz? — spytał po chwili.

— Nudne rzeczy — odparła wymijająco, ale zerknął na nią w taki sposób, że nie potrafiła na tym skończyć. — Jestem grafikiem w małej firmie zajmującej się meblami. Dbam o ich stronę internetową.

— Nudne rzeczy — przyznał. — Nie chciałaś tego zmienić?

— Nie jest tak źle. Płacą całkiem znośnie, nie narzekam.

— Masz kogoś w mieście, ułożyłaś sobie życie?

Weronika spojrzała na niego z lekkim strachem. Otworzyła usta, po czym je zamknęła. Wahala się, czy coś powiedzieć i Paweł bardzo chciał wiedzieć, nad czym tak myślała. Czekał w napięciu. Wśród tej ciszy zadzwonił telefon. Oboje podskoczyli jak rażeni prądem. Weronika natychmiast spojrzała na wyświetlacz i odwróciła się gwałtownie. Zanim odebrała połączenie, wyszła na schody, prowadzące do mieszkania na górze, przez co słabo słyszał słowa. Przez chwilę rozmawiała, zdając się w sumie zadowolona z telefonu.

W końcu pożegnała się radośnie, cmoknęła w słuchawkę i zakończyła połączenie. Wróciła do stołu i przysiadła na krześle. Paweł obserwował ją z zaciekawieniem. Cała aż promieniała, jakby wydarzyło się coś naprawdę dobrego albo jakby rozmawiała z kimś bliskim, za kim bardzo tęskniła. Zastanawiał się, kim mogłaby być ta osoba. Natychmiast przyszedł mu do głowy inny mężczyzna i poczuł ukłucie zazdrości. Weronika była ładna, zgrabna i młoda, z pewnością w dużym mieście mogła przebierać w facetach na pęczki. Musiała zatem skusić się na jakiś związek. Spochmurniał na myśl, że ktoś inny mógł w niej wywoływać takie silne emocje.

— Coś dobrego się stało? — spytał wreszcie, starając się ważyć słowa, ale wyszło to sztucznie.

— Tak.

Jej odpowiedź go nie usatysfakcjonowała. Przez chwilę czekał na więcej, jednak nie zamierzała kontynuować.

— Ktoś z rodziny? — spróbował ponownie. — Wyglądasz... radośnie — wyjaśnił, gdy spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

Zaczęła grzebać widelcem w styropianowym pojemniku. Resztką makaronu wystygła i Weronika straciła na nią ochotę. Musiała jednak czymś zająć dłonie, żeby nie zauważył, jak zaczęły jej drżeć.

— Dzwoniła przyjaciółka, żeby opowiedzieć, co się działo, kiedy mnie nie ma — odparła wymijająco. Przez cały czas unikała jego wzroku.

Paweł chciał jeszcze chwilę ją przetrzymać, w nadziei, że powie więcej, ale musiał zrezygnować, bo dobiegło ich intensywne pukanie z sali piekarni.

— Koniec przerwy. — Westchnął i zabrał pojemniki. Weronika ruszyła do drzwi otworzyć zniecierpliwionym, głodnym turystom.

Dziwiła się po drodze, że w tak małej miejscinie jest tak dużo wycieczek. Co prawda wszystkie wpadały tu na chwilę w drodze powrotnej z ruin grodu, jednak nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak popularne było to miejsce.

Przekręciła klucz w drzwiach i wraz z powiewem świeżego powietrza do piekarni wpadło kilka zmarzniętych osób. Wokół zrobiło się gwarno. Część z klientów skierowała się natychmiast w stronę półek z jedzeniem, jakaś para zajęła miejsce przy stoliku, by chwilę odsapnąć. Zaczęli rozglądać się za obsługą.

Weronika podeszła do nich z uśmiechem i wyciągnęła z kieszeni fartucha notes i ołówek. Po chwili miała zapisaną całą kartkę.

*

Eliza pożegnała męża i przez chwilę patrzyła jeszcze przez okno kuchenne, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Rzadko zdarzało mu się wracać do domu na lunch. Tym razem była mu naprawdę wdzięczna za tę intuicję. Z drugiej strony nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że został zawiadomiony przez kogoś z sąsiadów. Czasami ulegała wrażeniu, że wszystko miało oczy. Każde okno, drzwi, a nawet dziury w płocie i słupy elektryczne. Możliwość zachowania tajemnicy była wręcz znikoma. Zwykle jej to nie przeszkadzało, zwłaszcza jeśli nie chodziło o nią i mogła dowiedzieć się o sąsiadach czegoś kompromitującego. Ktoś przyszedł, ktoś coś

wspomniał i kolejna niewygodna tajemnica wychodziła na jaw. Spotkania przy popołudniowych kawach czy przed szkołą, czekając na dzieci, stawały się o wiele ciekawsze.

Odetchnęła głęboko. Piotr, tak jak podejrzewała, zadziałał na nią kojąco. Po wyjściu policjantów stał jeszcze przy oknie i obserwował ich uważnie. Dopiero kiedy samochód zniknął za zakrętem, a pozostali na chodniku funkcjonariusz ruszył w stronę sąsiedniego domu, Piotr zerknął jeszcze kontrolnie na drugą stronę ulicy i oderwał się od kuchennego blatu.

— O co pytali?

Elizę lekko zaskoczył ton jego słów. Był ostry i nerwowy. Zrzuciła to jednak na karb samego wydarzenia. W końcu żadne z nich nie chciało zostać bohaterem okolicznych plotek, a po utopieniu się jej ojca i wizycie policji raczej nie mieli szans na spokój w perspektywie najbliższych tygodni.

— O ojca — odparła, nerwowo wyginając palce z perłowymi tipsami. — Chcieli wiedzieć, kiedy ostatnio z nim rozmawiałam i czy miał wrogów.

— I co im odpowiedziałas?

Jego przesłuchanie nie było lepsze od tego sprzed chwili.

— Przecież wiesz... — odparła, a głos lekko jej zadrżał. — On nie miał wrogów. Był głupcem i pijakiem, ale z nikim nie walczył.

Piotr odetchnął, jakby kamień spadł mu z serca. Popatrzył na nią łagodniej. Wreszcie zauważył, jak jest rozdygotana i uśmiechnął się pocieszająco. Podszedł bliżej, zamykając ją w bezpiecznym uścisku swoich ramion. Eliza potrzebowała chwili, żeby wrócić do równowagi. Powoli znów poczuła się bezpiecznie. Piotr trwał tak dobrą minutę, głaszcząc ją po plecach jak małe dziecko. W końcu jednak delikatnie się odsunął.

— Kochanie, niestety nie mam całego dnia — mruknął. — Wpadłem tylko na chwilę, ale jestem strasznie głodny.

— Jasne, zaraz ci coś przygotuję.

Zabrała się za przyrządzenie szybkiej sałatki ze składników, które znalazła w lodówce. W tym była dobra, potrafiła przez żołądek trafić do serca prawie każdego. Piotr też poddał się temu urokowi, do czego niechętnie się przyznawał. W sumie było mu z nią dobrze, choć jej rodzina nie należała do modelowych. Eliza wiedziała o tym, że Piotr patrzył przez palce na tę sytuację, choć nie potrafił do końca przełknąć tego, jak przez pijaństwo jej ojca i rozwód rodziców postrzegali ich sąsiedzi. W końcu rozwód to nie była codzienność, nie tu. Eliza starała się ze wszystkich sił wynagrodzić mu te mankamenty i zwykle to doceniał. Pilnował tylko, żeby nie poczuła się za bardzo pewnie, w końcu była jego żoną i to była jedyna wartość, jaką miała sobą przedstawiać.

— Jak się trzymasz? — spytał.

— Teraz już lepiej.

— Pani Róża była? — Bardziej stwierdził, niż zapytał, bo w końcu kto inny mógł przynosić jakieś wieści.

— Tak, była z rana, niedługo po tym, jak wyszedłeś.

— Pewnie już wszyscy wiedzą.

— Dlatego zostałam w domu i odwołam wizyty.

— Dobrze.

Eliza przytaknęła.

— Nie chcę, żeby wszyscy mnie żalowali i przyłazili tylko po to, żeby zobaczyć, jak się czuję — przyznała. — Zostanę w domu jeszcze trochę, póki im nie przejdzie pierwsza fala.

— A jak twoja siostra?

Eliza odwróciła się do niego z zaskoczeniem.

— A co ma być?

— Jest już w Mroczycach, prawda?

— Tak — przyznała z wahaniem i wróciła do krojenia pomidorów. — Pisała wczoraj, że przyjeżdża. Zatrzymała się u Hani.

— Miała się spotkać z twoim ojcem?

— Nie mam pojęcia. Myślę, że nie. Nigdy nie pałali do siebie uczuciem. Z mamą Weronika jeszcze utrzymywała sporadyczny kontakt, ale z ojcem nie chciała. Nie sądzę, aby miała ochotę się z nim spotykać.

— Nie musiała tego chcieć — odparł.

Eliza przerzuciła pomidory i zamieszała w misce. Doprawiła resztę, wyciągnęła z lodówki tartinki z mięsem z wczorajszego podwieczorku i wrzuciła je do mikrofalówki.

W ciągu kilkunastu minut postawiła na stole miskę z sałatką, kanapki, tartinki, kawę i sok. Jak przystało na dobrą panią domu, była przygotowana na każdą możliwość. Piotr zasiadł za stołem z zadowoleniem. Położył komórkę na blacie, aby znajdowała się w zasięgu ręki, gdyby zadzwoniła. Lubił mieć wszystko pod kontrolą i być dobrze poinformowanym. Eliza już dawno przyzwyczała się do tych rzeczy. Napełniła sobie kubek świeżą herbatą i usiadła obok niego. Przez chwilę obserwowała w milczeniu, jak z ochotą pałaszował sałatkę.

— Myślisz, że ona może mieć z tym coś wspólnego?

— Kto? I z czym? — spytał z pełnymi ustami.

— Wera, ze śmiercią naszego ojca?

— Nie mam pojęcia.

— Może powinnam powiedzieć o tym policjantom?

— O czym?

Piotr skończył porcję sałatki i przerzucił się na tartinki. Nałożył sobie od razu dwie i rozkroił, aby lekko ostygły.

— O tym, że przyjechała i to może mieć jednak coś wspólnego z nim?

Piotr zawahał się przy jedzeniu. W końcu odłożył sztućce, otarł usta serwetką i mlasnął głośno, próbując wyciągnąć językiem z zębów zagubiony kawałek skórki pomidora. W końcu odpowiedział, a jego twarz przybrała grobowy wyraz.

— Sądzisz, że to dobry pomysł?

— Nie rozumiem — odparła, potrząsając głową.

— Jak rzucisz na nią podejrzenia, to szybko się to rozniesie. Nie masz żadnych dowodów, a ludzie będą plotkować na potęgę. Zrobi się z tego afera — tłumaczył. — Nie wystarczy ci, że już uważają ją za niewdzięcznicę, bo wyjechała do dużego miasta? Nie wystarczy, że mówią o twoim ojcu pijaku, który się teraz utopił?

Eliza milczała. Spuściła głowę i utkwiła spojrzenie w blacie stołu, jakby to była najciekawsza rzecz na świecie. Czują, że miał rację, nie posiadała nic na udowodnienie swoich teorii, to mógł być najzwyczajniejszy przypadek. Do tego to przecież ona ściągnęła Weronikę do Mroczyc, nie ojciec. Jeśli okazałoby się, że Wera jest niewinna, plotkom i tak nie byłoby końca. Ktoś mógłby się domyślić, że to ona napuściła policję na siostrę.

— Oczywiście nie można niczego wykluczyć. — Piotr podjął watek wraz z jedzeniem. Szybko zniknęły kolejne kęsy, po chwili nie było śladu po tartinkach. — Twoja siostra mogła przecież przyjechać tylko na podpisanie papierów, a zjawiała się wcześniej i to akurat teraz.

— Więc myślisz...

— Ja tylko opisuję fakty — zastrzegł natychmiast.

— Więc co mam zrobić?

— Nie musisz nic robić, nie pytali cię o nią. — Wzruszył ramionami. — Poza tym, pewnie ktoś inny i tak podsunie im tę myśl.

Piotr wstał i zgarnął do kieszeni komórkę. Ucałował żonę w czubek głowy i nim się obejrzała, był już na zewnątrz.

Patrzyła, jak odjeżdżał, wspominając całą rozmowę i zastanawiając się co zrobić. Teraz odpowiedź na to pytanie nie wydawała już się taka oczywista.

W zasadzie nie znała swojej siostry. Pamiętała ją z dzieciństwa i z czasów młodości. Weronika wyjechała tuż po maturze i więcej do Mroczyńców nie wróciła. Eliza miała wtedy szesnaście lat. Przez te dziesięć lat na palcach jednej ręki można było policzyć, ile razy ze sobą rozmawiały, a gdyby nie namowy matki, pewnie nie zaprosiłaby jej nawet na swój ślub. Raz, siedem lat temu, Eliza spotkała się z nią w Poznaniu. Rozmawiały w kawiarni, ale nie jak siostry, tylko jak dwie w zasadzie nieznajome osoby. Weronika zdawała jej się wtedy tak odległa i obca, że nie potrafiła zdobyć się na odwagę i zapytać, co stało za jej wyjazdem. Dlaczego zostawiła ją i matkę, i postanowiła się zupełnie odciąć. To samo zrobiła z Pawłem, a przecież przed wyjazdem byli parą, wyglądali na bardzo zakochanych. Nawet na studniówce byli razem.

Eliza najbardziej zazdrościła jej pięknej, błękitnej sukienki, którą uszyła matka, znakomicie podkreślała ciemne włosy i jasną karnację siostry. Marzyła, że założy ją, kiedy sama będzie szła na studniówkę i nie mogła wybaczyć Weronice, że ta wróciła w pomiętym i poplamionym stroju. Matka próbowała go naprawić i doczyścić, ale Eliza już zmieniła zdanie. Wolałaby iść w jeansach i T-shircie, niż zakładać na siebie taki łań. W ostateczności matka pożyczyła pieniądze i kupiła nowy materiał. Jej sukienka była skromniejsza, z szeleszczącej tafty tak sztywnej, jakby ją ktoś wykrochmalił, ale przynajmniej była jej własna.

Eliza zebrała naczynia z kuchennego stołu i włożyła do zmywarki, dziwiąc się temu, ile naszło ją wspomnień. Zapewne było to spowodowane obecnością siostry w Mroczyńcach, bo przecież przez ostatnie dziesięć lat myślała o niej rzadko.

Gdy zamknęła zmywarkę i rozległ się uspokajający szum napuszczanej wody, wiedziała już co zrobić. Chwyliła za komórkę i wykręciła numer.

Ząbek wyszedł z kolejnego domu z poczuciem ulgi. Był dziś w ósmiu, zazwyczaj zatrzymywany ponad miarę przez ciekawskich mieszkańców, którzy sami z siebie jednak niewiele chcieli lub potrafili powiedzieć. Ich dociekliwość była za to wręcz irytująca. Chwilami czuł się, jak uczestnik przesłuchania w zgoła nieodpowiedniej, dla jego zawodu, roli. Zamiast ich odpytywać, sam odpowiadał na pytania. W końcu miał dość. Rąbanka musi zadowolić się tym, co osiągnął.

W zasadzie nie dowiedział się niczego nowego. Maciej Zabuda zdawał się nie mieć żadnych wrogów. Nikt nigdy nie widział, żeby się z kimś specjalnie kłócił. Może raz czy dwa przyszedł pod dom córki pijany w sztok i trochę się awanturował. Były to ścięcia niemrawe i szybko pacyfikowane przez Elizę lub jej męża, a Macieja odwożono do jego domu w Mroczykach. Nikt nigdy nie widział, aby groził komuś lub by ktokolwiek groził jemu. Wyglądało na to, że Maciej Zabuda był ogólnie spokojnym człowiekiem i nie było nikogo, kto chciałby się go pozbyć. Przez cały czas Ząbek miał jednak wrażenie, że coś mu umyka. Jakby któryś z klocków układanki znajdował się na granicy jego widzialności i przez to nie mógł poprawnie złożyć obrazka.

Posterunkowy ruszył powoli opustoszałą uliczką. Do komendy w Mroczykach, gdzie zostawił swój samochód miał krótszą drogą, przez las i przy jeziorze, ponad trzy kilometry. Nie chciało mu się jednak spieszyć. Jego służba minęła, wypytał tylu ludzi, ilu się dało, a raport zamierzał napisać dopiero następnego dnia. Rozglądał się na boki w zamyśleniu. We wszystkich oknach paliło się światło. Teraz już jednak nikt nie wyglądał przez zasłonki, przynajmniej tak mu się wydawało.

Jego komórka ożyła. Wyciągnął ją z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Przez chwilę bił się z myślami, czy odebrać połączenie. W końcu przesunął palcem po ekranie i przyłożył aparat do ucha.

— Ząbek, słucham — rzucił na powitanie.

— Gdzie ty się, kurwa, podziewasz — warknął głos w słuchawce. — Już dawno powinienem mieć na biurku raport z przesłuchań.

— Dopiero co wyszedłem z ostatniego domu — zająknął się chłopak w usprawiedliwieniu.

— Gównu mnie obchodzi, że jesteś powolny — przerwał mu Rębak. — Mam mieć raport w ciągu godziny, rozumiesz?

Ząbek się zawahał. Irracjonalnie w pierwszej kolejności zaczął liczyć, w jakim czasie jest w stanie dotrzeć do komisariatu, o pisaniu czegokolwiek nie było mowy.

— Ale ja...

— Ma być wykonane.

Rąbanka rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Ząbek wpatrywał się z niedowierzaniem w wyświetlacz komórki, póki ten nie zgasł. Zanim to zrobił, prześmiewczo wskazał godzinę dwiętnastą. Nie miał co liczyć na skończenie służby i spokojny powrót do domu. Musiał się pospieszyć, jeśli chciał mieć obsuwę czasową w granicach półtorej godziny, zamiast siedzieć w pracy do drugiej w nocy.

Wreszcie otrząsnął się z szoku, schował komórkę do kieszeni i przyspieszył kroku. Przemyslenia musiały poczekać, na razie ważne było, żeby jak najszybciej wrócić do komisariatu. Wybrał dłuższą, prawie dziesięciokilometrową drogę asfaltową, licząc, że złapie tam jakiś samochód zmierzający do Mroczyk.

*

Weronika zdjęła fartuch i potarła zeszywniały kark. Przed chwilą zamknęła drzwi za ostatnim klientem. Przez piekarnię przewinęło się ich dziś tyle, że nie była w stanie policzyć. Wyczyścili prawie wszystkie koszyki. Zostały jedynie smętne resztki. Rozglądała się przez chwilę po sali, po raz kolejny tego dnia nie mogąc wyjść z podziwu dla Pawła. Co prawda podkreślał, że zwykle pomagał mu chłopak z sąsiedztwa, ale mimo to była pod wrażeniem. Kiedy była mała i przychodziła z Pawłem do jego babci, nie zdawała sobie sprawy, ile wysiłku kosztowało tę, niewielką w sumie, kobietę prowadzenie piekarni. Nie pamiętała dobrze, czy wtedy było tu tyle samo klientów, chyba nie. Ruiny jako atrakcja turystyczna stały się popularne raptem kilka lat temu, kiedy do Mroczy z stałą linią PKS cztery razy dziennie i pobliską linią PKP, wkroczył wielki świat w postaci dotacji unijnych na zabytki kultury. To nawet nie sami władarze o nie zabiegali, ale konserwatorzy i archeolodzy wraz z miłośnikami zabytków słowiańskich. Pamiętała, jak śledziła w Internecie kolejne doniesienia o możliwości dofinansowania wykopalisk i rekonstrukcji grodu. Oglądała z zachwytem wizualizacje tego, co wedle historyków stało w Mroczy przed wiekami.

— Jeszcze tylko zabiorę potykacz. — Paweł wyszedł z kuchni. Wyglądał na zmęczonego. W końcu w przeciwieństwie do niej, on był na nogach drugą dobę. Za to też go po trochu podziwiała. Miał rumieńce na twarzy, ale oczy błyszczały mu szczęściem, jak za dawnych czasów, kiedy chodzili ze sobą w liceum. Uwielbiała zaglądać w te niebieskie tęczęwki tak wesoło, jak letnie niebo.

— Posprzątam stoliki i kosze — zadeklarowała.

— Nie musisz. — Zatrzymał ją niedbałym ruchem ręki. Na chwilę zniknął na zewnątrz, po czym wrócił ze stojakiem. — Ja to zrobię.

Weronika zmarszczyła brwi. Nie wahała się ani chwili. Zgarnęła tacę oraz ścierkę i ruszyła pomiędzy trzy stoliki.

— To zajmij się podłogą, a ja stolikami. Razem pójdzie nam szybciej — odparła. Na chwilę się wyprostowała. — Na pewno chcesz iść do Hani? Może zadzwonię do niej i odmówię.

— Dlaczego?

— Bo jesteś na nogach coś koło czterdziestu godzin? — Przechyliła lekko głowę.

— Żartujesz? — Uśmiechnął się zawiadaczko. — Aż taki stary nie jestem, żebym nie wytrzymał tyle bez snu. Też chętnie się z nimi spotkam. Jeszcze nie widziałem malej.

Weronika odrobinę wątpiła w te deklaracje, ale nie zamierzała się z nim kłócić. Wróciła do sprzątania. Paweł w tym czasie zabrał się za zamiatanie. Kilka minut później chodził z mopem. Weronika załadowała zmywarkę, włączyła ją i zajęła się kosztami po pieczywie. W ciągu pół godziny udało im się ogarnąć wszystko. Pracowali ramię w ramię, uzupełniając się, jakby robili to od lat. Paweł obserwował dziewczynę ukradkiem, dziwiąc się, z jaką łatwością odnajdywała się w każdym miejscu. To spostrzeżenie nasuwało mu kolejne pytania, co robiła przez te lata, kiedy jej nie było. Fantazjował o przyziemnych sprawach, np. jak wyglądała jej codzienność. Robił to nie pierwszy raz, jednak nigdy jego wyobrażenia nie były tak realistyczne.

Gdy zgasił w sali światło i wreszcie przygotowali się szybko do wyjścia, było już dobrze po dziewiętnastej.

— Nie sądzisz, że może być za późno? — Weronika przygryzła wargę, spoglądając na staromodny zegar wiszący na ścianie w salonie.

— Spokojnie. Poczta jest do osiemnastej. Zanim Hania wróci do domu i coś przygotuje, minie trochę czasu. Zjawimy się w sam raz.

— A dzieciaki?

Paweł zawahał się. Nie bardzo wiedział co jej na to odpowiedzieć.

— Chodzi mi o to, że dzieci chodzą wcześniej spać. Zwłaszcza te małe — wyjaśniła, rozbawiona jego zakłopotaną miną.

— W zasadzie, to chcesz spotkać się z niemowlakiem czy z Hanią?

Weronika musiała mu częściowo przyznać rację. W końcu chciała się spotkać z Hanią, jednak Paweł najwyraźniej nie rozumiał, jak wygląda sytuacja w domu, gdzie mieszka taki mały człowiek. Nie zamierzała mu tego w tej chwili tłumaczyć. Poczekała, aż zamknął drzwi i ruszyli razem w stronę domu Hani. Uliczki Mroczyce opustoszały wraz z ostatnimi turystami i promieniami słońca. Wydawały się równie ciemne, co nazwa miejsciny. Pojedyncze lampy dające żółte, sodowe światło przypominały słoneczne wyspy w morskich odmętach. Z rzadka wydobywały kontury stojących przy ulicy domów.

Paweł dostosował swój krok do tempa Weroniki. Zrównał się z nią i obserwował kątem oka. Wtuliła twarz w postawiony kołnierz płaszcza i miękkie fałdy turkusowego szala. Zdawała mu się zarówno delikatna i silna.

— Jak myślisz, Mroczyce zmieniły się od twojego wyjazdu? — zagaił, bo ten temat wydawał mu się bezpieczny.

— Chyba nie zmieniły się wcale — odparła po chwili. — Mam wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał... tylko ludzie są coraz starsi.

— To nieprawda, Mroczyce rozrosły się przez ostatnie lata. — Pokręcił głową. — Zwłaszcza na południu, na nowym osiedlu, otworzyły się dwa sklepy spożywcze, a co roku przyjeżdżają setki ludzi robić inscenizacje w ruinach. Przez tydzień trwa festiwal i jest pełno turystów i wariatów w średniowiecznych strojach. W zeszłym roku zaczęli robić plany na budowę hotelu dla nich...

— Mówisz jak małomiasteczkowy człowiek. — Uśmiechnęła się.

Paweł nie zrozumiał, więc kontynuowała.

— Reklamujesz Mroczyce, jakby to był raj na ziemi, a tu nadal wszyscy wszystkich obgadują i każdy wie o tobie wszystko — spoważniała.

— Wszędzie są tacy, którzy wściubiają nos w nie swoje sprawy.

— W mieście jest inaczej. — Pokręciła głową. — Tam można być bardziej anonimowym. Ludzie nawet jak sobie coś pomyślą, to zachowują to dla siebie. Możesz paść we własnym mieszkaniu i nikt nie zwróci na to uwagi, póki nie zaczniesz śmierdzieć.

— Tak — przyznał po chwili namysłu. — Nie ma co, miasto to wspaniałe miejsce.

Weronika zignorowała sarkazm w jego głosie.

— Miałaś tam kogoś? — spytał ponownie, niby od niechcienia.

Przyglądał się jej uważnie. Nie przyspieszyła, nie zwolniła, żaden mięsień nie drgnął jej na twarzy, ale czuł, że zadał złe pytanie. Chyba nie mógł wybrać gorszego i właściwie nie chciał poznać na nie odpowiedzi. Po prostu nie wytrzymał.

— Zdarzyło się — odparła wreszcie. Popatrzyła na jego zdziwioną minę. — A co, myślałeś, że wstąpiłam do zakonu?

— Nie... — Nie wiedział, co miałby odpowiedzieć. Po prostu nie umiał nawet sobie wyobrazić, że mógł jej dotyczyć inny mężczyzna. Po tej odpowiedzi, jego wyobraźnia popędziła jak szalona w miejsca, których nie chciał znać.

— A ty miałaś kogoś? — odwzajemniła pytanie.

— Zdarzało się — odparł w końcu.

— Czyli więcej niż raz — podchwyciła subtelną różnicę, a on pomyślał, że trzeba było ugryźć się w język.

Weronika przyspieszyła. Byli już blisko. Paweł zrównał się z nią i chwycił za rękę.

Zatrzymali się.

— Zachowujesz się, jakbyś miała do mnie pretensje.

— Nieprawda — zaprotestowała odrobinę ostrzej, niż zamierzała.

— Posłuchaj — zaczął spokojnie. — Tego, co się wydarzyło dziesięć lat temu nie zmienię, choć nawet sobie nie wyobrażasz, jak bym chciał. Ty wyjechałaś, nie dając mi szansy na wynagrodzenie ci tego. Ja zostałem tu sam, nie wiedziałem, czy kiedykolwiek odezwiesz się do mnie, czy wrócisz. Długo na ciebie czekałem. Liczyłem, że dasz znak życia. Czekałem, ale bez skutku. W końcu zacząłem się z tym godzić. Próbowałem jakoś ułożyć sobie życie, nie możesz mnie za to winić. Nigdy się nie odezwałaś...

— A ty?

Paweł otworzył usta w zdziwieniu. Nie rozumiał.

— Co ja?

— Ty też się nie odezwałeś — odparła z wyrzutem. — Przed moim wyjazdem unikałeś mnie przez ponad miesiąc, ani razu nie próbowałeś ze mną porozmawiać, aż wyjechałeś na jakiś kurs. Uciekłeś!

Stał jak sparaliżowany. Paweł po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że sytuacja, w jakiej się wtedy znaleźli, mogła mieć jeszcze swoją drugą stronę. To prawda, że bał się nawet podejść do Weroniki, było mu wstyd za swoje zachowanie, nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Kochał ją i adorował przez lata, a później skrzywdził w najbardziej ordynarny sposób. Nie potrafił wybaczyć sobie jako mężczyźnie, którego wychowywano w poczuciu, że ukochaną należy chronić. Nigdy nie pomyślał, że Weronika mogła czekać na ruch z jego strony, że była gotowa wybaczyć mu już wtedy.

— Nieważne. — Weronika pokręciła z rezygnacją głową, kiedy cisza między nimi przedłużała się coraz bardziej. — To nie ma teraz znaczenia. Nie mam ci za złe, że chciałeś sobie kogoś znaleźć. To nawet dobrze, nie chciałabym być winna tego, że byłbyś samotny — wyznała, ruszając dalej. — Chodźmy, czekają na nas.

Paweł poczuł, że właśnie umknęła mu niepowtarzalna okazja, aby ją przeprosić. Ruszył za nią ulicą, czując żal narastający w sercu za czymś bezpowrotnie utraconym.

Do mieszkania Hani wchodziło się przez wspólny ogródek z sąsiadami. Pani domu otworzyła im niemal natychmiast. Oboje zostali przywitani bojowymi okrzykami małego chłopca, którego nie było w stanie spacyfikować żadne z rodziców. Weronika nachyliła się. Mały stanął nagle zawstydzony. Rozmawiała z nim cicho, więc Paweł nie słyszał, o czym mówiła.

Z pokoju wyszedł pan domu, aby się przywitać. Mąż Hani był potężny jak drwal i miał równie bujny zarost. Zdawał się wypełniać całą wolną przestrzeń małego korytarza.

— Wchodźcie dalej — ponagliła Hania, wskazując salon. — Inaczej się tu zaklinujecie.

Oboje pozbyli się okryć oraz butów i chwilę później siedzieli na kanapie w mikrosalonie, zabawiani przez rozemocjonowanego Jasia.

— Wera, chciałem złożyć ci kondolencje ze względu na ojca — zaczął Grześ niepewnie, kiedy już na stół wjechały pierwsze zakąski i herbata, z racji tego, że na kawę wszystkim wydawało się już za późno. — Słyszałem dzisiaj, co się stało... i to jeszcze w takim momencie, kiedy właśnie wróciłaś...

— Spokojnie, wszystko w porządku — wpadła mu w słowo, unosząc lekko dłonie. — I dziękuję. Nie byliśmy sobie z ojcem bliscy — wyjaśniła Weronika, uśmiechając się nerwowo. — W zasadzie nie widzieliśmy się od lat.

— Ja widziałem twojego ojca ledwie wczoraj.

— Słucham?

— Wczoraj wieczorem — kontynuował pan domu. — Jak wracałem z pracy, szedł w

stronę jeziora, nie pomyślałbym wtedy, że to będzie ostatni raz.

Weronika zbladła. Starła się uśmiechnąć, ale wyszło jej to marnie. Zastanawiała się w panice, ile widział Grześ, czy tylko jej ojca, czy coś więcej i jak się od niego tego dowiedzieć. Zanim doszła do jakichkolwiek wniosków, szansa zniknęła, bo wracająca z kuchni Hania zmieniła temat.

— Radzisz sobie? Może ci jakoś pomóc? — Przysiadła na skraju fotela naprzeciwko kanapy, skupiając na chwilę całą uwagę na starej przyjaciółce.

Weronika pokręciła głową.

— Ale gdybyś czegoś potrzebowała, to mów. My z Grzesiem chętnie pomożemy.

— Dziękuję.

— Jak długo zamierzasz zostać? — Mężowi Hani wyraźnie ulżyło, gdy wreszcie mógł zmienić temat.

— Do soboty, wtedy podpisuję papiery.

— Jak sprzedacie dom, to nie będzie już niczego, co by cię łączyło z Mroczycami — stwierdził, po czym spojrzał znacząco na Pawła i uśmiechnął się zawadiacko. — Chyba.

— Ten dom byłby ostatnią rzeczą, która trzymałaby mnie w Mroczycach. — Weronika zdawała się nie zauważać wymownego spojrzenia albo celowo je zignorowała.

Hania wstała z fotela i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do kuchni.

— Nie chcesz zostać na dłużej?

— Mam u siebie sporo spraw do załatwienia. Nie mogę sobie pozwolić na dłuższe wakacje.

— Praca? — dopytywał Grześ.

— Też.

— W jakiej branży?

— Pracuję jako grafik.

— To chyba praca, którą możesz wykonywać wszędzie?

Weronika uśmiechnęła się jak ktoś, kto słyszy to pytanie dość często, żeby nabrać dystansu do nieobeznanych w temacie.

— Nasza firma ma biuro stacjonarne. Poza tym, niektóre sprawy wymagają obecności na miejscu.

— A może po prostu jesteś pracoholiczką. — Gospodarz się uśmiechnął.

— Czasem się nad tym zastanawiam — odparła wymijająco.

Hania wróciła do stołu, niosąc półmisek pełen zapiekanych w serze i warzywach kawałków mięsa, po chwili wróciła jeszcze z sałatką cesarską i pieczywem.

Goście popatrzyli po sobie z zaskoczeniem.

— Nie martwcie się. — Hania była w swoim żywiole. Doskonale czuła się w roli gospodyni ich małego świętowania. — Mam jeszcze deser — zapewniła.

— Tyle jedzenia, że mam obawy, czy przebrniemy przez danie główne. — Paweł był sceptycznie nastawiony do swoich możliwości.

Spojrzał w stronę Weroniki, którą właśnie zaczął zaczepiać trzylatek. Chłopczyk pociągnął ją za rękę, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Kiedy mu się to nie udało, sięgnął w stronę stołu. Reakcja Weroniki była natychmiastowa. Nawet nie spojrzała bezpośrednio na malca, jej ręce powędrowały płynnym ruchem za jego małymi paluszkami i wyciągnęły z piastki ostry nóż do mięsa. Odwróciła dziecko wokół własnej osi jak małą baletnicę, po czym równie szybko podniosła i posadziła sobie na kolanach.

— Nie musiałaś sobie robić tyle kłopotu, Haniu — poparła go Weronika.

— To nie kłopot.

— Hania uwielbia gotować. Czasem zastanawiam się, czy nie minęła się z powołaniem. W zeszłym roku zdobyła nawet nagrodę na dożynkach za swoje wypieki. Pokonała panią Różę, a to nie lada sztuka.

Rozmowa płynnie przeszła na tematy związane z codziennością. Bez problemu znaleźli porozumienie, a kolejne wspomnienia i anegdota swobodnie przepływały ponad stołem. Paweł obserwował, jak Weronika rozmawia z przyjaciółmi, jakby nie widziała ich zaledwie kilka dni, a nie całą dekadę. Doskonale nawiązywała kontakt i była równie zabawna, co w czasach liceum, kiedy ich paczka spotykała się wieczorami na zwyczajowe pogaduchy. Zastanawiał się, czy tamte czasy mogłyby kiedyś wrócić. Do tej pory wydawało mu się, że minęły bezpowrotnie. Tego wieczoru marzenia odżyły.

Przerwali, dopiero gdy obudziła się Helenka. Na chwilę powstało zamieszanie, skupiające się wokół niemowlaka, który całą sprawę miał w głębokim poważaniu, domagając się jedynie swojej porcji mleka. Weronika i Paweł pozachwycali się małą przez kilka minut, po czym Hania zaniósła ją z powrotem do łóżeczka.

Grześ, korzystając z zamieszania, przyniósł z kuchni wino dla siebie i gości, żonie podał bezalkoholowe piwo. Część oficjalną spotkania z pewnością mieli już za sobą.

Godzinę później, gdy zmęczony wrażeniami wieczoru Jaś od dłuższego czasu spał na kolanach Weroniki, oboje z Pawłem doszli do wniosku, że czas się zbierać. Grześ zdawał się mocno podchmielony. Czerwone plamy na policzkach tylko to potwierdzały, jego trajkocząca żona z ledwością trzymała się na nogach ze zmęczenia. Zresztą podobnie jak Paweł, który nie spał od tak dawna, że przestał pamiętać, jak wygląda jego łóżko. Weronika, choć wydawała się nadzwyczaj przytomna, policzki miała zaróżowione, a oczy jej błyszczały, przybierając ciemniejszą niż zwykle barwę. Zarówno ona, jak i Paweł zdawali sobie sprawę, że jeśli za chwilę nie wyjdą, nie będą w stanie tego zrobić w ogóle i poranek zastanie ich śpiących na kanapie. Zaczęli żegnać się z gospodarzami ku ich wylewnej rozpaczce.

W końcu udało im się opuścić przyjazny dom Hani i Grzesia. Na drogę dostali słoik konfitury rabarbarowej do śniadania.

Ruszyli ciemną uliczką w stronę centrum. Lampy pogasły. Paweł nie potrafił dojrzeć w tych ciemnościach twarzy Weroniki, ale dziękował opatrności, że w drugą stronę działało to tak samo. Z pewnością reprezentował sobą w tej chwili obraz nędzy i rozpaczce. Czuł alkohol, szumiący w głowie o wiele bardziej niż zwykle. Zapewne było to spowodowane brakiem snu, bo przecież głowę miał zawsze mocną. Tego organizm nie zapomina, choć od dłuższego czasu nie bywał na podobnych wieczorach.

Chłód pozwalała na przewietrzenie głowy. Rześkie powietrze powoli go otrzeźwiało.

Paweł przyświecał im latarką z komórki, skupiając światło pod nogami, na wąskim i nierównym chodniku. Gdy Weronika zachwiała się przy kolejnej dziurze, zareagował od razu. Chwycił ją mocno za rękę i poprowadził dalej. Starał się, by ten ruch wyglądał swobodnie i naturalnie. Bał się jednak, że wyrwie się z uścisku. Ku jego nieopisanemu uldze, nie zrobiła tego. Szła dalej, odrobinę wolniej. Paweł czuł się jak młokos, po raz pierwszy przeżywający miłość życia. Oboje chcieli jak najdłużej trwać w tym umownym stanie randkowego wieczoru. Nie odzywali się, ale i nie potrzebowali słów. Czerpali radość z ciemności, wspólnej obecności i ciepła swoich dłoni.

Niestety Mroczyce były zbyt małe, aby mogli się dłużej okłamywać. Mimo starań, dotarli do piekarni w ciągu zaledwie dwudziestu minut. Paweł otworzył Weronice drzwi. Zawahała się w progu. Zatrzymała się, podnosząc głowę.

— Dzięki, że ze mną poszedłeś.

— Nie ma problemu, w końcu to też moi przyjaciele — odparł odrobinę zaskoczony. Nie

sądził, że towarzyskie spotkanie z dawnymi znajomymi, po tylu latach może się dla niej okazać wyzwaniem.

Weronika uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Popatrzyła mu w oczy, jej twarz zdobiły rumieńce od nocnego przymrozku, a spojrzenie niemal błyszczało od wypitego alkoholu. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek wyglądała równie ponętnie, jak w tej chwili. Zalała go fala gorąca, ale zanim zdążył zdecydować się na reakcję, dziewczyna umknęła do środka. Szybko przeszła przez ciemną kuchnię na zapleczu i ruszyła w górę schodami. Ani razu nie obróciła się w jego stronę.

Podążył za nią w milczeniu. Nie musiał zapalać światła, aby dostać się do mieszkania. Znał tu każdy kąt na pamięć, jednak gdy przekroczył próg mieszkania na piętrze, wpadł na coś w ciemności. Poczul ciepło jej oddechu na szyi. Jej ciało zeszywniało w oczekiwaniu na jego reakcję. Nie miała pewności, czy po prostu jej nie odsunie i nie przeprosi za potrącenie, traktując to niewypowiedziane zaproszenie jako przypadek. Przez ułamek sekundy ogarnęły go wątpliwości. Szybko jednak porzucił je wszystkie. Poszukał w ciemności jej ciała. Ręce wędrowały po plecach w górę, aż do szyi. Wzdrygnęła się lekko, gdy zimnymi palcami dotknął jej karku. Objął ją dłońmi, zatapiając palce we włosach luźno splecionych na plecach. Odrobinę przechylił głowę i odnalazł ustami jej usta. Złączyli się w pocałunku. Ciepło oddechów zmieszało się w jedno. Świat zawirował, pozostawiając ich samych w ciemności pokoju. Paweł miał wrażenie, że wrócił do domu, do marzeń dawno uśpionych w sercu, które biło jak szalone. Przesunął dłonie bliżej jej twarzy, wędrował po niej, odnajdując wszystkie zakamarki. Pamiętał je, miękkość i ciepło jej skóry, aksamitną gładkość. A potem poczuł na palcach coś innego. Gorące i mokre łyzy. Uświadomił sobie, że Weronika płakała. Podziałało to jak kubek zimnej wody. Oderwał usta i przez chwilę oddychał ciężko. Dotknął czołem jej czoła, nie chcąc, aby uciekła. Nie miał odwagi kontynuować. Weronika w ciemności oddychała równie głośno, jak on. Po chwili uspokoiła się. Splótł ramiona wokół niej. Nie opierała się. Trwała zamknięta w objęciach jak mała dziewczynka.

Wreszcie wrócili do równowagi.

— Powinniśmy się położyć — wyszeptał do jej ucha. — Oboje jesteśmy pijani i zmęczeni.

Przytaknęła ruchem głowy, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Paweł westchnął. Jego głowa pracowała czysto, a po wypitym alkoholu nie pozostał ślad. Mimo to potrzebował sporo silnej woli, aby wypuścić ją z objęć, zamiast poderwać w górę i zanieść do sypialni. Pomogła dopiero myśl o jej łzach. Wtedy ogarnął go strach. Nie potrafił znieść jej płaczu, bo natychmiast pojawiała mu się przed oczami twarz sprzed dziesięciu lat. Wspomnienia nocy, która zmieniła wszystko. Ruszył w stronę salonu, zostawiając ją w korytarzu. W połowie drogi doszedł do wniosku, że nie zdoła zasnąć w tym stanie. Zboczył do kuchni w poszukiwaniu jeszcze jednej butelki.

Weronika bez słowa zamknęła się w łazience, podczas gdy Paweł przy mdłym świetle sączącym się na blat kuchennych szafek powoli upijał się znalezioną w barku butelką jacka danielsa i wsłuchiwał w szum wody za ścianą.

Rębak siedział przy biurku, lekko bujając się na oparciu fotela. Odchylił głowę do tyłu, kontemplując spękania na suficie, który ostatnią warstwę farby uzyskał chyba w czasach, kiedy on chodził jeszcze do szkoły. Plamy od dymu papierosowego i wielu lat kurzu tworzyły niespotykane wzory, jednak żaden z nich nie podpowiadał mu rozwiązania.

Cisza sąsiednich pokoi wbrew pozorom nie przynosiła ukojenia. Denerwowała go tak samo jak plamy. Chciał działać, znaleźć rozwiązanie. Czwarta nad ranem była jednak za wczesną godziną na przesłuchania mieszkańców Mroczyca i Dębinki, a prócz tego żadne inne działanie nie przychodziło mu do głowy.

Odchylił się z powrotem. Rozłożony na biurku raport, liczący zaledwie trzy strony, nic nie wnosił do sprawy. Rębak miał nadzieję, że sąsiedzi Elizy będą bardziej skłonni do plotkowania. Z tych informacji zamierzał złożyć jakiś logiczny obraz. Chociażby klasycznej, kłócącej się rodziny, gdzie jeden zabija drugiego dla pieniędzy. Niestety. Wszyscy zgodnie twierdzili, że zarówno Zabuda, jak i jego córka nie wpadali w konflikty ani między sobą, ani z innymi.

Byli raczej przeciętną rodziną. Eliza Kwiatkowska prowadziła mały salon kosmetyczny w Mroczycach i zajmowała się dwoma sześciolletnimi synami — Adamem i Kajetanem. Zarabiała niewiele, ale wystarczająco, aby wzbudzić lekką zazdrość sąsiadów. Prócz tego udzielała się w radzie rodziców, była raczej zamknięta w sobie. Jej mąż Piotr Kwiatkowski był tak zwanym biznesmenem. Prowadził niewielką firmę logistyczną, miał hurtownię i kilka mniejszych przedsięwzięć, dla relaksu biegał wieczorami, został nawet zwycięzcą biegu dożynkowego w zeszłym roku. Zarabiał dość, aby uważano go w okolicy za znaczącą osobistość, z którą warto mieć dobry kontakt. Sąsiedzi mówili o nim dobrze lub bardzo dobrze. Dla odmiany Maciej Zabuda z ledwością wiązał koniec z końcem, ale głównie przez picie. Miał kawałek ziemi, który dzierżawił za niezłą kwotę, do tego sad, z którego owoce skupywała między innymi hurtownia jego zięcia. Starczało mu na utrzymanie starego domu po rodzicach tuż za Mroczycami i okazjonalne picie. Kiedy brakowało mu pieniędzy, szedł do córki i zgodnie z tym, co mówili sąsiedzi, zwykle coś dostawał.

Rąbanka zamknął dokumenty i przetaił twarz dłonią, zmierzwił włosy. Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Czwarta piętnaście. Dalsze siedzenie było bezsensowne. Miał ochotę zapalić. Postanowił się przewietrzyć. Zgasił światło, zarzucił na siebie kurtę i wyszedł z pokoju. Na parkingu przed komisariatem zapalił papierosa. Zaciągał się łapczywie, czując, jak nikotyna powoli zaczyna krążyć w żyłach. Wreszcie był tam, gdzie powinien. Po kilku wdechach dopadły go wyrzuty sumienia. W końcu obiecał Miśce, że rzuci palenie.

Skrzywił się, papieros przestał mu nagle smakować. Zgasił go i wyrzucił na trawnik. Postać jeszcze chwilę, aby zapach odrobinę wywietrzał i dopiero wsiadł do samochodu. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, wewnątrz wypełniły dźwięki utworu zespołu Pink Floyd. Doskonale pobudzały go do jazdy. Wykręcił z parkingu i ruszył pustymi uliczkami.

Pod dom dojechał w kilkanaście minut. W mieście powrót zajmował mu co najmniej pół godziny, niezależnie od pory dnia czy nocy. Był to jeden z wielu plusów, jakie Marysia znalazła w przeprowadzce. On jakoś nie potrafił ich dostrzec aż tyle, ale może po prostu mieli inne kryteria oceny. Prawdą było, że od kiedy tu zamieszkali, bywał częściej w domu, ku uciesze żony i swojej irytacji. Nie znosił siedzieć zamknięty w czterech ścianach. Potrzebował ruchu i tego, aby wokół działało się jak najwięcej. Kiedy nie miał gdzie wyładować energii, stawał się nerwowy. To było jedną z przyczyn zesłania na to odludzie, ale i tak miał szczęście, że na tym się

skończyło. Nie został zdegradowany i wyrzucony, tylko się go pozbyli. Przynajmniej tak próbował sobie wmówić. Marysia pozwoliła mu zamontować w garażu kilka sprzętów do ćwiczeń, ale przez to nie mieli miejsca na parkowanie samochodów, dlatego podkomisarz zaparkował na podjeździe obok małej toyoty yaris żony.

Wszystkie światła w domu były pogaszone. Uśmiechnął się krzywo do siebie. Oczywiście. Przecież Marysia nie miałaby po co siedzieć i czekać na niego. Po wielu latach razem przyzwyczaiła się do tego, jaki był. Do znikania z domu, czasem na całe dni, wracania tylko po to, aby się przebrać i umyć, po czym z powrotem pędził do pracy. Z początku bała się o niego. Wydzwaniała i czekała, szybko jednak zrozumiała, że tego nie zmieni, może jedynie zaakceptować. I tak zrobiła, za co był jej naprawdę wdzięczny. Nie przyznałby się do tego, ale bał się, że nie potrafiłby wybrać pomiędzy nią a pracą.

Wysiadł z samochodu. Starał się zachowywać w miarę cicho, aby nie zbudzić jej swoim przybyciem. Wszedł do domu i natychmiast ruszył na górę. Wziął szybki prysznic, przebrał się, dzięki czemu poczuł się lepiej. Ogolił twarz, aby nie straszyć w pracy trzydniowym zarostem. Powoli zaczynał wyglądać jak człowiek. Co prawda na przekrwione oczy i zapadnięte policzki nie mógł nic poradzić, ale reszta zdawała mu się w miarę znośna, kiedy przeglądał się w lustrze w łazience.

Po cichu zszedł na dół.

Uśpiony dom sprawiał ponure wrażenie. Wchodząc do kuchni, zapalił światło. Mieszkali tu stosunkowo krótko, ale Maria natychmiast zabrała się za urządzenie go tak, aby było w nim przytulnie. Niestety niewielkie środki, jakimi dysponowali, sprawiały, że prace szły opornie. Starła się, jak mogła, więc nic nie mówił na stojącą w kuchni maszynę do szycia, która denerwowała go samą swoją obecnością.

Odwrócił wzrok. Po prysznicu wreszcie zrobił się głodny. Bez ceregieli wsadził głowę do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

— W końcu wróciłeś — usłyszał za sobą. Natychmiast się wyprostował.

Miśka stała w progu, zawiązując w pasie szlafrok o kroju kimona. Błyszcząca srebrna satyna ze wzorem namalowanych kwiatów piwonii podkreśliła jej smukłe kształty. Jej figura nigdy się nie zmieniła. Może dlatego, że do tej pory nie doczekali się dzieci. Nie, żeby się nie starali, ale jakoś nie wyszło. Przeczesała zmierzwiłone kasztanowe loki palcami i ziewnęła przeciągle. W jej głosie nie było ani nuty wyrzutu, jedynie stwierdzenie faktu.

— Niedługo wracam do firmy.

Kiwnęła głową i oderwała się od futryny. Podeszła bliżej i odsunęła go delikatnie. Poczuł jej zapach, nadal była rozgrzana po niedawnym śnie. Pewnie ją zbudził, kiedy był w łazience, ale za to z pewnością też nie zamierzała robić mu wyrzutów. Pachniała tak słodko, że nachylił się nad nią nieświadomie i z lubością wciągnął powietrze głęboko w płuca.

Marysia uśmiechnęła się pod nosem. Wyciągnęła z lodówki zapiekankę serową z pieczarkami i wieprzowiną, jego ulubioną. Wstawiła do piekarnika i nastawiła czas na wyświetlaczu. Gdy w pomieszczeniu zaczynał krążyć przyjemny zapach jedzenia, posadziła go przy stole. Przykryła maszynę specjalną pokrywą i zabrała się za robienie kawy. Ekspres zaszumiał cicho. Ta mała maszynka była ich największym skarbem. Oboje uwielbiali dobrą kawę i była to jedyna rzecz, z której nie potrafili zrezygnować. Kiedy się tu przeprowadzili, postanowili, że to pierwszy i najważniejszy sprzęt, jaki muszą mieć. Najbliższy Starbucks był za daleko, aby codziennie jeździć tam po świeżą porcję czarnego złota.

Postawiła przed nim sztućce i talerz. Nic nie mówiąc, stanęła za jego plecami i pochyliła się, oplatając ramionami szyję. Znów otoczył go ten przyjemny, słodkawy zapach jej ciała. Odchylił się i pocałował ją. Poczuł, jak się uśmiechnęła. Zachęcony, chwycił za nadgarstek i

pociągnął ją do siebie. Przesunęła się płynnie, siadając mu na kolanach. Przyłgnęła bliżej. Nadal się uśmiechała, jej ciało promieniowało ciepłem, a oddech muskał mu twarz. Wędrował palcami po śliskim materiale, szczelnie opinającym jej ciało, w poszukiwaniu drogi do środka. Wreszcie udało się. Rozchylił fałdy satyny. Jej skóra pokryła się gęsią skórą, zadrzęła.

— Zapiekania — wyszeptała, a brzmiało to raczej jak zaproszenie do dalszej podróży niż przypomnienie o jedzeniu.

— Później — zapewnił. Uniósł ją, szukając lepszej pozycji, aby znalazła się tak blisko, jak to tylko możliwe. Przywarli do siebie, szukając się ustami i dłońmi. Po chwili nic już nie było ważne.

*

Dźwięk budzika wbijał się w mózg niemiłosiernie niczym młot pneumatyczny w nawierzchnię rozgrzanego letnim słońcem asfaltu. Ząbek, nie otwierając oczu, szukał po omacku komórki na stoliku. W końcu strącił ją na podłogę, ale to nic nie dało. Budzik dzwonił dalej. Musiał się unieść i najpierw włączyć światło. Telefon wpadł pod łóżko. Jeszcze chwilę trwało, nim udało mu się go wyłowić z warstw kurzu i zapomnienia pod tapczanem.

W końcu w pokoju zaległa cisza. Odetchnął z ulgą, na powrót opadając na poduszkę. Nadal był tak zmęczony, że nie chciało mu się wstawać. Gdzieś z parteru usłyszał wołanie swojej matki. Rozróżnił słowa przez zamknięte drzwi. Pytała, czy już wstał. Wiedział z doświadczenia, że jeśli poczeka jeszcze trochę, to doczeka się momentu, kiedy wejdzie na górę i zapuka do drzwi. Po części zdawał sobie sprawę, że było to spowodowane tym, że nawet teraz, gdy miał pracę, na powrót zamieszkał z nią jak za dawnych czasów. Z drugiej strony, nie bardzo stać go było na inną opcję. Na wsi nie było hoteli pracowniczych czy pokoi, a wynajem czegokolwiek zjadałby większość jego i tak marnej pensji. Dzięki mieszkaniu z matką mógł nie tylko spokojnie i wygodnie żyć w jej domu, po mężu kierowniku PGR-u, ale też nie musiał martwić się o pranie, sprzątanie i jedzenie. Raz w miesiącu zostawiał jej trochę pieniędzy na stole i uznawał sprawę za załatwioną.

Słyszał, jak matka powoli wspina się na pierwsze stopnie.

— Tomek, śpisz? — zawołała.

— Nie śpię — zawołał. — Zaraz wstanę.

Schody zaskrzypiały. Matka poczłapała do kuchni i zaczęła cicho trzaskać naczyniami. Chwilę później usłyszał ponownie kroki. Tym razem weszła odrobinę wyżej. Mimowolnie wstrzymał oddech.

— Tomek?

— Nie śpię! — wrzasnął.

Matka ruszyła w dół. Czuł się rozbudzony. Zerknął jednym okiem na wyświetlacz komórki. Była szósta trzydzieści. Spał może ze cztery godziny, zważywszy na to, kiedy wrócił do domu. Przez chwilę bił się z myślami, czy aby nie zostać mimo wszystko w łóżku. W końcu jednak doszedł do wniosku, że nie warto. Myśl o reakcji Rąbanki na jego spóźnienie do pracy skutecznie zmroziła mu krew w żyłach. Podniósł się jednym zdecydowanym ruchem, przez moment siedział na krawędzi łóżka, drapiąc się po krótkich włosach. Ruszył do łazienki. Po drodze słyszał, jak matka podchodzi ostrożnie do schodów i nasłuchuje. Kiedy zatrzasnął drzwi, znów wróciła do kuchni.

Do komisariatu dotarł z trzyminutowym wyprzedzeniem, objedzony niemiłosiernie, z drugim śniadaniem zapakowanym starannie w czarnym, sportowym plecaku i z sennością pod powiekami, z którą walczył całą drogę. Na miejscu okazało się, że Rębak wyszedł nad ranem i jeszcze nie wrócił. Ząbek z ulgą zasiadł za swoim biurkiem, rozważając przez chwilę, czy nie

zaszyć się gdzieś na godzinę i nie przespać. Przewyciężył jednak tę myśl. Przejrzał swoje notatki, bo zmęczenie sprawiło, że sam już nie wiedział, co wczoraj napisał w raporcie. Czytając, przez cały czas nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że coś mu umyka. Przejrzał więc trzy razy to, co zapisał po rozmowie z Elizą Kwiatkowską. Bez rezultatu. Przeszedł płynnie do kolejnych streszczeń rozmów z sąsiadami. Efekt był ten sam. Czas mijał, ludzi w komisariacie przybywało, a efektów jego pracy wręcz przeciwnie. W desperacji zajrzał jeszcze do raportu z przesłuchania Zenona Tyraka, ale i tu nic nie podpowiadało rozwiązania. W końcu musiał przyznać, że nic nie osiągnie. Podrapał się po głowie i zniechęcony rzucił papiery na biurko.

— Ząbek, objasz się?

Mężczyzna aż podskoczył, słysząc za plecami głos Rąbanki. Odwrócił się gwałtownie, coś strzyknęło mu w karku. Rębak stał za nim z rękoma w kieszeniach i podejrzanie pogodnym wyrazem twarzy. Podkrążone, czerwone oczy świadczyły o niewyspaniu, ale posiadały bystrość, która zaniepokoiła chłopaka.

— Nie — wyjąkał szybko. — Myślałem...

— Żebyś się tylko nie przeciążył — wszedł mu w słowo Rąbanka. Z jego twarzy zniknęła pogodność. Znów przypominał dawnego siebie. Pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął gumę do żucia. Wziął jedną i poczęstował rozmówcę, ku jego zdziwieniu. — Pozwól, że to ja będę w tym duecie myślał, ty zbieraj informacje. Co mamy?

Posterunkowy się zawahał. Pytanie było tak ogólne, że nie miał pojęcia, od czego zacząć.

— Mamy trupa, Macieja Zabudę. — Rozpoczął za niego podkomisarz, siadając na sąsiednim krześle. — Córka teoretycznie ma alibi, bo siedziała z dziećmi w domu. Tak poświadczyli też sąsiedzi. Co dalej?

— Nikt nie słyszał, żeby denat miał wrogów.

— Racja — przyznał z niechęcią Rębak, po czym pokręcił głową. — Nie ma ludzi, którzy nie mają wrogów, nie wszyscy jednak okazują swoje uczucia w sposób otwarty. Co dalej?

Ząbek milczał. Intensywnie zastanawiał się nad dalszą odpowiedzią, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

— Zabuda był pijakiem.

— Tak.

— Co z kolegami od kieliszka? Kiedy go widzieli? Czy wspominał, że ma się z kimś spotkać nad jeziorem? Albo że chce się zabić?

Rębak czekał na odpowiedź. Szybko zrozumiał, że się jej nie doczeka. Nie był pewien, czy za dużo od młodego wymagał, czy dał mu za mało czasu. Ząbek siedział jak na szpilkach. Nawet na maturze nie denerwował się tak, jak w obecności byłego detektywa. Rąbanka westchnął.

— Przesłuchałeś ich? — rzucił przez zęby, starając się, aby jego ton, mimo wszystko, nie wskazywał na wściekłość.

— Nie zdążyłem...

— To co tu, do cholery, robisz?

Młody się zawahał. Drgnął na siedzeniu, rzucił niepewne spojrzenie na rozrzucone po stole kartki i w końcu znalazł właściwą odpowiedź.

— Właśnie wychodzę.

Rębak uśmiechnął się krzywo. Może jednak się nie pomylił, chłopak czasem szybko łapał. Odprowadził wzrokiem wychodzącego.

W kieszeni kurtki odezwała się komórka. Wyciągnął ją i spojrzał na wyświetlacz ze zdziwieniem. W końcu odebrał.

— No chyba już nie śpisz? — odezwał się Zweiss z nutą rozbawienia w głosie.

— Już czy jeszcze?

— Czyli jest okej — podsumował przyjaciel i przeszedł do sedna. — Słuchaj, miałem chwilę, więc przyjrzałem się sprawie. Nie myliłem się, facet dostał czymś ciężkim w głowę. Było duże i miało płaską powierzchnię, podejrzewam kamień, gdzieś z brzegu jeziora, albo coś podobnego. Kiedy trafił do wody, już nie żył.

— Mógł się przewrócić?

— Żeby się uderzyć? Nie — odpowiedział sam sobie patolog. — Uderzenie było z góry, więc albo zrobił to ktoś wyższy od niego, albo facet był pochylony, może klęczał.

— Czyli wyklucasz samobójstwo?

— Definitywnie. Ktoś musiał mu pomóc.

Rębak milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

— Jak ciężki był przedmiot?

— Pewnie z półtora kilo, może dwa.

— Nieporęczne narzędzie.

— W momencie wściekłości bierze się to, co się ma pod ręką.

— Znaleźliście coś jeszcze?

Piotrowi nie uszła uwagi forma pytania. Prychnął z niechęcią do słuchawki. Rębak słyszał, jak przerzuca strony.

— Co prawda to inny dział, ale podpytałem. Wysłałem ci mailem zdjęcia. Większość śladów w pobliżu miejsca znalezienia ciała została zdeptana przez świadków i policję. Zdecydowanie nie macie tam nikogo doświadczonego. Powinni wsiaży wysłać na kurs odświeżający...

— W takich dziurach rzadko zdarzają się morderstwa — wtrącił się Rębak.

— Mówisz z własnej wiedzy czy ze statystyk?

— Z wiedzy, odkąd tu jestem to pierwsze, a i wcześniej nie słyszałem o takiej sprawie.

— Może po prostu lepiej ukrywali trupy?

Rąbanka pokiwał głową w zamyśleniu. Właściwie nie wiedział. Piotr mógł mieć rację.

— No to co znaleźli ciekawego? — spytał, chcąc przywrócić rozmowę na właściwe tory.

— Trochę śladów butów. Niektóre Zabudy, do tego jeszcze jedno sportowe i coś damskiego, kilka odcisków kaloszy w trzech rozmiarach... — wymieniał Zweiss. — Jedne buty o płaskiej podeszwie, zważywszy na wielkość, pewnie męskie.

— Wszystko nad jeziorem?

— Tak.

— Można je powiązać?

— W tym miejscu praktycznie nie ma prądów w jeziorze. Ciało nie popłynęło daleko. Prawdopodobnie zostało wrzucone na pomoście, o czym świadczy kawałek materiału z kurtki denata. Zahaczył się na deskach pomostu. Wszystko znaleźli w odległości około piętnastu metrów od pomostu. Ziemia jest tam grząska i dobrze odwzorowuje ślady. Waszych było zatrzęsienie, ale na szczęście nasi ludzie są bystrzy i od razu je wyeliminowali.

Rębak dopiero teraz uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu wstrzymywał oddech. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

— O czym myślisz? — zapytał go Piotr.

— Tłum, kurwa, jak na bazarze. — Przetarł twarz dłonią.

— Ale chyba masz już kogoś na myśli?

— Nie.

— Jak chcesz — skwitował patolog. Rębak wręcz widział oczami wyobraźni, jak przyjaciel wzrusza ramionami. — Reszta przyjdzie w raporcie. Trzymaj się.

— Dzięki.

Zakończył połączenie. Pozwolił, aby myśli krążyły swobodnie, póki nie wyklarowała mu się jedna, jasna i zdecydowanie najlogiczniejsza z nich. Wtedy ponownie zacisnął palce na aparacie, wyszukał numer i wybrał. Wystarczył jeden sygnał i usłyszał trzask odbieranego połączenia.

— Ząbek, słucham.

— Zapomniałem — zaczął bez powitania. — Chcę mieć informacje przed południem.

Rozłączył się, zanim młody zdążył odpowiedzieć lub choćby jęknąć. Zerwał się z krzesła i ruszył do siebie, aby przeczytać maila od Zweissa. Piętnaście minut później był już w drodze do Dębinki, na kolejne spotkanie z Elizą Kwiatkowską.

Weronika przetarła ladę z okruchów i uzupełniła serwetnik. Rozejrzała się po sali. Chwilowo nikt nie potrzebował jej pomocy. Goście albo siedzieli przy stolikach, albo zajadali się drożdżówkami na stojąco. Kilka osób wyszło przed piekarnię i siedziało na szerokim, niskim parapecie witryny, korzystając z ciepłych promieni pierwszego, wiosennego słońca.

Przez chwilę ich obserwowała.

Zawróciła do kuchni i stanęła w progu. Paweł układał świeżą partię rogalików z miętowo-czekoladowym nadzieniem na szerokiej blasze.

— Masz może jakieś dodatkowe krzesła? — spytała.

— Może coś będzie jeszcze w magazynku — odparł, wskazując głową w stronę schowka. Nawet na nią nie spojrzął, tak był skupiony na tym, co robił.

Weronika przeszła obok i zajrzała we wskazane miejsce. Kilka starych, żeliwnych krzeseł o składanych siedziskach stało opartych o półkę. Lata świetności miały już za sobą, zdecydowanie wymagały oczyszczenia i naprawy, jednak nadal były sprawne. W mgnieniu oka przetarła je z kurzu wilgotną ścierką. Wyniosła dwa przed piekarnię. Zanim zdążyła namówić klientów na zmianę lokalizacji, z kolejnymi krzesłami pojawił się Paweł. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i pomógł rozstawiać meble. Goście przyjęli z entuzjazmem możliwość wygodnego siedzenia na placu rynku i podziwiania jego zgrabnej, choć niezbyt ozdobnej zabudowy.

— Wiesz, że będę miał kłopoty, jeśli ktoś ich przyuważy? — spytał ściszym głosem, gdy przepuszczał ją w drzwiach piekarni.

— Jak to? — Weronika spojrzała na niego z lekką obawą. Nie była pewna, czy sobie z niej nie żartował.

— W zasadzie nie wolno mi zajmować miejsca na płycie rynku. Za to się płaci — wyjaśnił.

— To może lepiej...

Weronika odwróciła się, jakby zamierzała natychmiast pójść i zabrać klientom krzesła. Paweł zatrzymał ją rozbawiony.

— Spokojnie. Myślę, że nikt tym razem nie będzie robił mi kłopotów, ale w przyszłości może będzie trzeba pomyśleć o czymś na świeżym powietrzu.

Pomysł ze stolikami przed piekarnią nie był zły. Gdyby załatwił sobie pozwolenie na użytkowanie kawałka bruku, z pewnością uatrakcyjniłoby to nie tylko samą piekarnię, ale także dałoby reklamę Mroczycom. Musiał, co prawda, liczyć się z większymi kosztami, jednak mogło mu się to opłacić. W końcu uświadomił sobie, że jego piekarnia powoli zaczynała przekształcać się w lokalną kawiarnię.

Ponownie spojrzął na Weronikę, która właśnie przepuściła w progu jakąś kobietę. Gdyby zechciała tu z nim zostać i pomóc w kawiarni, razem z Krzyśkiem, mogliby stworzyć naprawdę fajne miejsce.

— Wracamy? — spytała, przechylając głowę.

— Tak. — Ponownie się do niej uśmiechnął. Uświadomił sobie, że odkąd przyjechała, uśmiechał się prawie nieustannie, jak jakiś błazen. Jeśli tak dalej pójdzie, Weronika gotowa była pewnie pomyśleć, że coś z nim nie w porządku. Jednak jedno spojrzenie na nią pozbawiło go wszelkich złudzeń. Póki tutaj była i zachowywała się tak, jak teraz, nie potrafił ukryć szczęścia. Gdyby nie wczorajsze zdarzenie... Przypomniał sobie jej łzy. Nie chciał ich więcej ani widzieć, ani czuć. Bał się, że jeśli zbliży się za bardzo, wszystko skończy się jak kiedyś i ona znów ucieknie. Nie mógł znieść tej myśli.

Weronika podniosła głowę. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Pogodny wyraz na jej twarzy i sposób, w jaki na niego patrzyła, niczym nie sugerował, że poprzedniej nocy płakała z jego powodu.

— Rogale są gotowe — zawołała, wskazując głową w stronę kuchni.

— Rogale? — zaintrygowała się kobieta przy ladzie. Niewysoka blondynka o ciemnych oczach.

— Czekoladowo-miętowe, specjalność zakładu — wyjaśniła Weronika.

— To ja poproszę cztery.

— Dopiero będziemy wyciągać je z pieca, są jeszcze zbyt gorące i nie udekorowane...

— To nic. — Kobieta zdawała się zdecydowana. — I tak ostygną, zanim dotrę do autokaru.

Paweł przyniósł torbę z rogalami.

Weronika pokręciła lekko głową, ale bez oporów skasowała zamówienie.

*

Piotr odwiózł drugi dzień z rzędu synów do szkoły. Nie znosił tego, ale ze względu na Elizę, która nadal przeżywała żalobę i nie spała dobrze tej nocy, postanowił nagiąć swoje zasady. Zresztą, raz na jakiś czas mógł pojawić się pod szkołą, aby zachować pozory dobrego ojca. Dzieciaki przywitały pomysł podwózki z entuzjazmem. Nie miał dla nich zwykle zbyt dużo czasu i taka okazja nie zdarzała się często.

Niestety, nadłożenie drogi powodowało, że już był spóźniony w swoim codziennym rytuale. Tym razem nie zamierzał odpuścić. Podjechał na rynek i stanął na wyznaczonym parkingu. Z daleka dostrzegł piekarnię, w której zwykle kupował drożdżówki lub bułki na drugie śniadanie i kawę na swój ulubiony „rozruch”. Nie znosił za to, kiedy ktoś przeszkadzał mu w doskonale zaplanowanym dniu. Wściekły na siebie, chłopców i świat zgasił silnik i zerknął na zegarek w komórce. Pod godziną nie było wiadomości, więc miał jeszcze odrobinę czasu, zanim w firmie zrobi się codzienny armagedon z powodu jego nieobecności na porannej naradzie.

Na razie było dobrze. Wysiadł z samochodu pewien, że nic nie może mu już bardziej zepsuć humoru. No, może z wyjątkiem grupy turystów siedzących na placu i przy wejściu do piekarni. Ostatnio było ich w okolicy tyle, że stali się częścią krajobrazu. W piekarni Pawła też zjawiali się coraz częściej i trzeba było czekać w kolejce. Niestety było to jedyne miejsce, gdzie mógł kupić dobre pieczywo w okolicy i chcąc nie chcąc, musiał ten fakt zaakceptować. Kawiarnia po drugiej stronie placu nie stanowiła opcji. Serwowali w niej tylko kremowe ciastka i lurowatą kawę, za to szeroki wybór alkoholi upodabniał ją do pubu. Była dla niego odrażającym miejscem.

Ruszył w stronę piekarni i zatrzymał się w pół kroku. Ze środka, jak gdyby nigdy nic, wyszła siostra Elizy. Taszczyła żeliwne krzesła. Zamieniła z turystami kilka słów i pomogli jej rozłożyć meble. Zaraz za nią zjawił się Paweł. Niósł kolejne krzesła. Pomogli klientom się urządzić i razem wrócili do środka. Radośni niczym skowronki, nic sobie nie robiąc z ludzi, którzy mogli ich zobaczyć.

Piotr stał jeszcze na placu, póki para nie zniknęła w środku. Zaślepiiony wściekłością odwrócił się na pięcie i ruszył do samochodu. Zupełnie przeszła mu ochota na kawę i drożdżówki. Całą uwagę zaprzątnęła mu nowa informacja.

Usiadł w samochodzie, ale nie zamierzał na razie nigdzie jechać. Skupił wzrok na witrynie piekarni. Pamiętał doskonale, że Eliza wspominała, gdzie zatrzymała się jej siostra. Z pewnością nie był to dom piekarza. W końcu sobie przypomniał — Hania. Dziewczyna miała zatrzymać się u Hani. Piotr słabo znał znajomych żony. Ta konkretna kojarzyła mu się jedynie z

okienkiem na pocztę. Zapewne poza placówką nawet by nie zwrócił na nią uwagi. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia.

Czując, jak wściekłość szumi mu w uszach wraz z krwią, chwycił komórkę, wybierając numer żony. Odebrała po dwóch sygnałach.

— Mówiłaś, że twoja siostra zatrzymała się u przyjaciółki? — zaczął bez ogródek.

W słuchawce zaległa cisza. Eliza była zaskoczona, przez chwilę rozważała odpowiedź.

— Tak, u Hani — odparła wreszcie.

— Otóż nie! — wszedł jej w słowo triumfalnie. — Siedzi u tego młokosa z piekarni.

Kolejna chwila ciszy sprawiła, że miał ochotę rzucić słuchawkę. Eliza zdecydowanie za wolno reagowała. W pamięci odnotował, żeby wieczorem jej przypomnieć, jak powinna prawidłowo odpowiadać na zadane pytania.

— Czy ty mnie jeszcze słuchasz?

— Tak — odparła szybko. — Tylko... tylko się dziwię. Myślałam, że Wera go nienawidzi...

— Dziwnie to w takim razie okazuje. — Jego głos przeskakiwał płynnie z wściekłości na ironię i z powrotem. — Wiesz, co to oznacza? Zaraz całą twoją cholerną rodzinę wezmą na języki.

— Ale przecież...

— Naprawdę nie mogłaś tego jakoś porządnie załatwić, a nie pozwalać na to, żeby siostra gziła się z dawnym gachem?

— Ale ja nawet nie wiedziałam... — Próbowwała się bronić. Drżenie w jej głosie podziało na niego stymulująco.

— Czasem jesteś tak bezmyślna, że zastanawiam się, czy to ty urodziłaś moje dzieci — warknął.

Podziało. Utrafił w cel. Usłyszał, jak Eliza pociąga nosem, starając się powstrzymać płacz. Taka mała, niewypowiedziana do końca groźba zawsze trafiała w punkt.

— Za chwilę tam będę — zapewniła w końcu.

— Ja na ciebie czekać nie będę.

Rozłączył się, pewien, że Eliza za chwilę wypryśnie z domu i przybiegnie tu jak na skrzydłach, bronić dobrego imienia rodziny. Uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Wahał się nawet, czy nie zostać i nie popatrzeć z daleka na scenę. Nie dane mu było się zdecydować. Komórka ożyła, wyświetlając na ekranie jeden z numerów z pracy.

— Słucham — rzucił krótko.

— Kryzys — usłyszał w odpowiedzi. — Kamiński pomylił zamówienia.

— Będę za dziesięć minut.

Rozłączył się, wściekły, że znów popsuto mu zabawę. Odpalił silnik i wyjechał na ulicę.

*

Eliza odłożyła słuchawkę. Czowała, jak dłonie drżą jej niemiłosiernie. Ścisnęła je jak do modlitwy, mając nadzieję, że policjant siedzący na krześle przy kuchennym stole nic nie zauważy.

— Wszystko w porządku? — spytał na pozór łagodnie. — Dobrze się pani czuje?

Eliza pokiwała głową. Bała się otworzyć usta, bo równie dobrze, jak potwierdzenie mogłyby z nich wypaść zdradzieckie dźwięki drżącego głosu. Dość się już nasłuchał, kiedy rozmawiała z Piotrem. Nie mogła dać po sobie poznać, co się stało. Zaciśnęła usta. Weronika znów wszystko psuła. Znów wchodziła między nią a Piotra. Jej zachowanie było irracjonalne. Przecież nie znosiła Pawła, nienawidziła go, to dlatego uciekła do miasta i nie odwiedzała nawet

matki. Wszystko po to, żeby nie musieć go spotykać. Co jej w takim razie teraz odbiło? Miała zatrzymać się u Hani. Słowem się nie zająknęła, że zamierza spotkać się z Pawłem. A może zrobiła to specjalnie? Chciała ją okłamać, żeby zyskać trochę prywatności? Może teraz śmiała się wraz z nim, wytykając, jaką to ma głupią siostrę, która nawet nie połapała się, gdzie jest? Eliza czuła, jak z każdą krążącą wokół siostry myślą wzbiera w niej złość.

— Czy możemy kontynuować?

Podniosła wzrok.

— Tak.

— W takim razie, jeszcze raz. — Spojrzał w notes leżący przed nim. — Gdzie pani była przedwczoraj wieczorem?

Eliza się zawahała. Otworzyła usta i zamknęła je równie szybko. Właściwie już odpowiadała na to pytanie. W zasadzie robiła to dwa razy tego dnia. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się dlaczego. Nie jest o nic podejrzana, a miała przecież sporo do załatwienia. Obiecała Piotrowi. Nie chciała kontynuować tej nużącej farsy.

— Wie pan co, przełożmy to na kiedy indziej. Muszę w tej chwili wyjść. — Jej głos przybrał zdecydowany ton, nieoczekiwanie dla niej samej.

Rafał Rębak odchylił się powoli na krześle, jakby robił to w zwolnionym tempie. Popatrzył na nią czujnie. Wytrzymała to, choć od środka cała się gotowała. Miała ochotę krzyknąć, żeby się pospieszył i wynosił z jej domu.

— Jest pani pewna?

— Tak, muszę wyjść.

Nawet nie drgnęła. Mężczyzna kiwnął głową na znak, że rozumie. Powolnymi ruchami zamknął notes i starannie wsunął długopis w gumową pętlę.

— Przykro mi, że zająłem pani tyle czasu — zaczął na pożegnanie. Powoli podniósł się z krzesła. — Niestety pewnie jeszcze tu przyjdę, mam kilka pytań.

— Dobrze, tylko teraz muszę wyjść — powtarzała uparcie.

Wstała za nim, prowadząc go w stronę drzwi. Szedł tam, ale robił to opornie, czym coraz bardziej działał jej na nerwy.

— Jeszcze raz przepraszam.

Zatrzymał się nieoczekiwanie w samym progu. O mało na niego nie wpadła. Zimny powiew wiatru przemknął gdzieś w okolicach łydek. Rębak uniósł lekko brodę, jakby się nad czymś zastanawiał. Rozejrzał się po pustym podjeździe.

— A może gdzieś panią podwieźć? — zapytał, nie spuszczając z niej oka.

— Nie, dziękuję, mam samochód.

Pokiwał powoli głową, jakby godził się z oczywistością i sam sobie to wyrzucał.

— W takim razie przepraszam, jeszcze wrócę.

— Niech pan przyjdzie, kiedy mąż będzie — rzuciła. Rębak odwrócił się gwałtownie, zatrzymując się ponownie u stóp schodów. Eliza zaklęła w duchu.

— A kiedy mąż wraca?

— Wieczorem, po pracy — rzuciła szybko. — Do widzenia.

Zatrzasnęła drzwi. Odczuła połowiczną ulgę. Wreszcie się od niej odczepił. Siedział w jej domu dobrą godzinę. Gdyby nie telefon od Piotra, kto wie, kiedy udałoby jej się go pozbyć. Zadawał w kółko te same pytania, przez co czuła się, jakby rozmawiała z poważnie niedorozwiniętym człowiekiem.

Pobiegła po kurtkę i buty. Teraz musiała zająć się zupełnie inną sprawą.

Dojazd do Mroczy zajął jej zaledwie dziesięć minut, o pięć mniej niż zwykle. Zaparkowała w uliczce prowadzącej przez rynek. Z daleka widziała piekarnię. Przed wejściem

stało kilka pustych krzeseł.

Szybkim krokiem przemierzyła placyk, rozglądając się, czy w okolicy nie ma kogoś znajomego. Wtedy plotkom nie byłoby końca. Już z daleka przez szeroką witrynę dostrzegła Weronikę. Stała przy stoliku w pobliżu okna i rozmawiała z klientami. Wśród dwóch starszych kobiet, Eliza rozpoznała panią Różę. Krew popłynęła jej szybciej, a serce забиło mocniej. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby lokalna plotkara, skuteczniejsza niż rozgłośnia radiowa, rozmawiała z Weroniką o prywatnych sprawach ich rodziny.

Wściekła na siostrę wpadła do piekarni wraz z powiewem chłodnego wiatru. Natychmiast skierowała na siebie spojrzenia wszystkich. Czując tę palącą presję, nie czekała ani chwili dłużej.

— Musimy porozmawiać. — Zbliżyła się do zaskoczonej Weroniki na odległość wyciągniętej dłoni.

— Widzisz, mówiłam, że też jest jej źle po stracie ojca — wtrąciła się pani Róża, ale szybko ucichła, zgromiona spojrzeniem starszej siostry.

Weronika rozejrzała się po sali, w której zapadła cisza. W końcu, kiedy Eliza myślała, że będzie musiała powtórzyć swoje słowa, odetchnęła i wskazała ruchem głowy wejście na tyły piekarni.

— Chodź, porozmawiamy gdzie indziej. — Ruszyła przodem.

Eliza tak skupiała się na tym, co ma powiedzieć, że zupełnie zapomniała o widzach, którzy teraz wodzili za nimi wzrokiem z nieskrywaną ciekawością.

Weronika wyprowadziła ją przez kuchnię na tyły budynku. Dopiero gdy obie stanęły na asfalcie po drugiej stronie, odwróciła się do niej. Rozejrzała się, upewniwszy, że w pobliżu nie ma nikogo podejrzanego. Spojrzała na młodszą siostrę ze złością.

— Teraz możesz...

— Czy tobie kompletnie odbiło? — wpadła jej w słowo Eliza.

— O co ci chodzi?

— Mówiłaś, że będziesz nocować u Hanki. — Eliza gestykulowała, wściekając się bez wytchnienia. — Cała wieś już huczy od plotek. Jak możesz sypiać z Pawłem? Mało ci, że wróciłaś? Musisz im jeszcze taką wodę na młyn dawać?! Czy tobie doszczętnie klepki poodpadały?!

Eliza miała świadomość, że trochę przerysowała sytuację, ale w tym momencie nie miało to większego znaczenia. Wręcz było wskazane. Jeśli udałoby jej się wykurzyć siostrę z Mroczy, może zapobiegłaby większemu skandalowi. W tym celu jednak musiała ją koniecznie przekonać, jak destrukcyjne jest takie zachowanie.

Weronika zareagowała odmiennie od tego, czego oczekiwała. Odwróciła się gwałtownie, marszcząc brwi. Jej oczy płonęły wściekłością, twarz stężała. Eliza nagle poczuła się nieswojo w jej obecności.

— Chyba sama masz coś z głową — warknęła bez ogródek. — Tylko ty dochodzisz do takich wniosków.

— Nie ja. Ledwie przyjechałaś i już się gzisz... — jęknęła. Nie była gotowa na taki opór i szybko straciła pewność siebie.

— Słuchaj, z nikim się nie prowadzam i nie sypiam, a nawet jeśli, to nie twój parszywy interes. Nie będziesz mi mówiła, co mam robić jak matka, bo boicie się plotek. A teraz wynoś się tam, skąd przysłaś.

Weronika nie czekała na odpowiedź. Wyminęła ją i wróciła do piekarni. Eliza została sama na środku uliczki, z otwartymi w zdziwieniu ustami. Usilnie próbowała zrozumieć, co właśnie się stało. W oczach pojawiły się łzy bezsilności. Nie chciała nawet myśleć o tym, jakie niestworzone historie za chwilę będą krążyć po całej okolicy i co powie Piotr o tym wszystkim,

kiedy dowie się, jaką nieudolną ma żonę.

Chciała biec za siostrą, ale nie miała odwagi jeszcze raz tam pójść. Wściekła, ruszyła do samochodu.

*

Weronika schroniła się w cieniu kuchni. Tu poczuła się odrobinę bezpieczniej. Choć w czasie rozmowy z całym sił starała się bronić, teraz dłonie drżały jej ze zdenerwowania. Gdyby nie insynuacje, jakie poczyniła Eliza, z pewnością nie wykrzesałaby z siebie tyle odwagi. Gdy usłyszała, że sypia z Pawłem, po prostu puściły jej nerwy. Jak ona śmiała wygadywać takie głupoty? I jakim prawem pozwala sobie na krytykę i żądania? Przed oczami stanęły jej mgliste wspomnienia z wczorajszego wieczoru i poczuła mdłości. Nie przyznałaby się przed nikim, jak blisko było do tego, aby plotki stały się prawdą. Wtedy czuła, że jest gotowa na ten krok. Chciała przekroczyć granicę i wreszcie przekonać się, jak to jest połączyć się z człowiekiem, którego się kochało, bez strachu. Dopiero kiedy Paweł odsunął się od niej, uświadomiła sobie, że płacze. Nie dziwiła się, że zniechęcił się do dalszych prób. Najwyraźniej w obojgu wspomnienia sprzed dziesięciu lat były nadal żywe.

— W porządku?

Weronika podniosła głowę. Paweł właśnie lukrował świeżą partię pięknie zarumienionych rogalików. W jednej ręce trzymał miseczkę, w drugiej silikonowy pędzel. Lukier skapywał na blat stołu, gdy piekarz wpatrywał się czujnie w dziewczynę.

— W porządku — zapewniła po chwili, ale w jej głosie nie było pewności.

— Jeśli chcesz...

Od strony lady rozległ się dzwonek, na znak, że ktoś czekał na obsłużenie. Weronika uśmiechnęła się nerwowo i szybko przeszła przez kuchnię.

Jej wejście na salę wzbudziło zainteresowanie. Wszyscy łypali na nią z ciekawością i zdawało się, że wypatrują też Elizy. Weronika wąpiła, żeby siostra wróciła do piekarni po rozmowie. Raczej stawiała na to, że obejdzie budynek i pojedzie do domu. Odkąd pamiętała, Eliza liczyła się z każdym słowem obcych ludzi, jakie usłyszała. Nawet matka nie była tak wrażliwa na zdanie innych, jak młodsza siostra. Od dziecka pilnowała się na każdym kroku, aby nikt nie mógł powiedzieć o niej nic złego. Czasem tego żałowała, bo siostra przez takie zasady nigdy nie mogła być ze sobą szczerą. Grała przed innymi, często przyplacając to całymi nocami płaczu i bezsenności. Kiedy mieszkały razem, nie potrafiła jej pomóc, ale musiała przyznać też przed sobą, że później nie miała na to chęci. Eliza została sama z problemem. Tym większym po wyjeździe Weroniki, który napędził wyobraźnię niejednego mieszkańca Mroczyca.

Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Nie pomyślała o Pawle. Może rzeczywiście powinna zamieszkać u Hani? W takiej sytuacji nie dałaby mieszkańcom zbyt wielu powodów do główkowania. Wąpiła jednak, by zdołała uniknąć spotkania z mężczyzną. Mroczyce były zbyt małe na takie karkołomne działania. Wystarczyłaby rozmowa, raz czy dwa i plotki byłyby równie obfite. Skoro już tu zamieszkała, a Pawłowi najwyraźniej nie przeszkadzała ta sytuacja, nie warto było tego zmieniać. Do jej wyjazdu zostało kilka dni.

— Dwa rogaliki z nadzieniem orzechowym poproszę.

Weronika potrząsnęła głową, aby pozbyć się natrętnych myśli. Starszy pan przed nią spoglądał z uśmiechem i czekał, aż wreszcie raczy go zauważyć.

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się przepraszająco. — Na miejscu czy na wynos?

— Na miejscu. — Wskazał ręką stolik, przy którym siedziała ciepło opatulona staruszka o włosach w kolorze rozwodnionego denaturatu.

— Coś jeszcze?

— Kawę czarną i herbatę z cytryną...

Nabiła na kasie zamówienie.

— Czy będzie coś jeszcze? – powtórzyła pytanie.

Mężczyzna zawahał się.

— Słyszałem, że niedaleko znaleziono człowieka... — zaczął nieśmiało. — Wie pani coś o tym?

Weronika zeszytywniała. Mimo zapewniania, że z ojcem łączyło ją niewiele, nie potrafiła mówić o nim ze swobodą.

— Niestety nie.

— Co za szkoda... W gazecie napisali, że został zabity, wiedziała pani?

Poczuła, jak zakręciło jej się w głowie. Nie spodziewała się, że sprawa przybierze taki obrót, a już z pewnością nie zakładała, że stanie się to tak szybko.

— Wydawało mi się... Mówili, że się utopił... — wydukała. Unikając jego wzroku, zajęła się przygotowywaniem napojów.

— Oj, chyba nie bardzo. — Staruszek pokręcił głową. — Ludzie w tym wieku rzadko popełniają samobójstwa. Niech mi pani wierzy. — Uśmiechnął się smutno. — Im człowiek starszy, tym bardziej zależy mu na tym, żeby jeszcze trochę żyć. Zresztą, tutaj też słyszałem, że zamordowała go rodzina, dla pieniędzy...

— To niemożliwe...

— Ale ja sam słyszałem — zapierał się staruszek.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, nie wierząc w to, co słyszy.

— A czy mogę wiedzieć, kto tak mówi?

— Taka miła, starsza pani. — Mężczyzna odruchowo rozejrzał się po sali w poszukiwaniu wspomnianej kobiety. Wreszcie ją znalazł, a na jego twarzy wykwitł triumfalny uśmiech. — O tam jest, siedzi pod oknem. Sam słyszałem, jak opowiadała, jak go znaleźli i podejrzewają, że to morderstwo.

Weronika spojrzała we wskazanym kierunku. Nie pomyliła się w swoich przypuszczeniach. Przy najlepszym stoliku, ustawionym pod witryną z doskonałym widokiem na plac rynkowy i wszystko, co się na nim działo, siedziała sobie spokojnie pani Róża.

Coś się w dziewczynie złamało. Poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość, której nie jest w stanie opanować.

Odstawiła na tacę kawę i talerzyk z rogalami, zupełnie zapominając o całej reszcie. Nie spuszczać wzroku z pani Róży, ominęła ladę i zostawiając zdziwionego klienta, w kilku krokach przemierzyła niewielką przestrzeń dzielącą ją od starszej kobiety.

Na sali po raz drugi tego dnia zapadła cisza. Oczy wszystkich skierowały się na ekspedientkę i klientkę, w oczekiwaniu na dalszy ciąg.

Weronika stanęła nad stolikiem, kipiąc z wściekłości. Jasne oczy pani Róży przybrały lekko zdumiony wyraz.

— Tak, kochana? — spytała ze swobodą, jakby zupełnie nie zauważyła niechęci dziewczyny.

— Jak pani może wygadywać takie rzeczy? — zapytała przez zaciśnięte gardło. Zamierzała mówić szeptem, aby inni klienci jej nie słyszeli, ale w ciszy, jaka zaległa na sali, wszystko słyhać było jak na teatralnej scenie.

— Jakie rzeczy?

— Że ojca zamordowano dla pieniędzy, że ktoś z nas to zrobił, nie wstyd pani takie kłamstwa mówić? — spytała z wyrzutem.

Pani Róża odchyliła się delikatnie na krześle, aby mieć lepszy widok na swoją

nieoczekiwaną oponentkę. Żeby spojrzeć Weronice w oczy, musiała zadzierać głowę i bardzo jej się to nie podobało.

— To są kłamstwa. — Weronika pochyliła się nad stolikiem jeszcze bardziej. Teraz już wisiała nad głową staruszki jak śmierć. — Mojego ojca nikt nie zabił. Sam się utopił w jeziorze.

Pani Róża poczuła się dotknięta do żywego. Nikt publicznie nie zarzucił jej kłamstwa. Sama zawsze była dumna z tego, że wszystkie informacje, które kolportowała po okolicy, były zgodne z rzeczywistością. Co prawda zwykle nie sprawdzała faktów, ale jej źródła były dość pewne, aby nie musiała zawracać sobie tym głowy. Nie będzie jej smarkuła, która wróciła po latach, wytykała kłamstwa. Już zmarszczyła groźnie brew i zamierzała odparować wiązką gróźb i przekleństw, aby się młoda odczepiła raz na zawsze i jej nie podskakiwała, kiedy przesunęła wzrokiem po zebranych. Nie było mowy, aby ta wymiana zdań kogoś ominęła, a taka liczba oczu gwarantowała, że wszystko, co się teraz wydarzy, rozniesie się po okolicy szybciej niż światłowod. Postanowiła więc zmienić taktykę.

— Policja już dwa razy była u twojej siostry.

— To nic nie znaczy.

— Sąsiedzi widzieli, jak Eliza klóciła się z waszym ojcem o pieniądze. Ja nic nie mówię, ale to są fakty — wyliczała staruszka.

— To nie są fakty, to są domysły. — Weronika potrząsnęła głową. Głos drżał jej na pograniczu załamania. — Z pani jest stara plotkara, nic więcej. Nie wyobraża pani sobie, jak krzywdzi ludzi. Nie pozwolę, żeby pani obgadywała moją siostrę w ten sposób. Niech się pani wynosi, natychmiast!

Starsza kobieta z całą dumą, jaką potrafiła w sobie zebrać, wstała z krzesła. Posłała Weronice spojrzenie pełne wyrzutu i niemej groźby.

— Moja noga więcej tu nie postanie — oznajmiła obrażonym tonem. — Tak się nie traktuje klientów.

Pani Róża wyszła z piekarni, odprowadzana przez kilkanaście par oczu. Nikt jednak nie zamierzał wtrącać się w rozmowę czy stawać po którejkolwiek stronie. Gdy tylko zamknęły się drzwi, do pomieszczenia wróciło życie. Pierwsze szepty rozbrzmiały pod ścianami, aby szybko przerodzić się w zwykły harmider.

Weronika odetchnęła głęboko, starając się powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Przymknęła powieki, kiedy pani Róża opuszczała lokal i teraz bała się je otworzyć, aby zmierzyć się z pełnymi wyrzutu spojrzeniami reszty zebranych. Gdy sala rozbrzmiała rozmowami, atmosfera zrobiła się nagle lżejsza. Weronika poczuła na dłoni czyjś dotyk. Otworzyła oczy i zobaczyła starszą kobietę. Sąsiadka pani Róży ze stolika uśmiechnęła się delikatnie, pocieszająco. Swoją kościstą dłoń zacisnęła na palcach dziewczyny.

— Nie martw się, będzie dobrze — powiedziała ścisłym głosem tak, aby inni jej nie słyszeli. — Róża jest plotkarą, ale to po prostu stara kobieta, która nie ma niczego innego do roboty.

Weronika patrzyła na staruszkę, nie rozumiejąc, do czego ta zmierza.

— Możesz jej wybaczyć? — dokończyła łagodnie.

Dziewczyna zacisnęła usta.

— Weronika, mogę cię prosić na chwilę?

Głos Pawła był jak kubeł zimnej wody. Wzdrygnęła się na jego dźwięk. Nie słyszała zupełnie, kiedy podszedł do stolika i stanął za nią. Kiwnęła głową i odwróciła się do niego. Twarz miał stężałą, nie było w niej złości, ale też nie wróżyła niczego dobrego. Podążyła za nim. Z każdym krokiem uświadamiała sobie coraz bardziej, co dokładnie zrobiła. Ta chwila wściekłości dla niej była tylko krótkim wybuchem i wymianą zdań. Jego mogła przecież

kosztować o wiele więcej. Wpływ pani Róży na ludzi w Mroczycach był ogromny. Dla samego Pawła mogło to oznaczać nawet brak klientów i zamknięcie piekarni, którą odziedziczył po babci Wiesi.

— Przepraszam cię — zaczęła, gdy tylko znaleźli się w kuchni. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło, nie powinnam.

Paweł westchnął ciężko. Najwyraźniej sam bił się z myślami. Oparł się o stół i przez chwilę milczał. W końcu spojrzał na nią spokojnie.

— Sam od dawna miałem ochotę jej coś powiedzieć — wyznał szczerze.

— Gdybyś to zrobił, pani Róża nie dałaby ci żyć.

— To prawda — przyznał, kiwając głową. — Pani Róża przez jakiś czas będzie chodziła naburmuszona. Miejmy nadzieję, że jej przejdzie.

Weronika spuściła wzrok.

— Dajmy im odpocząć, na razie ja tam pójdę — odezwał się Paweł. Kiwnęła tylko głową. Miał rację. Lepiej, żeby przez chwilę nie pojawiała się na sali. Ruszył w stronę wyjścia, ale w połowie drogi się odwrócił.

— Skąd wiesz, że nie było tak, jak mówi pani Róża? — spytał.

— Ty chyba żartujesz? — jęknęła z niedowierzaniem.

— Cała okolica wie — odparł po chwili — że Maciej wyciągał od Elizy mnóstwo pieniędzy. Dawała mu je, żeby trzymał się od niej z daleka. Może miała już dość?

Nie odpowiedziała. Przez moment wpatrywała się w niego tak, że pożałował zadanego pytania. W końcu nie wytrzymał, odwrócił wzrok i wyszedł z kuchni.

Została sama.

Rębak po raz kolejny odłożył dokumenty na stół i przymknął oczy, aby dać im odpocząć. Przekazali mu wszystko, co mieli. Zdjęcia, opisy i całą masę informacji, które nadal nic mu nie mówiły, choć wiedział, że opowiadały wszystko o zdarzeniach tamtej nocy.

Na razie miał pewność co do tego, że Maciej Zabuda nie utopił się sam. Ktoś mu pomógł, choć nic nie wskazywało jednoznacznie, kto to dokładnie był. Nie, wróć — Rębak skarcił się w myślach. Tu wszystko wskazywało na jedną osobę, tylko on nie potrafił na razie powiedzieć, kim ona jest. Wiedział za to, że potrzebuje więcej czasu.

Wrócił do poprzedniej pozycji i ponownie otworzył teczkę. Rozsunął zdjęcia jak talię kart. Na każdym z nich był numer i oznaczenie. Wszystkie przedstawiały coś, co grupa śledcza uznała za przypuszczalnie ważne dla sprawy. Przez chwilę wpatrywał się w mozaikę trawy, błota i przeróżnych śmieci. Niektórych z nich nie był w stanie rozpoznać, inne zapewne zostały porzucone dość dawno lub w zupełnie innych okolicznościach. Nic z tego, co miał przed sobą, nie krzychało odpowiedzią, a marzył, żeby tak się stało. Powoli zaczął sięgać po kolejne zdjęcia. Ślady butów z głębokimi bruzdami, płaskich, niewątpliwie kaloszy, takich, jakie nosili zwykle wędkarze łowiący ryby na brzegu. Na następnych znalazł ślady o wiele płytsze, bardziej wymyślne, szerokie z lekko ostrym czubkiem. Przypominały mu buty do biegania, które dostał od żony, kiedy się przeprowadzili. Bardzo chciała, żeby zaczął uprawiać jakiś sport. Twierdziła, że dzięki temu, podobnie jak dzięki rzuceniu palenia, będzie zdrowszy. Nic z tego nie wyszło, po tygodniu miał serdecznie dosyć. Nie tylko przedzierania się przez chaszcze na nieutwardzonych ścieżkach przy jeziorze, ale też nerwowej atmosfery, jaką wprowadzał podczas biegania. Przez cały czas miał wrażenie, że ucieka przed czymś, zamiast stawić temu czoło. Wiecznie obracał się za siebie, jakby ktoś go ścigał. Miarka się przebrała, kiedy zaliczył upadek przy starej wierzbie niedaleko pomostu. Od tamtej pory buty leżały głęboko w szafie i zbierały kurz.

— A więc biegacz — mruknął do siebie, patrząc na zdjęcie. Zastanawiał się, czy właściciel mógł być świadkiem morderstwa. Ślad był częściowo zdeptany, zatem albo ktoś przyszedł po biegaczu, albo ślady zatarli sami policjanci. Większość z ich nie miała żadnego doświadczenia w sprawach o morderstwo, a zachowanie na miejscu zbrodni ćwiczyli co najwyżej na szkoleniach i chyba nie bardzo na nich uważali.

Przerzucił kolejne zdjęcia. Jakiś papier, chyba od gumy do żucia. Dalej zapalniczka, wyglądająca na dość nową. Zabuda podobno czasem palił, jak miał na papierosy, mogła więc być jego. Zgubił podczas spotkania z mordercą albo przy przenoszeniu ciała. Rębak miał wrażenie, że na zdjęciu potrafi dostrzec wgniecenie, podobne do tego, jakie powstaje, kiedy ciągnie się ciało człowieka.

Odłożył zdjęcie. Na następnym był kawałek plastiku, wyglądał na dość nowy. Przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z ciekawością. Odwracał fotografię, aby zrozumieć na co patrzy, ale nie udało mu się rozszyfrować zagadki. Trzymając zdjęcie w jednej ręce, drugą wybrał ze sterty kartkę zapisaną drobnym, odręcznym pismem. Piotr Zweiss w swoim raporcie nie stwierdzał śladów obrony, a więc Zabuda musiał znać napastnika lub został zupełnie zaskoczony. Wystarczył jeden cios w głowę, aby rozłupać mu czaszkę i spowodować zgon. Zamyślił się, rozważając, jak dużej siły potrzebował sprawca. Roztrzaskanie głowy kamieniem wcale nie było takie trudne. W takim starciu to kamień zawsze wygrywał, wystarczyło go znaleźć, podnieść i użyć. Na zdjęciu pomostu dostrzegł kilka płaskich, leżących przy belkach, jakby ktoś zostawił je specjalnie. Jeden z nich mógł posłużyć za narzędzie zbrodni i już go tam pewnie nie było. Mógł to zrobić mężczyzna, ale z powodzeniem mogła to uczynić też silniejsza

kobieta.

Odrzucił zdjęcie i notatki, słysząc kroki w korytarzu.

Marysia wpadła do domu jak burza, a wraz z nią chłodny powiew z zewnątrz. Rąbanka wzdrygnął się, ze zmęczenia był bardziej wrażliwy na chłód.

— Nie uwierzysz, co za dzień — zaszcebiotała od progu. Przemierzyła korytarz i weszła do salonu różnym krokiem.

Rafał przyglądał jej się ze zdumieniem. Nieczęsto widywał żonę w stanie takiego poruszenia. Jej policzki były zaróżowione, włosy mieniły się jaśniejszym blaskiem w świetle lampy, którą zapalił przy kanapie. Kobieta odrzuciła torby z zakupami i torebkę na najbliższy fotel i zsunęła płaszcz z ramion.

— Co się stało, Miśka? — spytał wreszcie, coraz bardziej zaintrygowany, kiedy żona zamiast przejść do sedna, po krótkim namyśle ruszyła odwieść płaszcz do przedpokoju.

— Nawet nie wiesz co, prawdziwa draka. — Emocjonowała się, wracając i zabierając się jednocześnie do rozpakowywania rzeczy. Wyciągnęła z bawełnianej torby kilka mniejszych zawiniątek w kolorowych papierach. Rafał patrzył na to, starając się nie myśleć, co może być w środku i ile mogło to kosztować. — Nie martw się, wszystko w promocji — zapewniła go natychmiast, zmieniając temat. Znała go zbyt dobrze. Poza tym, musiał przyznać, że choć zdarzało jej się poszaleć na mieście, kiedy jeszcze mieszkali w Poznaniu, to nigdy nie przekroczyła magicznej bariery, którą można by umownie nazwać rozsądkiem. Co innego jednak, gdy tę granicę przesuwiała za każdym razem odrobinę dalej. Komentarz zatrzymał dla siebie. — Po pracy wstąpiłam dzisiaj na rynek. W sklepie z antykami mieli przyjąć nową dostawę...

— W sklepie z antykami? — wyrwało mu się. Nie pamiętał, aby w tej małej mieścinie znajdowało się takie чудо.

Marysia zignorowała jego słowa i posłała mu spojrzenie z serii: „nie waż się kwestionować mojego postrzegania świata, tak ma być i koniec”.

— No dobrze — mruknął pojednawczo. — I co się stało w sklepie z antykami?

— Tam nic się nie stało. Okazało się, że właściciel ma przepuklinę i nie mógł pojechać po towar. Wstąpiłam przy okazji do piekarni. Tej, z której tak lubisz rogalie orzechowe.

Na samą myśl Rafał poczuł, że robi się głodny. Mała piekarnia przy rynku rzeczywiście wyróżniała się świetnym menu. Nawet jak na wysokie standardy, które oboje wyrobili sobie podczas wieloletnich praktyk w mieście.

— Kupiłam kilka, ale miałam chwilę, więc zamówiłam też kawę...

Wyprostowała się gwałtownie, trzymając w ręce paczkę zgrabnie zawiniętą w szary papier. Uśmiechnęła się do męża.

— Może wypijemy coś i je zjemy? W sumie już jestem głodna, a jeszcze nie zdążyłam zrobić obiadu.

Rafał westchnął cicho. Przez lata z Miśką przyzwyczał się do tego, że każda historia opowiadana przez żonę musiała być poprzedzona całymi godzinami wstępu. Tym razem nie zanosilo się na nic innego. Zerknął przelotnie na papiery leżące na stoliku. Nie miał wątpliwości, że więcej pożytku przyniesie mu teraz zjedzenie orzechowego rogalia, niż siedzenie i wpatrywanie się w zdjęcia. Zamknął teczkę jednym ruchem.

— No dobra, dawaj te rogalie i opowiadaj, co się stało.

Ruszył za żoną do kuchni.

— Wyobraź sobie, że w piekarni jest nowa dziewczyna, przyjechała kilka dni temu — zaczęła, myjąc ręce nad zlewem. Przez chwilę szum wody zagłuszał część jej słów. Rafał zasiadł przy kuchennym stole, na ławie, i obserwował ją w milczeniu, jak wyciągała talerzyki i

rozkładała rogalę, jemu wybierając te większe. W zasadzie ona też nie oczekiwała, że będzie z nią wchodził w polemikę, wystarczyło, że był. — Ta babeczka podobno kiedyś tu mieszkała. Wdała się w kłótnię z panią Różą, ta ostatnia miała się z pyszna. — Marysia zachichotała.

Zagotowała wodę i postawiła przed każdym z nich kubek herbaty czarnej jak kawa oraz po talerzyku z rogalami. Temat dwóch obcych kobiet, kłócących się o cokolwiek, mało interesował Rafała, więc skupił się na jedzeniu.

— Naprawdę myślałam, że ta kobieta rzuci się pani Róży do gardła. — Marysia pokręciła z niedowierzaniem głową. — I pomyśleć, że kłóciły się o twojego trupa...

Rafał poczuł, jak rogał staje mu w gardle.

— Jakiego mojego trupa? — wpadł jej w słowo. Marysia zmarszczyła brwi. Nie znosiła, jak ktoś jej przerywał.

— Chodziło o Macieja Zabudę — wyjaśniła łagodnie, po czym jej twarz rozjaśnił zaciekawiony uśmiech. — A co, mamy jeszcze jakiegoś trupa?

— Na szczęście nie — odparł poważnie. — Więc co z tym denatem?

*

Ząbek nie wierzył we własne szczęście. Miał wreszcie chwilę, żeby usiąść i na spokojnie napisać raport. Zważywszy jednak na to, ile musiał w nim zawrzeć, zastanawiał się, czy zajmie mu to zaledwie pięć minut, bo wpisze tylko to, co mogło mieć jakieś znaczenie dla śledztwa, czy powinien poświęcić na to trzy godziny i spisać po prostu wszystko, co naopowiadali mu ludzie. Cały dzień chodził po domach, od adresu do adresu, słuchając tych, którzy w mniejszym lub większym stopniu byli znajomymi Zabudy. Szukał jakiegoś powiązania z kimkolwiek, kto chciałby wyrównać rachunki z mężczyzną. Wszystko na próżno. Co prawda Zabuda okazał się większym draniem, niż to z początku wyglądało, nic jednak nie wskazywało, aby podpadł komuś na tyle, żeby posłać go na dno jeziora.

Ząbek rozłożył notatki i przygotował czyste kartki. Korzystając z tego, że w pokoju nikogo nie było, przeciągnął się na krzesło, po czym wstał i zaczął chodzić po pomieszczeniu. Miał nadzieję, że w ten sposób wychodzi wenę i będzie mu lepiej się pisało. Trochę żałował, że nie jest palaczem. Mógłby wtedy wyjść na dymka, ale za każdym razem, kiedy przypominał sobie, ile kosztuje paczka papierosów, przypominał sobie też, dlaczego nie pali. Westchnął i podszedł do okna. Pomimo zimna na zewnątrz, otworzył je szeroko, wpuszczając do pokoju orzeźwiający powiew. Wzdrygnął się, czując, jak mroźne są noce, choć zima jakiś czas temu odeszła z kalendarza.

Pod oknem dostrzegł czyjś cień. Wychylił się trochę, próbując dojrzeć właściciela pomiędzy kratami w oknie i natychmiast się cofnął. Pod murem w tę i z powrotem wędrowała pani Róża. Wyraźnie zaaferowana i poruszona, ale dość niepewna, aby nie wpadać do komisariatu z nowinami. Ząbek nie miał ochoty na rozmowę z kobietą. Zamknął cicho okno, wycofał się w głąb pomieszczenia i wrócił do biurka. Raport sam się nie napisze, a im szybciej go skończy, tym szybciej będzie mógł wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami. Wołał nie ryzykować odwrócenia pierwszeństwa, bo myśl o Rąbance nadal przyprawiała go o dreszcze. Facet zdecydowanie miał nierówno pod sufitem, a do tego posterunkowy podejrzewał go o zmienność nastrojów, czy jak tam się nazywało to rozdwojenie jaźni.

Ledwie zaczął pisać, gdy na biurku rozległ się dźwięk dzwonka telefonu. Ząbek obdarzył aparat niechętnym spojrzeniem, jakby samo to mogło sprawić, że przestałby być tak natarczywy. Po trzech sygnałach uznał, że nic z tego i podniósł słuchawkę.

Po drugiej stronie odezwała się zaaferowana kobieta. Znał ten głos, bo zgłoszenie od niej przyjmowali średnio dwa razy w miesiącu. Przeważnie na początku, kiedy mąż jeszcze miał za

co pić. Później sytuacja się uspokajała, bo alkoholu było mniej i Furkiewicz nie miał zwyczajnie za co wpadać w agresję. Spokojnym, wręcz znużonym głosem zapewnił kobietę, że już jedzie i się rozłączył. W zasadzie nie powinien jechać sam, ale Andrzej Antczak, z którym pełnił służbę, gdzieś zniknął. Zwykle nikt nikomu nie robił problemu. W końcu było ich za mało, aby mogli pokryć braki kadrowe i pełnić służbę zgodnie z przepisami. Spojrzał jeszcze na zegar wiszący na ścianie. Zgarnął czapkę z biurka i ruszył do wyjścia.

Pod drzwiami praktycznie wpadł na panią Różę. Zupełnie o niej zapomniał. Kobieta nadal przechadzała się nerwowym krokiem pod budynkiem. Kiedy wyszedł, akurat mijała wejście.

— Pani Rózo, niech pani uważa, gdzie chodzi — zganił ją łagodnie.

— Ja, chłopcze, chodzę tam, gdzie trzeba — obruszyła się starszka, prostując się dumnie.

— To niech pani potrzeby idą gdzie indziej — odparł, zanim zdążył pomyśleć. Widząc minę kobiety, pospiesznie dodał: — Nie teraz, pani Rózo, mam wezwanie.

Ruszył w stronę radiowozu.

— Ale ja mam ważne informacje — zawołała, drecząc za nim pospiesznie.

— Nie teraz, pani Rózo — powtórzył. Nie miał w tej chwili serca do wysłuchiwanie plotek.

— Ty mnie, młody człowieku, nie zbywaj — zagroziła.

— Nie zbywam — zapewnił. Już otwierał drzwi i marzył o tym, żeby wreszcie wyjechać do Furkiewiczów. Przy odrobinie szczęścia chłop mógł być tak pijany, że nie będzie sprawiał kłopotu, a już z pewnością nie będzie taki upierdliwy jak pani Róża. Starszka nie ustępowała.

— Ja przychodzę jak dobra obywatelka, z informacją, a policja ma to w nosie — uniosła się honorem. — Może powinnam z tym iść do mediów?

Ząbek westchnął. Dramatyzowanie przeradzało się powoli w farsę, ale nie chciał ryzykować. Może lokalne media w postaci gazetki, wydawanej miesięcznie nakładem reklam, i portalu mojemroccki.pl nie były ani znaczące, ani wielkie. Gorzej jednak, gdyby rozniosło się coś szerzej. Bierzynski z pewnością też nie kipiałby radością.

— Dobrze, pani Rózo, niech pani mówi, tylko szybko, bo tam ludzie czekają. — Wskazał głową w bliżej nieokreślonym kierunku.

Furkiewicz musiał chwilę poczekać.

— Nie powinienes notować, spisać zeznania, chłopcze? — zapytała niepewnie. Nagle straciła impet i pewność siebie.

— Nie muszę, pani Rózo, zapamiętam, co mi pani powie. Notatkę spiszę później. Nie mamy na to czasu. — Starał się, jak mógł, by ton jego głosu był dokładnie taki, jak uczyli go na kursach. Najwyraźniej pomagało, bo starszka przez moment jeszcze przestępowała z nogi na nogę, po czym podjęła decyzję. Spojrzała pewniej i wyprostowała się.

— Chodzi o sprawę Macieja.

Ząbek prawie zakrztusił się śliną, ale zachował powagę.

— Słucham panią — ponaglił delikatnie. Furkiewicz zupełnie przestał dla niego istnieć.

— Tego dnia, kiedy zginął Maciej — zaczęła pani Róża. — Tego dnia przyjechała jego córka.

— Córka?

— Weronika Zabuda, po dziesięciu latach przyjechała do Mroczy.

Ząbek o mało nie uderzył się otwartą dłonią w czoło. Wreszcie uświadomił sobie, co sprawiało, że przez cały czas czuł, jakby o czymś zapomniał. Powinien od początku o tym wiedzieć. Maciej Zabuda miał dwie córki. Eliza była tą młodszą. Starsza, Weronika, wyjechała tak dawno, że dla większości ludzi zatarła się w pamięci. Nikt o niej już nie wspominał, nie

nawiązywał do niej.

— Weronika nie była w dobrych stosunkach z ojcem — tłumaczyła pani Róża. — Dziewczyna jest dobra, ale rodziców nie znosiła. Z obojgiem nie utrzymywała kontaktu, z siostrą zresztą też.

— Jest pani pewna, że Weronika wróciła tego dnia?

— Tak, sama ją widziałam następnego ranka.

— Gdzie? — Ząbek uniósł brwi w zdziwieniu.

— W piekarni Pawła. Tam się zatrzymała. Pomaga mu przy sklepie.

— Skąd to przypuszczenie, że ma to coś wspólnego ze śmiercią ojca?

— Może widziałam, jak szła w stronę jeziora — rzekła staruszka. — Tamtego wieczora, w przeddzień, jak znaleźli Macieja.

— Może czy na pewno? — spytał podejrzliwie. Pani Róża uciekła spojrzeniem w bok.

— Widziałam, jak się kręciła po rynku i weszła w uliczkę prowadzącą w stronę parku — przyznała po chwili niechętnie.

— To skąd pani wie, że doszła do jeziora?

— Takie rzeczy się wie, gdzie mogła iść, jak nie na spotkanie z Maciejem?

— Czemu wcześniej pani o tym nie wspomniała? — mruknął z wyrzutem.

Kobieta wzruszyła ramionami i znów uciekła wzrokiem w bok, kontemplując tynk na budynku komisariatu.

— Nikt mnie nie pytał — powiedziała tak cicho, że ledwie ją zrozumiał.

— Teraz też nie pytałem.

— Ale ja doszłam do wniosku, że to może mieć znaczenie.

Ząbek nie zamierzał więcej drażnić powodu, dla którego pani Róża zdecydowała się wreszcie ujawnić informacje. Zamiast tego zaczął szybko analizować. Póki kobieta była skłonna do zwierzeń, należało korzystać z okazji.

— Czy widziała pani kogoś jeszcze? Może Macieja Zabudę?

— Nie — odparła szybko.

— Jest pani pewna?

Pani Róża zmarszczyła brwi. Pytania wyraźnie nie pasowały jej do koncepcji przesłuchania. Nic dziwnego, zwykle to ona wyciągała informacje od innych.

— Czy ty mnie masz za jakąś zniedołężniałą staruchę z demencją? — warknęła. — Jak mówię, że nie widziałam, to nie widziałam. Zresztą miałam lepsze zajęcia niż rozglądanie się za ludźmi.

Posterunkowy ugryzł się w język, żeby nie palnąć kolejnej głupoty. Gdyby teraz zwrócił jej uwagę, z pewnością zamknęłaby się zupełnie.

— A co pani wtedy robiła? — spytał, uważając to za dość neutralne.

— Wracałam do domu po wieczornej mszy — odparła bez ogródek.

Popatrzył na nią czujnie. Tym razem nie odwróciła wzroku. W jego ocenie wyglądało na to, że pani Róża mówiła prawdę. Zresztą nie miała powodu kłamać.

— Dobrze, pani Różo, chodźmy...

Nie zdążył dokończyć. W kieszeni jego munduru odezwała się dzika melodyjka. Ząbek wyciągnął aparat i spojrzał na wyświetlacz. Poczul zimny dreszcz na karku i nie było to spowodowane chłodem późnego wieczoru.

Eliza siedziała skulona na kanapie i z całych sił próbowała się uspokoić. Płacz nie przynosił już ukojenia, a jedynie potęgował ból. Przestała więc płakać, powoli wyrównywała oddech. Nastawiła telewizor na tyle głośno, aby żaden inny dźwięk nie dochodził do pokoju chłopców. Teraz śmiech i gadanina dobiegająca z odbiornika drażniły ją coraz bardziej. W końcu nie wytrzymała. Wychyliła się po pilota. Pod żebrami poczuła przeszywający ból. Promieniując, rozszedł się po całym ciele i zabrał jej na chwilę oddech. Przed oczami zobaczyła ciemne plamki, po czym wszystko zaszło mgłą łez. Powoli wycofała się do swojego kąta na kanapie i skuliła w sobie. Miała serdecznie dość wszystkiego. Gdyby nie chłopcy, już dawno by stąd uciekła. Adam i Kajetan jej potrzebowali, a Piotr nie pozwoliłby na to, żeby odebrała mu dzieci. Kiedy urodziły się bliźniaki, uznał, że Eliza wreszcie wywiązała się ze swoich obowiązków. Dla niego rodzina nie byłaby pełna, gdyby na świecie nie pojawiły się dzieci, zwłaszcza chłopcy. Bo co to za rodzina, żeby nie było dzieci — jak powtarzał. Eliza starała się, jak mogła. Dwa razy poroniła w krótkim czasie i bała się szaleńczo, aby nie stało się to za trzecim razem. Szczęśliwie udało się jej i chłopcy urodzili się zdrowi. Piotr chodził dumny jak paw i przez jakiś czas był spokojny. Eliza sama przed sobą próbowała udowodnić, że to nie był jedyny moment, kiedy był łagodny i żyło im się dobrze.

Przecież teraz też nie było źle. Chłopcy rośli zdrowo, mieli już sześć lat. Piotr dobrze zarabiał i niczego im nie brakowało. To, co zarobiła Eliza było raczej ekstra pieniędzmi niż niezbędnym minimum. Piotr po latach tak zwanego dorabiania się, wreszcie osiągnął pułap, gdzie firma nakręcała się sama. Mógł więcej czasu spędzać z rodziną. Tego obawiała się Eliza. Mąż był dla niej ostoją, bo w najtrudniejszych chwilach, kiedy była młoda i głupia, a w domu wiodło się naprawdę źle i matka zaczynała powoli podupadać na zdrowiu, on pojawił się niczym przysłowiowy książę. Zabierał ją do kina i na kolacje, obsypywał prezentami, otaczał opieką, której nie zaznała ze strony ojca. Był starszy o prawie jedenaście lat, ale nie przeszkadzało jej to. Uległa mu jak ulega śnieg przy pierwszych wiosennych dniach. Właściwie nie musiał się aż tak starać. Elizie schlebiało to, jak ją traktował, i że koleżanki patrzyły z zazdrością. Wyszła za niego po niecałym pół roku znajomości. Ich sielanka trwała kilka miesięcy. Wtedy jeszcze się urządzali, a drobne spięcia traktowała jako docieranie się. W końcu spędzali ze sobą mnóstwo czasu, więc zwyczajnie nie mogło obejść się bez małych sprzeczek.

Pierwszy raz uderzył ją pół roku po ślubie. Dostała w twarz. Doskonale pamiętała to nawet teraz. Tego dnia czuła się okropnie. Od rana targały nią nudności i kręciło jej się w głowie. Była tak zmęczona, że nie miała siły wstać z łóżka. Dopiero później dowiedziała się, że jest w ciąży, ale wtedy myślała, że dopadła ją grypa żołądkowa. Gdy Piotr wrócił do domu, nie rozumiała, dlaczego wściekał się, że nie zrobiła obiadu, tylko przeleżała cały dzień w łóżku. Próbowała mu wyjaśnić, że czuła się za słaba, ale nie przyjmował tego do wiadomości. Rozjuszyło go to jeszcze bardziej. W końcu stwierdziła, żeby zamówił sobie coś na wynos i chciała wrócić do łóżka. Nie zdążyła. Poczowała cios. Odrzuciło ją do tyłu na kuchenne szafki, po których osunęła się jak szmaciana lalka. Przez dłuższą chwilę dzwoniło jej w uszach, nim wreszcie otrząsnęła się na tyle, żeby zrozumieć, co się stało. Popatrzyła na niego w przerażeniu. Nachylił się nad nią i wycedził przez zęby.

— Nie po to mam ciebie, żeby zamawiać zarcie. Bierz dupę w troki i zasuważ do garów.

Eliza była tak przerażona, że nie mogła się poruszyć. Dopiero drugie uderzenie w głowę, trochę lżejsze, sprawiło, że zrozumiała. Chcąc czy nie, musiała się wziąć w garść i przygotować posiłek. Mąż upewniwszy się, że żona się nie obja, zniknął w pokoju.

Następnego dnia obudziła się z wielkim siniakiem na twarzy. Piotr kajał się i przepraszał. Z pracy wrócił z wielkim bukietem i tłumaczeniem, że źle zniósł ostatnią, nieudaną transakcję i dlatego chodził nerwowo i że to się już nie powtórzy. Eliza wierzyła. Przez kilka dni starała się unikać ludzi, aby nie musieć tłumaczyć im swojego stanu. Piotr też odrobił tę lekcję. Nigdy więcej nie uderzył jej w twarz, od tej pory wybierał niższe partie, o wiele łatwiejsze do zamaskowania. Zwykle były to żebra, plecy pomiędzy łopatkami, czasem nogi, jeśli napatoczyła mu się dość nisko, aby łatwiej było ją kopnąć niż uderzyć. Miesiąc po pierwszym uderzeniu poroniła, wtedy uświadomiła sobie, że była w ciąży. Dowiedział się o tym i wściekł, że nie potrafiła zadbać nawet o tak ważną rzecz, jak jego dziecko.

Na co dzień był spokojny, ale zdarzały się momenty, kiedy coś wyprowadzało go z równowagi i wtedy nie miał litości. Eliza przyzwyczaiła się do tego, w końcu akceptując swój los.

Dopiero kiedy umarła matka, coś w niej pękło. Po raz pierwszy od kilku lat zobaczyła siostrę. Patrzyła na Weronikę nad grobem matki i powoli rodziła się w niej zazdrość. Dlaczego siostra mogła się uwolnić z tej dziury i żyć szczęśliwie gdzie indziej, podczas gdy ona musiała znosić takie traktowanie? Dlaczego pomimo tego, że to ona miała męża i dzieci, a Weronika była sama, to tamta była od niej szczęśliwsza? Nie potrafiła odpowiedzieć na te pytania, ale czuła się przez to pokrzywdzona i ta złość wzbierała w niej coraz bardziej, uniemożliwiając dalsze godzenie z losem.

Eliza powstrzymała kolejną falę smutku, starając się nie rozplakać. Skupiła się na własnym ciele, próbowała sobie wmówić, że nic ją nie boli. Po chwili kruchy spokój znów powrócił.

Nie spodziewała się tego dzisiaj. Kiedy zobaczyła, że Piotr zbiera się do wyjścia, w pierwszym momencie nie dowierzała własnym oczom. Nie chciała zostawać sama. Kiedy był w domu, czuła się pewniej, zwłaszcza teraz, gdy tak częstymi gośćmi byli policjanci. Jeden z nich zapowiedział się, że wróci, Eliza siedziała jak na szpilkach, nie wiedząc, kiedy nastąpi ten straszny moment. Piotr radził sobie z nimi doskonale. Wynosili się z domu bez szemrania. Ona z pewnością nie dałaby sobie rady.

— Możesz dzisiaj nie wychodzić? — spytała nieśmiało, stając za nim w korytarzu.

— Dlaczego?

Wyprostował się gwałtownie. Górował nad nią.

— Pomyślałam tylko, że oni mogą wrócić... — rzekła słabym głosem.

— O tej porze nie przyjdą — odparł, powstrzymując się przed machnięciem ręką. Założył sportowe buty bez odwiązywania ich. Przesunął stopę, aby ułożyła się wygodniej.

— Wolałabym, żebyś został... Po tym, co się stało...

Od kiedy usłyszała, że ojciec nie utopił się sam, zaczął wzbierać w niej niepokój. Nie miała pojęcia, że ktoś może żywić do niego aż taką nienawiść. Ojciec nie był święty. Kiedyś zdradzał matkę i dlatego się rozstali, ale wyprowadził się z domu prawie bez problemu. Kilka razy wracał, żądając od matki wpuszczenia lub pieniędzy jako zadośćuczynienia, ale nie był bardziej agresywny czy groźny, niż każdy inny pijak. U kolegów, z tego co wiedziała, nie robił długów, może dlatego że wszyscy wydawali każdy grosz na alkohol. Wbrew obiegowym opiniom, dzielili go między sobą dość sprawiedliwie. Nie przypominała sobie nikogo, kto pałałby taką nienawiścią, aby zabić. Z drugiej strony może to nie była tylko nienawiść?

Nękał ją irracjonalny lęk. — A co, jeśli nie chodziło tylko o ojca? Wolałaby, aby Piotr został w domu, jeśli miałoby się stać coś złego.

— Czego ty ode mnie znowu chcesz, kobieto?

Piotr się rozeźlił. Jego głos zdradzał zniecierpliwienie.

— Nic...

— Nie wystarczy ci, że haruję na ciebie cały dzień? Musisz być jeszcze upierdliwa wieczorem?

Eliza cofnęła się gwałtownie, wyczuwając agresję w jego tonie. Niestety ten ruch podziałał jak płachta na byka. Kiedy to zrozumiała, było już za późno. Natarł na nią błyskawicznie.

— Przepraszam — powiedziała szybko. Pięść popędziła w jej kierunku. Nie próbowała się nawet chronić. Ból zaparł jej dech w piersiach.

— Żadnego z ciebie pożytku, nic nie potrafisz załatwić i jeszcze jesteś jak wrzód na dupie — warknął, kiedy z jękiem osunęła się po ścianie na podłogę. Skuliła się. — Przydaj się chociaż na coś, siedź w domu i pilnuj dzieciaków. Nie wtrącaj się, bo pożałujesz.

Kopnął ją, trafiając pod żebra. Jeszcze raz oszołomiła ją fala bólu. Trzasnął drzwiami, wychodząc.

Leżała tak przez kilka dobrych minut, modląc się w duchu, żeby chłopcy nie wyszli z pokoju i nie zobaczyli jej w takim stanie na podłodze. Wiedziała, że nie zrozumieliby tego, co się stało. Baliby się, a tego nie chciała im fundować. W końcu ból zelżał na tyle, że mogła wstać i dojść jakoś do kanapy w salonie. Tam zwinęła się w kłębek, aby przeczekać najgorsze. Piotr nie wracał bardzo długo. Miała czas na pozbieranie myśli.

— Mamo? — usłyszała płaczliwy ton Kajetana.

Z trudem podniosła głowę.

— Słucham, kotku? — spytała łagodnie, starając się do niego uśmiechnąć. Chłopiec stał w progu pokoju ubrany w kolorową piżamę z nadrukiem Spider-Mana.

— Mamo, co się stało?

— Nic się nie stało, wszystko w porządku — zapewniła. Zdjęła nogi z kanapy. Chłopczyk potraktował to jako zaproszenie. Przeszedł przez pokój i wspiął się na jej kolana.

— Mamo — powtórzył, patrząc na nią szklącymi się oczami. — Czy ty byłaś niegrzeczna?

Eliza poczuła uścisk w żołądku o wiele bardziej bolesny niż to, co nadal czuła pod żebrami.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — spytała przez zaciśnięte gardło.

— Bo tata cię bił...

Eliza przyciągnęła Kajetana do siebie i ścisnęła mocno. Nie potrafiła już powstrzymać łez, które wypływały z jej oczu i torowały sobie drogę po wymęczonych policzkach.

Zaskoczony chłopiec odwzajemnił delikatnie uścisk. Poczowała, jak drży w jej objęciach.

— Mamo, nie martw się, ja cię obronię — wyszeptał.

Uścisnęła go jeszcze bardziej, o ile było to możliwe. Bardzo chciała schować jego dziecięcą postać przed całym światem. Czuła, że zawiodła go jako matka. Jakby właśnie pozbawiła go dziecięcych marzeń. Cała mieszanka uczuć, jakie targały nią przed godziną wróciły ze zdwojoną siłą. Te do Weroniki i do Piotra. O ile łatwiej byłoby, gdyby ich nie było — pomyślała w złości. Nagle aż zachłysnęła się tą myślą. Oczywiście, gdyby mężczyzny nie było, nie musiałyby tkwić w tym chorym związku. Nie musiałyby martwić się, że może odebrać jej dzieci. Wreszcie jej dzieci nie musiałyby oglądać, jak jest bita.

— Wszystko będzie dobrze — mruknęła w jasne włosy syna. — Będzie dobrze, mama to naprawi — zapewniła, nie wiedząc, czy słowa te kieruje bardziej do niego, czy do siebie. Uśmiechnęła się przez łzy. — Daj rączkę, zaprowadzę cię do łóżka. Jest już późno.

Kajetan popatrzył na nią w skupieniu. Był tak poważny, jakby przestał być dzieckiem. Dał się jednak poprowadzić w stronę sypialni. Po chwili całe wrażenie zniknęło. Chłopiec znów

stał się sześciolatkiem. Ziewnął rozziewając i uśmiechnął się przymilnie.
— A poczytasz nam, mamó?

Weronika wysypała zawartość szufelki do śmietnika i popatrzyła krytycznie. Kubek zdecydowanie wymagał opróżnienia. Paweł był jeszcze w połowie zmywania podłogi i manewrował właśnie między stolikami, więc uznała, że nie warto z tym czekać. Zawiązała węzeł i ruszyła z workiem przez kuchnię. Przemierzyła niewielkie podwórko, o tej porze oświetlone jedynie uliczną lampą, stojącą kilkanaście metrów dalej. Na wąskiej, mało reprezentacyjnej drodze nie było co się wysilać. Władze Mroczyc uznały, że mieszkańcy sami zatroszczą się o oświetlenie swoich posesji, w związku z czym Weronika poruszała się w dużej mierze na pamięć. Na szczęście podwórko było puste. Paweł używał go jako tylnego wejścia, głównie na dostawy.

Zanim wróciła, rozejrzała się wokół. Przestrzeń była niewielka, ale małym kosztem można było z niej zrobić ładne miejsce w stylu kawiarnianego ogródka. Po dzisiejszych uwagach związanych z krzesłami od strony placu, pomysł na ogród wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny. Paweł nie musiałby płacić dodatkowych pieniędzy, a zyskałby całkiem ładną przestrzeń do przyjmowania gości. Problem polegał na tym, że jedyne wejście z piekarni na podwórko prowadziło przez kuchnię, ta natomiast nie mogła służyć jako pomieszczenie przechodnie. W innym wypadku klienci musieliby obchodzić jeszcze trzy domy, aby wejść do ogródka. Wydawało się to co najmniej zniechęcające. Wierzyła jednak, że gdyby dobrze się nad tym zastanowić, znalazłaby sposób na zmianę aranżacji tak, by można było w przyszłym roku otworzyć ogródek kawiarniany.

Potrząsnęła głową, uświadamiając sobie, o czym myśli i jak irracjonalnie to wyglądało. Robiła plany, jakby miała zamiar zostać tu na dłużej, a przecież za trzy dni miała znów wyjechać, tym razem na zawsze.

W kieszeni ożyła jej komórka, odciągając myśli od dziwnych dróg. Chciała właśnie spojrzeć na wyświetlacz, kiedy poczuła w ramieniu silny ból. Syknęła zaskoczona. Nie zdążyła odwrócić głowy, gdy ktoś nią szarpnął i rzucił na ścianę budynku. Zaparło jej dech, a komórka wypadła z ręki.

— Dzień dobry, Weroniko. — Głos był męski, głęboki i niepokojący. W pierwszym momencie go nie poznała, ale w nikłym świetle lampy dostrzegła rysy mężczyzny stojącego przed nią i zamykającego swoim ciałem drogę ucieczki.

Piotra widziała w życiu ze dwa razy. Zapadł jej w pamięć jako wysoki, nawet przystojny mężczyzna o charakterze spokojnym, ale silnym. Ten człowiek, którego miała przed sobą, oddychał ciężko, jakby przybiegł z daleka, śmierdział potem, a posklejane włosy mieniły się w żółtawym świetle, ukazując zakola na skroniach.

— Piotr?

— Przyszedłem zobaczyć, jak się miewa droga szwagierka.

— W porządku — odparła Weronika, marszcząc brwi. Trzymał ją przy samej ścianie, blisko, ograniczając możliwość ucieczki. Jego zachowanie było dla niej niezrozumiałe, pod skórą czuła, że nie wróży nic dobrego.

— Chyba nie do końca. — Cmoknął z niezadowoleniem. — Miałeś zatrzymać się u koleżanki.

Weronika skrzywiła się mimochodem. Dopiero po niewczasie zorientowała się, że to był błąd. Piotr naparł na nią, jeszcze bardziej przyciskając do ściany. Kolanem rozsunał jej uda tak, by mu się nie wywinęła. Przedramieniem przycisnął gardło, przez co zaczęła się dławić. Próbowwała go odsunąć, ale miała za mało siły. Był jak głaz, który ani drgnie.

— Słuchaj. Nikomu nie jest na rękę twój przyjazd — zaczął na pozór spokojnie. —

Musisz pamiętać, że jesteś tu tylko przejazdem i masz się zachowywać.

— Nie rozumiem cię...

Przez jego twarz przebiegł cień wściekłości. Docisnął ją mocniej. Teraz już nie była w stanie złapać oddechu. W jego oczach zobaczyła groźbę. Była jak zwierzę złapane w potrzask, a Piotr tylko czekał na jeden fałszywy ruch.

— Nie dyskutuj — wycodził przez zęby. Powoli przestawał panować nawet nad tym pozornym spokojem. — Masz się zachowywać. Temu idiotcie może to na rękę, że ma taką chętną sukę u siebie, ale pamiętaj o Elizie. Ona na tym ucierpi najbardziej.

Weronika patrzyła na niego z przerażeniem. Szukała jakiegoś znaku, że ten szaleniec stojący przed nią żartuje. Piotr jednak nie żartował. Ani w momencie, kiedy mówił o niej, ani o jej siostrze.

Myśl o tym, że mogłaby poddać się temu człowiekowi i robić, co zażądał, podziałała na nią jak płachta na byka. Spiorunowała go wzrokiem, starając się, aby żaden mięsień w jej ciele nie drgnął i nie zdradził kryjącego się pod spodem strachu.

— Nie obchodzi mnie twoje zdanie — zaczęła ściszym głosem, bo tylko w ten sposób była pewna, że nie zadrży. — Nie masz prawa niczego ode mnie...

Nie dokończyła. Piotr błyskawicznie wymierzył cios. Poczowała silny ból w okolicach nerki. Zgięła się w pół, a przed oczami pojawiły się mroczki. Kiedy ją puścił, osunęła się bezwładnie na betonowy chodnik. Nie miała siły się podnieść. Wszystkie mięśnie były jak sparaliżowane.

Piotr stał nad nią przez chwilę nieruchomo. Słyszała jego ciężki oddech. Próbował się uspokoić. Drgnął. Skuliła się, zasłaniając odruchowo głowę rękoma. Ten poddańczy gest chyba na niego podziałał, bo odstąpił i zaczął się lekko śmiać. Dźwięk był nieprzyjemny i przyprawiał Weronikę o dreszcze.

— Masz się od niego wynieść, jeszcze dziś — warknął.

Nie pytał jej o zdanie, stwierdził fakt i uznał sprawę za załatwioną. Zostawił ją tam, gdzie leżała. Odwrócił się na pięcie i powoli oddalił w stronę wąskiej uliczki. Dopiero kiedy jego kroki ucichły zupełnie, Weronika odważyła się otworzyć zaciśnięte powieki. Od dawna tak się nie bała. Nawet pijany ojciec w dzieciństwie nie wzbudzał w niej takiego lęku, jaki udało się zaszczyć Piotrowi podczas tej krótkiej wizyty. Podniosła się do pozycji siedzącej i oparła o mur. Przez chwilę oddychała głęboko, ciesząc się, że w ogóle może to robić. Szybko jednak oddech stał się urywany i przeszedł w cichy szloch.

Spacer w środku chłodnej nocy nie wydawał się w pierwszej chwili dobrym pomysłem. Podział jednak kojąco. Wbrew opinii, że Mroczyce były małe, znalazł tu dość ulic, aby przechadzać się długo, nie napotykając nikogo, kto mógłby zakłócić mu rozmyślenia. Korzystał więc z tego stanu.

Jeszcze godzinę temu wściekał się i miotał. Kiedy Miśka powiedziała mu, czego była świadkiem w piekarni, długo nie mógł pojąć puenty. Dotarło do niego, dopiero kiedy żona powtórzyła powoli koligacje łączące Elizę Kwiatkowską i Weronikę Zabudę. Nagle ogromna ilość puzzli wskoczyła na swoje miejsce, a on sam zerwał się jak oparzony. Dlaczego wcześniej na to nie wpadli? Dlaczego nie sprawdzili wszystkich koligacji rodzinnych? Co robił Ząbek, kiedy miał wypełniać cholerne procedury? Dlaczego nie powiedział mu na samym początku o tym, że Maciej Zabuda miał dwie córki? Pytania kłębiły mu się pod czaszką, wypierając się wzajemnie. Rębak czuł, że wściekłość narasta w nim w zastraszającym tempie. Marysia patrzyła z zaskoczeniem i niepokojem. Nie spodziewała się, że jej opowieść wywoła taką reakcję.

— Co się stało? — spytała słabym głosem. — Wyglądasz, jakbyś chciał komuś przyłożyć.

— Bo tak jest, do cholery — zapewnił szybko, a żona drgnęła. Zabolęła go ta reakcja. Zaczął tłumaczyć, jakby na własne usprawiedliwienie. — Nie wyobrażasz sobie, jakie to może być ważne dla śledztwa.

— Dla tego morderstwa?

— Dokładnie. — Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w małej miejscowości śmierć nie tylko wywołuje dużą sensację, ale też natychmiast rodzi teorie spiskowe.

— Myślisz, że ona go zabiła?

Marysia wpatrywała się w niego z czystą ciekawością. Po strachu z powodu jego wściekłości nie pozostał ślad.

— Tego nie wiem, ale nie jest to wykluczone — odparł ostrożnie.

— Ona przyjechała niedawno — zauważyła żona.

— To nie ma znaczenia. Takiego morderstwa nie planuje się długo.

— Myślałam, że właśnie się planuje.

Rafał potrząsnął głową, uśmiechając się pobłaźliwie. Sam był myślami już o wiele dalej, analizując wszystkie możliwości.

— Porządnie przemyślane morderstwo przewidywałoby ukrycie ciała. Zabudę wrzucono do jeziora, bez zastanawiania się, nie było żadnych śladów wskazujących na to, że ktoś chciał ukryć ciało, prócz kilku kamieni w kieszeniach, to za mało — mówił szybko.

Miśka upiła łyk herbaty.

— Myślisz, że dałaby radę? To drobna kobieta — powątpiewała.

Rafał zafrasował się odrobinę. W zasadzie nie miał pojęcia, jak wygląda Weronika Zabuda i czy nadaje się na materiał na mordercę. Wstępnie nic nie stało na przeszkodzie, aby ją do nich zaliczyć, więc zrobił to z wielką ochotą. Może dzięki temu śledztwo miało szansę wreszcie ruszyć z miejsca.

Rębak wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer. Ząbek odebrał po trzecim sygnale. Zbyt długo kazał mu czekać i Rafał zdążył się już zezłościć.

W kilku zwięzłych zdaniach ochrzanił równo Ząbka za brak informacji o Weronice.

— Przepraszam. — Usłyszał w słuchawce bezradny głos posterunkowego. — Weronika Zabuda od dawna nie mieszka w Mroczycach. Wyprowadziła się dziesięć lat temu.

— To po co, kurwa, wróciła?

— W zeszłym roku zmarła jej matka i teraz razem z siostrą sprzedają po niej dom. Przyjechała podpisać papiery.

— Po cholere tyle tu siedzi?

— Podobno papiery ma podpisać dopiero pod koniec tygodnia.

— Kiedy dokładnie przyjechała?

Chwila milczenia była niewielka, ale dość znaczna, żeby Rąbanka poczuł, że trafił na dobry trop. Uśmiechnął się do siebie.

— W dzień, w którym zginął Maciej Zabuda — odparł wreszcie młody policjant.

— No to mamy podejrzaną — stwierdził z satysfakcją. — Teraz musimy udowodnić, że była tam w czasie morderstwa.

Rozłączył się bez pożegnania. Spojrzał na żonę. Lekko przechyliła głowę. W kubku przed nią nie zostało już nic i teraz bezwiednie wodziła palcem po jego krawędzi.

Rębak musiał sobie wszystko przemyśleć i poukładać. Nie potrafił tego zrobić w domu, więc tylko machnął do niej ręką na pożegnanie i wyszedł. Maszerował szybko ulicą, póki nie zabrakło mu tchu. Wtedy poczuł się zmarznięty i zmęczony. Zapomniał szalika i teraz było mu zwyczajnie zimno, ale pokonał tak duży dystans, że nie chciało mu się wracać. Zwolnił i skierował się w stronę jeziora. Drogę przy parku obsadzono kiedyś wysokimi drzewami. Pod ich sklepieniem kładły się złowieszcze cienie, przywodzące na myśl pajęczą sieć. Były tak gęste, że stojące przy samym asfalcie latarnie z trudem oświetlały chodnik po drugiej stronie zieleni. Szedł w półmroku, mając po jednej stronie drzewa, a po drugiej wysokie krzewy. Równo przycięte, stare tawuły oddzielały ulicę od niewielkiego parku. Rębak nasłuchiwał odgłosów.

W mieście było ich pełno, ono nigdy nie spało. Nawet w środku nocy jeździły samochody i można było spotkać ludzi. Najczęściej pijanych i robiących dużo hałasu. Zmęczonych życiem i z rezygnacją wracających do domów, słowem: wszystkich rodzajów. Podkomisarz nieraz włóczył się po ulicach, ciesząc się miejską samotnością. Za dnia tłum był zbyt duży, ale w nocy, podczas dwugodzinnego spaceru, można było spotkać zaledwie kilka osób. W Mroczycach było inaczej. Zdawało się, że świat popadł tu w skrajność. Brakowało wszystkiego. Rębak słyszał może dwa pojazdy, gdzieś w oddali, ale żaden go nie minął. Gdzieś zaszczekał pies. Ludzi nie spotykał wcale. Po godzinie chodzenia miał wrażenie, że przebywa na świecie zupełnie sam.

Myśli krążyły mu w głowie. Zastanawiał się, jak udowodnić, że morderczynią Zabudy była jego córka. Było to o tyle trudne, że jeśli zgodnie z tym, co mówił Ząbek, nie utrzymywała kontaktów z rodziną po wyjeździe, to trudno było znaleźć motyw.

Skreślił w uliczkę prowadzącą od jeziora w stronę rynku. Zamierzał zatoczyć duże koło i wrócić do domu niezależnie od wyniku rozmyślań. Szedł wąską uliczką, mając z jednej strony zielen parku, a z drugiej niskie domki, tak stare, że chyba pamiętały moment założenia miasteczka.

Dopiero kiedy zbliżył się do rynku, spostrzegł w mroku ruch. Postać oderwała się od płotu jednej z posesji i ruszyła w jego stronę. Rębak wyteżył wzrok, starając się rozpoznać człowieka. Z jakiegoś powodu wydawał mu się znajomy. Zanim mu się to udało, cień skreślił w bok i zniknął za żywopłotem. Rębak przyspieszył kroku, ale nie zdołał dogonić postaci. Zaklął cicho i ruszył dalej.

*

Weronika z trudem się pozbierała. Podniosła komórkę. Na miękkiej obudowie został ślad po upadku, ale poza tym nic jej się nie stało. Wyświetliła ostatnie połączenie. Uśmiechnęła się do siebie. Ten widok zawsze ją uspokajał. Odetchnęła głęboko dwa razy, odzyskując równowagę i

wybrała numer.

— Cześć, kochanie — rzuciła do słuchawki, starając się, aby w jej głosie nie słychać było wymuszonej radości. — Przepraszam, że nie odebrałam...

Weronika roześmiała się, tym razem szczerze.

— Nie, kochanie — odparła spokojnie — ale zobaczymy się w niedzielę, obiecuję.

Paweł obserwował ją z okna kuchni. W środku było ciemno, więc miał pewność, że pozostanie niezauważony. Uchylone okno pozwalało mu na słuchanie rozmowy, choć musiał naprawdę wyciszyć słuch. Kiedy Weronika się odwracała, nie był w stanie rozróżnić słów. Mógł ją tylko obserwować, jak kręciła się przed wejściem ze słuchawką przy uchu. Kiedy usłyszał hałas na zewnątrz, był pewien, że coś się stało. Zostawił sprzątaninę i ruszył na tyły, ale Weronika była sama na chodniku i właśnie podnosiła telefon. Nie miał pewności, czy aparat mógł spowodować to, co słyszał i szczerze w to wątpił. Chciał do niej wyjść i zapytać, co się stało. Zdążyła jednak wykręcić numer, a pierwsze dwa słowa zatrzymały go w miejscu. Nie był w stanie się ruszyć.

Weronika miała mężczyznę. Kogoś, do kogo mówiła „kochanie”, musieli zatem być ze sobą dość blisko. Nie potrafił w to uwierzyć. Po tym, jak się w stosunku do niego zachowywała i co deklarowała, nie potrafił sobie wyobrazić, że tak go oszukała. Nie dość, że kogoś miała, to zataiła ten fakt. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak łatwo pozwolił na rozbudzenie nadziei. Zapomniał zupełnie, że Weronika wróciła tylko po to, aby sprzedać dom. Nie zamierzała tu zostać na dłużej, a już z pewnością nie miała w planach wiązania się z nikim. Jej świat był w mieście i zamierzała do niego wrócić. Poczul uścisk w klatce piersiowej. Nie chciał, by zniknęła z jego życia na następne dziesięć lat, a być może na zawsze. Nie miał tylko dobrego powodu, aby ją zatrzymać.

Kiedy Weronika skończyła rozmawiać, cofnął się do kasy. Odczekał, aż zamknęła za sobą drzwi i dopiero wtedy wszedł do kuchni.

Zapaliła światło. Na jej twarzy zagościły rumieńce, usta zrobiły się karminowe, a oczy błyszczały.

— Długo cię nie było — powitał ją od progu.

Weronika spoważniała. Wcisnęła do kieszeni komórkę.

— Rozmawiałam jeszcze — mruknęła, unikając jego wzroku. Podszedł bliżej, zagradzając jej przejście.

— Wera, wszystko w porządku?

— Tak, nic się nie stało.

— Nie wyglądasz na to, z kim rozmawiałaś? — naciskał.

Weronika podniosła gwałtownie głowę i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

— Nie twoja sprawa.

— A może jednak moja?

— Z pewnością nie — wycodziła. Ruszyła, chcąc przejść obok niego siłą. Nie ustąpił, chwycił ją za ramiona i zatrzymał.

— Dlaczego tu przyjechałaś i przyszedłaś do mnie, skoro masz faceta? — rzucił z wyrzutem.

Weronika zamarła. Spojrzała ze zdziwieniem, które sprawiło, że i on na chwilę poczuł się zaskoczony.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Rozmawiałaś z nim.

— Nie mam faceta.

Weronika zniknęła na schodach prowadzących na piętro. Paweł stał przez chwilę,

nasłuchując tupotu jej stóp. Ucichł, kiedy znalazła się na górze i trzasnęła drzwiami do mieszkania. Stał, w napięciu łowiąc dźwięki, ale nic więcej się nie wydarzyło. Odetchnął z ulgą, bo przez chwilę myślał, że wściekła się na tyle, aby spakować swoje rzeczy i wynieść się do Hanki lub gdzieś, gdzie nie mógłby jej znaleźć.

Chciał wierzyć w jej zapewnienia. Prócz tego telefonu w sumie nie miał żadnych innych podstaw do twierdzenia, że jest inaczej, niż mówiła. Nawet ta rozmowa nie dawała gwarancji. W końcu Weronika mogła tak zwracać się też do przyjaciółki. Nie raz słyszał, jak goście piekarni zwracali się tak do siebie przy okazywaniu większej uwagi. Nawet pani Róża czasami mówiła tak do innych, choć żadna z tych osób nie mogła pretendować do miana jej kochanka.

Przepełniony myślami krążącymi wokół prób przekonania się do idei nieporozumienia, Paweł pogasił światła i ruszył na górę. Szedł po schodach powoli i niepewnie. W mieszkaniu było cicho. Otworzył z wolna drzwi. Światła były w większości pogaszone, tylko z salonu sączyła się poświata. Zawahał się, ale w końcu wszedł do pokoju.

Weronika siedziała na kanapie, z nogami podwiniętymi na siedzeniu i skrzyżowanymi po turecku. Na kolanach miała poduszkę i w zamyśleniu skubała jej krawędź. Spojrzała na niego lekko nieprzytomnym wzrokiem.

— Naprawdę uważasz, że przyszedłbym do ciebie, mając kogoś?

Milczał. Nie wiedział co odpowiedzieć. Jeszcze godzinę temu był pewien, że Weronika wróciła nie tyle do Mroczyc, co do niego. Uległ magii tej myśli i zapomniał o prawdziwych pobudkach. Cieszył się chwilą, nie myśląc ani o przyszłości, ani o konsekwencjach. Nie potrafił sobie tylko wyobrazić, aby Wera umiała zdradzać.

— Jeśli tak uważasz, to znaczy, że nigdy mnie nie znałeś — mruknęła do siebie.

Paweł podszedł bliżej i przysiadł na kanapie obok niej.

— Przepraszam — rzekł w końcu. Słowa, mimo że proste i szczere, przychodziły mu z dużym trudem. — Nie miałem prawa tak mówić.

— W sumie mogłeś sobie takie zdanie o mnie wyrobić. — Wzruszyła ramionami. — Nie widzieliśmy się wiele lat, ludzie się zmieniają.

— Wierzę ci.

Weronika zerknęła na niego, po czym znów utkwiała wzrok w poduszcze na kolanach.

— Wiesz, że już wtedy cię kochałam?

— Kiedy? — Paweł był wyraźnie zaskoczony deklaracją.

Weronika westchnęła cicho.

— Tego lata, kiedy mieliśmy po dziesięć lat i biwakowaliśmy w sadzie Furkiewiczów — wyznała i uśmiechnęła się do swoich myśli. — Wtedy zrobili to zdjęcie, które wisi na dole nad ladą. Kiedy je zobaczyłam, pomyślałam, że moja tajemnica się wydała.

— Przepraszam — wyznał po dłuższej chwili milczenia. Szukał odpowiednich słów, ale nie potrafił znaleźć takich, które wyrażałyby to, co czuł. — Zawaliłem wtedy, nie powinienem był...

Weronika pokręciła gwałtownie głową.

— Nie, oboje zawiniliśmy.

Paweł westchnął.

— Nie byłam przygotowana, wydawało mi się, że tak, ale było inaczej. Po tym, co się stało, sprawy... — zawahała się ponownie, ale mówiła dalej, jakby wreszcie musiała to z siebie wyrzucić. — Skomplikowały się jeszcze bardziej. Ojciec się wściekł, matka wywiozła mnie do miasta, żeby w Mroczycach było mniej plotek.

— Nie chciałaś wrócić?

— Do czego?

Popatrzył na nią jak złajany pies. Weronika odwróciła wzrok, nie mogąc tego znieść. Nie chciała go zranić, ale słowa z niej wypadły, ciężkie jak kamienie.

— Z każdym rokiem było trudniej wrócić — tłumaczyła powoli. — W Mroczycach wszyscy mnie znali, wzięliby na języki, ciebie zresztą też. W Poznaniu byłam jedną z wielu podobnych. Było łatwiej. Studiowałam zaocznie, wciąż znajdowałam się w biegu — wyznała.

Paweł rozumiał, co miała na myśli, choć to zrozumienie walczyło w nim z butnością. W końcu, jeśli go kochała, powinna była do niego wrócić.

— Nie wiedziałem nawet, gdzie jesteś — mruknął z wyrzutem i natychmiast pożałował swoich słów.

— A szukałeś? — Weronika podniosła głowę, spojrzała na niego z wyższością. Nie miał pojęcia, skąd się brała taka pewność siebie w tej drobnej osobie. Chwilami przytłaczała go niczym olbrzym.

Słowa nie chciały przejść mu przez gardło. W końcu zaprzeczył tylko ruchem głowy. Spuścił ją nisko. Po chwili prychnął w rozbawieniu.

— Patetyczny ze mnie gość, prawda? — Nie odpowiedziała, zatem kontynuował: — Bałem się, że przestałaś mnie kochać, więc wolałem cię nie szukać. Nie chciałem usłyszeć tego z twoich ust. Kiedy zobaczyłem cię dwa dni temu na rynku, pomyślałem, że wreszcie mi przebaczyłaś.

— Zrobiłam to dawno temu — wyznała.

Patrzyła mu w czy odważnie, zupełnie inaczej niż wczoraj. Pochylił się delikatnie, badając reakcję. Jej oczy się zwężyły. Śledziła każdy ruch spod przymrużonych powiek, jakby czegoś oczekiwała. Ośmielony pochylił się bardziej. Po chwili ich usta się złączyły. Całowali się tak, jakby żadne z nich nie chciało odpuścić. Weronika poddała się całkowicie, kiedy jego dłonie wędrowały po jej ciele, szukając drogi pod bluzkę. Drgnęła, zmieniła pozycję i usiadła mu na kolanach. Udami oplótła go w pasie. Była o wiele odważniejsza niż wcześniejszej nocy. Tym razem nie zamierzała uciekać. Po ponad dziesięciu latach wreszcie mógł poczuć się z nią blisko. Początkowa nieśmiałość ustępowała. Jego poszukiwania po jej skórze stały się bardziej nerwowe i odważniejsze. Ich oddechy przyspieszyły. Oboje tracili cierpliwość. Zatracali się w sobie z każdą chwilą coraz bardziej.

Eliza leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć. Wpatrywała się w ciemny sufit i tańczące na nim cienie drzewa zza okna. Obok słyszała równy oddech Piotra. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie irytował jej ten dźwięk. Miała ochotę uciec, nie tylko z łóżka, także z domu, z Mroczyc, byle jak najdalej. Położyła się na boku, ale niewiele to pomogło. Chrapanie Piotra roznosiło się po pokoju jak pomruk burzy. Eliza zmieniła taktykę i odwróciła się w jego stronę. Spał spokojnie. Nie drgnął nawet, choć ona wierciła się na łóżku jak dogorywający karp na święta.

Przez chwilę leżała nieruchomo. Studiowała jego rysy. Kiedyś wydawało jej się, że go kocha. Teraz nie była pewna. Upatrywała w nim stabilizacji i zabezpieczenia, jakiego nie miała w domu. Zapłaciła za to bardzo wysoką cenę. Czasem zastanawiała się, czy nie za wysoką.

Była pewna, że Piotr ma kogoś na boku. Co wieczór wychodził na kilka godzin. Za każdym razem twierdził, że idzie pobiegać, ale ona nie była naiwna i w końcu przestała mu wierzyć.

Powoli podniosła się do pozycji siedzącej. Zaczęła się obawiać, że może go obudzić, ale Piotr spał zbyt mocno. Eliza założyła kapcie oraz szlafrok i bezszelestnie wyszła z pokoju.

Dom był ciemny. Światła pogaszone, okna przysłonięte. Gdyby nie to, że spędzała tu większość czasu, sprzątając i pilnując, pewnie miałyby więcej problemów, aby po ciemku dotrzeć do kuchni. Dopiero tu zapaliła lampki pod kuchennymi szafkami. Wszystko rozjaśniło przyjemne, miękkie światło. Bez pośpiechu wyciągnęła szklankę i nalała sobie wody. Nie chciało jej się spać, a do rana miała jeszcze kilka godzin. Zanosila się kolejna bezsenna noc.

Usiadła ze szklanką przy kuchennym stole. Odruchowo przesunęła leżące na blacie kolorowe kredki, ustawiając równo pudełko. Od kiedy się tu wprowadzili, nie robiła nic innego, tylko wiecznie sprzątała i układała. Wera nie miała takich odruchów, nie musiała martwić się o dzieci. Myśli Elizy znów powędrowały w stronę siostry. Szybko potrząsnęła głową. Nie chciała teraz o tym myśleć. Jutro pomyśli, jak przekonać ją do wyprowadzenia się od Pawła. Może uda jej się namówić Hanię, żeby ją wsparła. W końcu zależało jej na Weronice, a w Mroczycach brak plotek był najlepszym dobrodziejstwem.

Wzrok Elizy padł na kilka książek leżących na kuchennym blacie. Wczoraj je przygotowała, żeby zanieść do biblioteki. Regularnie wypożyczała coś dla siebie i dla dzieci. Piotr nie miał zwyczaju czytać niczego poza gazetą, a i to tylko na szybko i przeważnie po nagłówkach. Równie dobrze mógłby czytać na portalach w Internecie, ale on musiał pokazać, jak ważna jest dla niego wiedza. Z otwartą aplikacją było trudniej, gazeta pod pachą każdego poranka dawała odpowiednie wrażenie. Eliza westchnęła. Znów wzbierała w niej wściekłość na Piotra. Uczucie to mieszało się z odrazą i strachem mniej więcej w równych proporcjach. Wreszcie pojęła, że przestała go nawet lubić. Jego zachowanie potęgowało uczucie strachu. W dziwny sposób obecność siostry w Mroczycach sprawiła, że zaczęła być głucha na groźby.

Pragnęła uciec, tylko nie miała zielonego pojęcia gdzie. Bała się też o dzieci. Piotr poprzysiągł jej kiedyś, że jeśli od niego odejdzie, to on zabierze jej chłopców, a tego nie chciała. Był zdolny zrealizować groźbę i nie miała odwagi ryzykować.

Gdyby tylko go nie było... Pomyślała spokojnie. Przymknęła oczy. Próbowwała sobie przypomnieć dobre, radosne chwile. W końcu zmęczona, odchyliła głowę i otworzyła oczy. Jej wzrok spoczął na jednej z książek. *Imię róży*. Gdyby tylko jej mąż zechciał umrzeć jakąś szybką i bezbolesną śmiercią.

— Mamusiu...

Głos tuż obok sprawił, że aż podskoczyła. W progu, pocierając zaspane oczy, stał Adaś.

Młodszy z bliźniaków ślaniał się nieprzytomnie na nogach. Natychmiast poznała, że dopiero co się obudził.

— Co się stało, kotku? — Wyciągnęła do chłopca ręce. Podszedł bliżej.

— Zasikałem łóżko.

Dolna warga zadrżała mu niebezpiecznie. Eliza westchnęła cicho i przytuliła go. Od jakiegoś czasu chłopcy byli bardziej niespokojni. Te momenty, które wydawało się, że już mieli za sobą, wracały jak zły omen.

— W porządku, zaraz coś poradzimy — wymruczała mu w ucho. Adaś uspokoił się nieco. Chwyliła go za rączkę i pociągnęła do łazienki. Dreptał za nią spokojny, na wpół śpiący, mimo tego, co się mu przydarzyło. Eliza powoli odpływała myślami od Piotra, dryfując w stronę codzienności.

Weronika obudziła się nad ranem. Słońce jeszcze nie wstało i w pokoju panowała ciemność. Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, gdzie jest. Następne kilka minut poświęciła na użalanie się nad sobą. To był jej trzeci dzień w piekarni i była kompletnie wyczerpana. Każdy miesiąc wył o pomstę do nieba, kiedy odwracała się w łóżku na drugi bok.

Pawła nie było w pomieszczeniu. Rozejrzała się, jakby mógł schować się za zasłoną czy pod łóżkiem, ale nie było po nim śladu. Wyszukała po omacku komórkę na stoliku i sprawdziła godzinę. Wskazywała czwartą trzydzieści. Kiedy zamarła i zaczęła nasłuchiwać, udało się jej wyłowić krzątanie na parterze, a nawet zdawało jej się, że słyszy rozmowę. Zdziwiona odnalazła swoje rzeczy i ubrała się. W kilka minut ogarnęła się na tyle, by móc zejść na dół.

W kuchni paliło się światło. Paweł stał w drzwiach prowadzących na podwórze i przrzucał worki mąki na stos we wnęce przy drzwiach. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, osiadająca na wszystkim wokół.

Stanąła w progu i przez chwilę obserwowała jego poczynania. Zeszła tak cicho, że jej nie zauważył. Pracował nieprzerwanie, przenosząc ciężkie pakunki i nie mogła wyjść z podziwu, z jaką lekkością to czynił. W końcu przerzucił ostatni worek, wyprostował się i jakby ją wyczuł, odwrócił się w jej kierunku. Ich spojrzenia się spotkały. Z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu Weronika natychmiast splonęła rumieńcem.

— Nie wiedziałem, że już nie śpisz — rzucił, starając się jakoś zacząć rozmowę. Była mu wdzięczna, że odezwał się pierwszy.

— Obudziłam się i usłyszałam rozmowę...

Urwała w pół zdania, kiedy w drzwiach ukazała się jeszcze jedna postać. Wysoki, szczupły trochę ponad miarę mężczyzna. W polarowej bluzie i włosach do ramion, spiętych w koński ogon, nisko na karku. Mimo dziesięciu lat przerwy poznała go natychmiast.

— Arek?

— Wera!

Mężczyzna roześmiał się głośno. W kilku susach przemierzył pomieszczenie i porwał ją w ramiona. Okręcił się wokół własnej osi. Weronika poczuła się jak licealistka. Wróciły wspomnienia z czasów, kiedy we trójkę szwendali się po okolicy, spędzając czas na picciu taniego wina i opowiadaniu sobie o swoich marzeniach. Arek miał chyba najbardziej ambitne z ich trójki. Miał talent muzyczny. Dobrze grał na gitarze, zapewniając akompaniament na niejednej imprezie w okolicy. Pamiętała, że kiedyś założył nawet swój własny zespół. Udało mu się zwołać trzech innych chłopaków z Dębinki i okolicy. Dziewczyny latały za nimi jak prawdziwy fanklub, a Arek co tydzień chodził z inną. Do niewielkiej paczki Weronika–Paweł–Arek nigdy nie wprowadził nikogo obcego.

Wtedy wydawało im się, że mogą zawojować świat. Arek marzył, żeby kiedyś zagrać jako support przed Metallicą i żeby jego kawałki puszczane były w radiu. Weronika wierzyła, że mu się to uda.

— Pawło mówił, że ma niespodziankę, ale nie pomyślałbym w życiu, że to ty. — Śmiał się.

Patrzył na nią z zachwytem, jak dziecko, które dostało upragniony prezent gwiazdkowy przed czasem.

— Co ty tu robisz? — Weronika z ledwością mogła się odezwać, zamknięta w niedźwiedzim uścisku trzydzieści centymetrów nad ziemią.

— Robię w transporcie — wyjaśnił. — Pracuję w hurtowni.

Kątem oka uchwyciła zazdrosne spojrzenie Pawła stojącego obok. Poklepała Arka po ramieniu i poprosiła, żeby ją puścił. Postawił ją na ziemi delikatnie jak porcelanową laleczkę.

— Chłopie, trzeba było od razu mówić, że Wera wróciła. — Zerknął w stronę Pawła z nieskrywanym wyrzutem. — Chyba jej przede mną nie ukrywasz? Od dawna tu jesteś? Na długo wróciłaś? — odwrócił się do dziewczyny, nie czekając na odpowiedź przyjaciela.

— Przyjechałam trzy dni temu i nie zabawię długo — wyjaśniła spokojnie. Arek natychmiast posmutniał. — Załatwię tylko swoje sprawy i wracam do Poznania.

— Nie możesz posiedzieć dłużej?

— Wyrwanie się nawet na ten krótki czas graniczyło z cudem.

— Szkoda — stwierdził. — Miałem nadzieję, że będziemy mieć okazję, żeby trochę poszaleć.

— Nie za starzy jesteśmy?

— Z pewnością nie. — Uśmiechnął się. Przytulił ją jeszcze raz i szybko się oderwał. — Muszę lecieć dalej, jeśli wam się uda, wpadnijcie do mnie.

Ruszył w stronę drzwi. Kiedy mijał Pawła, poklepał go po ramieniu.

— Mówiłem ci, że wróci — rzucił krótko, po czym pożegnał się i zniknął za drzwiami.

Usłyszeli warkot odpalanego silnika ciężarówka. Paweł patrzył na zamknięte już drzwi, póki dźwięk samochodu nie ucichł w oddali. Gdy zostali zupełnie sami, zabrał się za segregowanie worków. Weronika zerkała na niego w milczeniu. Ostatnia noc chyba oboje wyprowadziła z równowagi. Paweł unikał jej spojrzenia, a ona nie wiedziała, co ma powiedzieć. Miała nadzieję, że rozumiał, jak wyglądała sytuacja, że mimo tego, co się stało, oboje byli świadomi nieuchronności końca ich krótkiego związku. Nie miała jednak pewności. To, w jaki sposób podchodził do niej w nocy, miało w sobie znamiona desperacji. Za wszelką cenę chciał ją zatrzymać, zamknąć w tej jednej chwili zapomnienia.

W końcu rozejrzała się wokół. Na blacie stołu leżały już wyrobione bochenki, wystarczyło wyrzucić je z form na blachę i wstawić do pieca. Podwinęła więc rękawy i zawiązała włosy, aby nie przeszkadzały jej w pracy. Przez chwilę walczyła z niepokornymi kosmykami próbującymi uwolnić się natychmiast z jarzma gumki.

— Mogłaś jeszcze spać — odezwał się, prostując plecy.

Spojrzała na niego lekko zaskoczona. Już straciła nadzieję, że się do niej odezwie. Zachowywał się spokojnie i nie mogła rozszyfrować, czy lekki rumieniec, wybijający spod cienkiej warstwy mącznego pyłu, który go okrywał, był spowodowany zmęczeniem, czy może reakcją na nią.

— Obudziłam się i nie mogłam zasnąć — skłamała. — Poza tym, mieszkam u ciebie za pomoc w piekarni, więc wypadaloby trochę popracować.

— Nie musisz tyle pracować — zapewnił. — Wiesz, że i tak mogłabyś tu mieszkać. Nawet gdybyś mi nie pomagała.

— Nie lubię być dłużna. — Zmarszczyła brwi.

— To nie kwestia długu. — Zbliżył się do niej. Stał na wyciągnięcie ręki. — Mogłabyś...

— Nawet nie próbuj tego mówić — przerwała mu natychmiast, unosząc dłonie w obronnym geście. — Nie chcę tego słyszeć.

Patrzył na nią w milczeniu. Odwróciła się do stołu, aby nie musieć oglądać jego twarzy wykrzywionej zawodem. Bała się tego, jak mogłaby w tej chwili na nią zareagować. Póki propozycja pozostawała w strefie niewypowiedzianych możliwości, nie musiała niczego rozważać. Mogła się okłamywać, że nie ma szans na to, aby być z Pawłem, choćby nie wiadomo, jak tego chciała. Jeśli jednak powiedziałyby to głośno, musiałyby żyć z myślą, że dobrowolnie

zrezygnowała ze szczęścia i marzeń.

Paweł uderzył lekko dłonią w stół i wrócił do pracy.

Przez jakiś czas milczeli. Weronika przełożyła pierwszą partię bochenków na podkład i z trudem przeniosła do pieca. Musiała pracować na mniejszych partiach, bo stara piekarnia nie miała innych możliwości. Piec był stosunkowo niewielki, choć najwyraźniej na potrzeby mieszkańców Mroczyca na razie wystarczał. Dla niej to było i tak wiele. Duże blachy, ciężkie, kiedy je wkładała i dodatkowo gorące, gdy wyjmowała, sprawiały sporo problemów. Była odrobinę za niska, aby sięgnąć do najwyższych półek ze swobodą, jaką miał Paweł, i zbyt słaba, aby załadować równie dużo. Z rosnącą desperacją i coraz bardziej bolącymi mięśniami próbowała nadrobić braki. To budziło frustrację.

Liczba wypieków rosła jednak sukcesywnie. Stoły zapełniały się słodkościami, które w wolnej chwili Paweł dekorował cukrem pudrem lub lukrem. Gotowe wypieki zanosił do sali sprzedaży.

— Arek nadal ma zespół? — spytała, kiedy skończyła z chlebem i przeszła na mniejsze bułki i rogałe, dzięki czemu nie dźwigała już tak dużo. Po raz pierwszy złapała oddech na tyle, żeby się odezwać.

— Nie ma na to czasu — stwierdził Paweł, ugniatając ciasto. — Sześć lat temu kapela mu się rozpadła. Praca w hurtowni zajmuje większość dnia. Jeździ od czwartej, czasem nawet do dwudziestej.

— Myślałam, że będzie bardziej do tego dążył. Byłam pewna, że tego chciał.

— Czasem rzeczywistość zwycięża z marzeniami. — W jego głosie wyczuła wyraźną nutę niezadowolenia. — Arek musi się sam utrzymać. W końcu stanął przed wyborem: albo praca na etacie, albo nie miałby gdzie się podziać. Od ośmiu lat pracuje u twojego szwagra.

— Czy to moja wina? — spytała, bo ostatnie zdanie wypowiedział z pretensją.

— Tego nie powiedziałem.

Weronika sapnęła ze złości. Wyłączyła piszczący piec i otworzyła drzwiczki. W twarz uderzył ją powiew gorącego powietrza i zapach mieszaniny czekolady oraz mięty. Sięgnęła po rękawice i zaczęła wyciągać blachę.

— Twój szwagier ma w okolicy kilka firm — podjął Paweł po chwili. — Rzadko kto może mu się przeciwstawić.

Blacha z gorącym pieczywem, którą właśnie wyciągała, okazała się cięższa, niż przypuszczała. Przed oczami stanęła jej wieczorna wizyta Piotra i nagle zabrakło jej tchu. Ciało przeszył dreszcz. Wypieki zaczęły zsuwać się na bok. Desperacko starała się je uratować. Blacha oparzyła ją w przegub. W ostatniej chwili z hukiem odstawiła ją na stół, wzniesając mały tuman mącznego kurzu. Paweł przyskoczył, chwytając natychmiast za jej ramię i ciągnąc w stronę zlewu. Czują, jak jego silny uścisk tłumi ból oparzenia. Ręka pulsowała, na nadgarstku pojawiło się już zaczerwienienie. Paweł bez pardonu wsadził jej rękę pod lodowatą wodę prawie do łokcia.

Przez kilka minut stali nieruchomo. Nie przestawał boleśnie ścisnąć jej ręki. Była wściekła na siebie za tak łatwe uleganie emocjom.

— Idź na górę, dokończę sam — mruknął, puszczając ją wreszcie.

Odwrócił się, unikając jej wzroku. Zaczął zdejmować z przestygłej blachy porzucone słodkości. Piec za jego plecami wygrywał melodyjkę, oznajmiając, że natychmiast powinien wyjąć następną partię.

Weronika została sama przy zlewie. Zakreśliła kran i spojrzała na oparzenie. Zimna woda trochę pomogła, ale była pewna, że na jakiś czas zostanie blizna. Ponad śladem rozgrzanej blachy wyraźnie odznaczały się kolejne, zrobione przez uścisk Pawła. Miał dużą dłoń i objął jej drobną rękę na całą szerokość.

Poczuła się jeszcze bardziej zmęczona. Wszystkie siły zużywała na to, żeby okazać się pomocną. Nieprzyzwyczajona do tak ciężkiej pracy fizycznej, desperacko próbowała nadrobić entuzjazmem, teraz okazało się to niewystarczające. Przez nią Paweł miał jeszcze więcej pracy. Przy pieczeniu pojawiły się opóźnienia, a przecież i tak pracował chyba po dwadzieścia godzin dziennie. Miał rację, powinna się usunąć i przestać mu przeszkadzać.

Zapagnęła znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie w tej małej piekarni. Ze zmęczenia i zawodu własną osobą chciało jej się płakać.

W końcu dała za wygraną. Posłusznie ruszyła w stronę schodów i już chwilę później znalazła się w niewielkim mieszkanku. Zamknęła za sobą drzwi, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Tak bardzo chciała znaleźć uzasadnienie, że gdyby tu została, jej pobyt miałby sens. Chwilę trwało, nim udało jej się opanować. Oderwała się od drzwi i ruszyła w głąb pomieszczenia.

Za oknem było zupełnie jasno, świadectwo tego, że najwyższy czas otworzyć piekarnię. To był najgorszy moment na obijanie się. Nie miała jednak odwagi pojawić się na dole. Obeszła powoli salon, kuchnię i sypialnię, po czym wróciła do drugiego pomieszczenia. Wahala się, czy czegoś nie zjeść, ale apetyt jej nie dopisywał. W końcu zabrała płaszcz, założyła buty i wyszła na zewnątrz, korzystając z drzwi wychodzących w podcień pomiędzy dwoma budynkami. Rzadko używano tego przejścia, o czym świadczyła masa przedmiotów utrudniających przejście. Kartony, regały i stare opony zagradzały drogę. W pierwszym momencie cofnęła się, sądząc, że nie będzie w stanie pokonać przeszkody. Szybko dostrzegła wąski pas pustej przestrzeni zapewne zostawionej właśnie dla desperatów takich jak ona. Uważając, aby o nic nie zahaczyć i nie stracić chwiejnych wież ze starych rupieci, wyszła na plac. Skręciła wzdłuż pierzei, aby Paweł nie dostrzegł jej przez witrynę piekarni.

Pierwsi, odrobinę jeszcze zaspani ludzie, kręcili się po niewielkim rynku, spiesząc w sobie tylko znanym kierunku. Weronika ich nie poznawała. Zbyt długo jej tu nie było. Większość z tych ludzi zmieniała się lub zatarła w jej pamięci. Niektórzy przybyli tu po jej wyjeździe. Bardziej niż kiedykolwiek uderzyła ją myśl, że Mroczyce funkcjonowały nawet pod jej nieobecność. Może z wierzchu nie zmieniły się tak bardzo — stare domy przy rynku i w centrum stały jak zwykle — może jedynie pokryły się jeszcze większą patyną czasu, niż pamiętała z dzieciństwa. Ludzie natomiast nie stali w miejscu, dla nich czas płynął tak samo jak dla niej. Wszystko zmieniało się nieodwracalnie.

Odetchnęła głęboko chłodnym, wilgotnym powietrzem. Skręciła w boczną uliczkę, w stronę swojego dawnego domu i jeziora. Nawet jeśli Eliza zabroniła jej wchodzić do środka, chciała sprawdzić, czy dom był taki, jak go zapamiętała.

Zbyt późno spostrzegła idącą naprzeciwko panią Różę. Kobieta też ją zauważyła i możliwość wycofania się w grzeczny sposób zniknęła bezpowrotnie. Weronika zbliżyła się, nie zmieniając tempa, w końcu uśmiechnęła się lekko. Długo wczoraj wyrzucała sobie swój wybuch. Żałowała tego, jak potraktowała publicznie kobietę i to nieoczekiwane spotkanie uznała za zrzącenie losu. Mogła, we w miarę swobodnych warunkach, przeprosić panią Różę. Nadal nie podobało jej się plotkowanie starszej pani, ale starała się ją usprawiedliwić po części samotnością, bo dzieci pani Róży wyprowadziły się daleko prawie od razu po osiągnięciu pełnoletności i rzadko z nią utrzymywały kontakt — jak tłumaczył wieczorem Paweł. Z drugiej strony, czasami to sianie informacji przynosiło nieoczekiwany, ale pozytywny efekt. Często okazywało się, że rozwiązywanie ludzkich problemów leżało prawie za płotem. Dopiero gdy sąsiedzi dowiadywali się o nich, deklarowali pomoc. Zgodnie ze starą maksymą, kiedy nie ma tajemnicy, nie ma problemu. Po ochłonięciu Weronika postanowiła pogodzić się z panią Różą, nawet jeśli to ona musiałaby wykonać pierwszy krok i gest pojednania. Miała w tym jeszcze

jeden cel. Nie chciała, aby pani Róża bojkotowała piekarnię Pawła. Świadomość, jak ważne są dobre relacje w tak małych społecznościach, w końcu sama z niej pochodziła, wygrała z urażoną dumą.

Pani Róża także nie zboczyła drogi. Weronika zauważyła jedynie, że na kilka metrów przed spotkaniem, lekko uniosła brodę. Starsza pani okazała się nieco mniejsza niż dziewczyna, przez co musiała zadzierać głowę. Weronika skinęła na powitanie.

— Dzień dobry, pani Rózo — zawołała, zatrzymując się. Staruszka nie miała wyjścia i musiała uczynić to samo, dzięki czemu Weronika zyskała trochę więcej czasu na przeprosiny.

— Dzień dobry, Weroniko — wycedziła. Sytuacja wyraźnie nie była jej na rękę. Uciekała wzrokiem w bok, jakby jej unikała, mimo to dziewczyna postanowiła podjąć próbę pojednania.

— Wie pani, wczoraj to jakoś tak wyszło, trochę głupio...

Pani Róża nie zamierzała jej pomóc. Nadal nie patrzyła na nią wcale i sprawiała wrażenie, jakby jej się gdzieś spieszyło. Weronika zaczęła żałować w pierwszej kolejności, że nie ułożyła sobie żadnej przemowy wcześniej, a chwilę później, że w ogóle zaczęła staruszkę. W końcu mogła z tym poczekać na jakąś bardziej dogodną chwilę.

— Tak czy inaczej. — Westchnęła w ostatecznej desperacji. — Chciałam przeprosić za ten wybuch. Ostatnio jestem bardziej nerwowa. Rozumie pani, ta sprawa ze sprzedażą domu... — O ojcu wołała nie wspominać.

— No dobrze... — Pani Róża spojrzała na nią po raz pierwszy. Na jej twarzy odmalowała się konsternacja. — Ja nie mam ci, dziecko, tego za złe, nie chowam urazy.

— Cieszę się.

Weronika przechyliła głowę i uśmiechnęła się, ale pani Róża znów uciekła wzrokiem i nie miała okazji tego dostrzec. Jej zachowanie zaczęło dziewczynę niepokoić.

— Czy wszystko w porządku?

— Słucham? — Pani Róża znów zogniskowała na niej spojrzenie, ale trwało to ułamek sekundy.

— Pytałam, czy wszystko w porządku.

— Ach, tak, tak.

— Jest pani pewna? Może odprowadzić panią do domu? — Nie odpuszczała. Sumienie nie pozwalało jej na zostawienie staruszki, w tym stanie, na środku ulicy. Zaczęła nawet podejrzewać ją o jakieś pierwsze stadium demencji lub innej starczej choroby. Tym bardziej, że wczoraj wydawała się całkiem zdrowa. Może do tej pory nikt nie zauważył jej pogarszającego się stanu?

Pani Róża szybko wyprowadziła ją z błędu. Spojrzała bystro, z lekką irytacją w jasnoniebieskich oczach.

— Nie trzeba, ty się o mnie nie musisz martwić, dziecko — odparła dumnie. — A teraz wybacz, ale spieszę się.

Wyminęła zdziwioną Weronikę i ruszyła do wylotu ulicy. Dziewczyna patrzyła na odchodzącą staruszkę z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony ulżyło jej, że nie musi dalej rozmawiać. W głębi serca uważała, że nie zrobiła nic złego. Z drugiej strony zachowanie kobiety budziło poważny niepokój. Może była już za stara? Z tego, co Weronika wiedziała, mieszkała samotnie. Co, jeśli zrobi krzywdę sobie lub komuś? Wkrótce może zacząć opowiadać na ludzi niestworzone historie, a po dekadach plotkowania w sposób poufały, ale prawdopodobny, wyrobiła sobie dość dobrą opinię, aby ludzie jej wierzyli.

W końcu pani Róża zniknęła za zakrętem, zostawiając Weronikę samą na wąskiej ulicy.

— Już wkrótce nie będzie to miało dla mnie znaczenia — mruknęła sama do siebie. Za kilka dni miała wyjechać i więcej nie wrócić. Cokolwiek mogło się stać później, dla niej traciło

na wartości. Zrobiła wszystko, co mogła.

Poszła dalej w stronę dawnego domu rodzinnego. Mijała kolejne parcele, oglądając je niczym turysta. Z trudem rozpoznawała miejsca, które kiedyś służyły jej jako place zabaw. W głowie przewijały się kolejne wspomnienia związane z dawnymi, a być może i nadal obecnymi, mieszkańcami tych budynków. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy stary, rozpadający się ford na posesji Palaczyków był za czasów jej dzieciństwa. Rozważała, czy w domu nadal mieszka Asia Palaczyk, która przeprowadziła się tu, kiedy obie były w szóstej klasie. Jej niesamowicie długie i gęste włosy były stałym obiektem zazdrości wszystkich dziewczyn w okolicy i równie intensywnych adoracji ze strony chłopców z dwóch klas wyższych i jednej niższej, w lokalnej podstawówce.

Minęła posesję, nie rozwiązawszy swojego dylematu i równie szybko o nim zapominając. Szła dalej, spoglądając na wciąż łysy konary drzew przy drodze. Pamiętała, jak próbowali wspinać się na nie jako dzieci i wciąż byli gonieni przez dorosłych, przerażonych, że coś może im się stać. Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Wtedy wydawało im się, że są nieśmiertelni, niezniszczalni i nic złego nie miało prawa im się przydarzyć. Dziś rozumiała tamtych „dorosłych”. Nie tylko nie miałyby już więcej odwagi wspiąć się na żadne drzewo, ale także nie pozwoliłyby na to żadnemu dziecku.

W końcu dotarła do celu. Ogrodzenie poznała z daleka, choć przez lata żywopłot rozrósł się niekontrolowanie. Najwyraźniej ani matka, ani Eliza nie dbały o front. Krzewy wystawały poza panele z siatki i zaczęły przechodzić jak dobrych znajomych. Furtka była prawie niewidoczna wśród gęstwiny. Gdyby nie metalowa skrzynka na listy w kształcie podkowy pomalowana kiedyś przez matkę na jasny, niebieski kolor, zgodnie z życzeniem córek, pewnie by jej teraz nie odnalazła. Klamka z łuszczącą się farbą w kolorze zbliżonym do brązowego nie zachęcała do dotykania. Weronika spostrzegła, że furtka jest niedomknięta, pchnęła ją lekko. Zawiasy wydały z siebie nieprzyjemny dźwięk. Rozejrzała się wokół, sprawdzając, czy nie zwabił on potencjalnych gapiów. Nikogo jednak w pobliżu nie było. Ruszyła w wysoką trawę zarastającą doświadczenie do budynku. Ogród okazał się równie zaniedbany, jak samo wejście. Wysokie chaszczki smagały ją po nogawkach spodni, próbując zatrzymać przed doświadczeniem do celu. Dom zdawał się ciemny i zimny. Zupełnie inny niż ten, który zapamiętała. Kiedy stąd wyjeżdżała, w zasadzie nie miała możliwości z nikim się pożegnać, nie zdążyła oswoić się z myślą, że opuści to miejsce na zawsze. Nie zdziwiłaby się, gdyby w środku, gdzieś na strychu, były jej rzeczy. Pamiętki z dzieciństwa, ubrania z czasów, kiedy była mała, zdjęcia i inne przedmioty. Matka niczego nie wyrzucała. Nauczona trudnymi czasami po wojnie i za komuny chowała wszystko, bez znaczenia, czy było to zepsute żelazko, stary płaszcz czy bardzo wysłużony miś. Weronika bardzo chciała zajrzeć na strych, by poszperać we wspomnieniach. Wiedziała jednak, że siostra wściekła by się jeszcze bardziej. Zadowolona się podejściem do okna. Musiała wspiąć się na wystający kamienny gzyms i podciągnąć na parapecie, żeby zajrzeć do środka.

Wnętrze niewiele zmieniło się od tego, które pamiętała. Kuchnia, choć dobrze utrzymana, lata świetności miała dawno za sobą, ale staromodne płytki i kuchenka wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy matka gotowała na nich obiady dla córek wracających ze szkoły do domu. Oczami wyobraźni zobaczyła dwie dziewczyny roześmiane i beztroskie, siedzące przy starym stole, zabranym jeszcze z domu babki po tym, jak ta umarła na zawał, po cichu, nie doczekawszy lekarza. Ich matka zabrała wtedy z rodzinnego domu wszystko, czego nie dało się sprzedać za rozsądne pieniądze. Jako jedynaczka, na szczęście, nie miała problemu z uzyskaniem prawa do spadku. Część sąsiadów patrzyła na nią, jakby wygrała na loterii, choć prawda była taka, że babka była równie biedna, co one. Oczywiście ojciec zjawił się na pogrzebie i dzień później, aby zażądać od matki połowy majątku swojej teściowej. Weronika przysłuchiwała się ich rozmowie

ze schodów prowadzących na poddasze i nie pojmowała, jak ojciec może żądać od nich oddania tego, co przecież mu się nie należało. Nie pamiętała, czy matka uległa żądaniom, czy też nie. Ojciec nie wrócił przez następne miesiące, a one codziennie siadały przy ciężkim meblu na twardych, wysłużonych krzesłach, odrabiały lekcje i jadły obiady. To przy tym stole matka spędzała bezsenne noce, aby przed studniówką uszyć córce sukienkę z niebieskiej satyny.

— Co pani tu robi?

Weronika o mało nie spadła z niewielkiego gzymsu. Głos za jej plecami ją zaskoczył.

— Proszę natychmiast zejść.

Wykonała polecenie, zeskakując na ścieżkę. Murawa ugięła się pod jej ciężarem, jakby pod spodem nie było żadnych betonowych płyt chodnika. Mężczyzna, do którego należał głos, przytrzymał ją odruchowo za ramię, kiedy się zachwiała. Miał silny uścisk. Odzyskała równowagę.

Dopiero teraz mogła spojrzeć z kim rozmawia. Nie знаła go, a więc nie mógł być jednym ze starych mieszkańców Mroczy, ich nawet po latach, po przyjrzeniu się rozpoznawała raczej bezbłędnie.

Nie był wysoki, ale i tak trochę nad nią górował, krępa budowa dodawała mu powagi. Linię szczęki podkreślał lekki ślad zarostu, nadając mu zmęczony wyraz.

— Pytałem, co pani tu robi.

— Przepraszam. — Weronika uśmiechnęła się nieśmiało. — Kiedyś tu mieszkałam, chciałam zobaczyć, jak wygląda dom, zanim go sprzedadzą.

— Przez okno?

— Nie mam klucza — usprawiedliwiła się. — Poza tym obiecałam siostrze, że nie będę wchodzić do środka, dom jest gotowy do sprzedaży.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Spojrzał jeszcze raz na Weronikę, tym razem bardziej czujnie. Pomyślała, że powiedziała coś niestosownego. Może jednak trzeba było wymyślić inne usprawiedliwienie?

— Pani jest współwłaścicielką?

— Tak.

— Jak się pani nazywa?

Weronika zawahała się. Tego pytania się nie spodziewała, choćby dlatego, że w Mroczykach wszyscy ją znali i chyba pierwszy raz w życiu musiała się przedstawić.

— Weronika Zabuda — odparła, gdy stało się jasne, że pytanie nie było retoryczne. Odruchowo wyciągnęła do niego rękę. Uścisnął ją, nie spuszczać oczu z właścicielki. — Jestem siostrą Elizy Zabudy... teraz Kwiatkowskiej.

— I nie ma pani klucza do domu?

— Nie.

Zachowanie mężczyzny wydało się jej jeszcze bardziej podejrzane. Był zbyt ciekawski i natarczywy, nawet jak na wścibskiego sąsiada.

— A pan to kto, jeśli można wiedzieć?

— Rafał Rębak, jestem z policji.

— Niczego złego nie robiłam — zastrzegła szybko, jakby fakt, że rozmówca jest z policji wymagał takiego usprawiedliwienia. — Posesja prawnie nadal należy do mnie i wolno mi na niej przebywać.

— Ja pani niczego nie zarzucałem.

— Przepraszam. — Westchnęła, odgarniając włosy.

— To ja przepraszam, że panią wystraszyłem.

— Nic się nie stało. Myślałam, że to któryś z sąsiadów zawiadomił policję. — Znów

wpadła w manię usprawiedliwiania się. Ponownie odetchnęła, aby ochłonąć i uśmiechnęła się przepaszająco. — Ludzie zawsze byli tu bardzo czujni. Nie chciałam, żeby pan pomyślał, że jestem włamywaczem.

— Nikt nie zawiadamiał policji. Po prostu przechodziłem obok i zauważyłem panią wiszącą na parapecie — wyjaśnił spokojnie.

— To nie dziwię się, że pan zareagował...

— Wyjdziemy na chodnik?

Rafał wskazał ręką w stronę ulicy, ale nie spuszczał jej z oka. Kiwnęła głową. Ruszyli w stronę furtki. Weronika szła przed policjantem, czując jego spojrzenie na plecach. W sumie przestała mu się dziwić. Jeśli zobaczył zaglądnącą przez okno kobietę, naturalne, że zrobił się podejrzliwy. Rozbawiło ją, kiedy pomyślała, jak musiała wyglądać dla kogoś z boku.

— Dawno pani przyjechała? — spytał policjant, kiedy już stanęli na chodniku. Jedną ręką pociągnął do siebie furtkę, która ponownie wydała potępieńczy jęk.

— Kilka dni temu.

— A dokładniej? — pytanie zawisło w powietrzu w tak oczywisty sposób, że Weronika nie była w stanie go zignorować.

— Trzy dni temu.

— To znaczy w dzień, kiedy zginął pani ojciec? — upewnił się. Weronika zmarszczyła brwi. Wszyscy przypominali jej o tym, jakby nie mieli nic lepszego do roboty. Mężczyzna, widząc minę rozmówcy, podniósł dłonie w obronnym geście. — Wybacz pani, policyjne nawyki — usprawiedliwił się z rozbijającym uśmiechem. — Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

— Dziękuję — odparła, co wyszło trochę bardziej oschło, niż zamierzała. Nie chciała go zostawiać ze złym wrażeniem, więc kontynuowała: — Z ojcem nie byliśmy blisko, w zasadzie nie widzieliśmy się, odkąd wyjechałam do Poznania.

— To musiało być trudne.

Ruszyli powoli ulicą. Weronika nawet nie zauważyła, że wracają w stronę rynku. Przyglądała się policjantowi pełnym niezrozumienia spojrzeniem.

— Myślę o spotkaniu po tylu latach.

Weronika przystanęła.

— Pan mnie przesłuchuje?

— To musiałbym robić w komisariacie — wyjaśnił. Rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał. — Mieszka pani w pobliżu? Odprowadzę panią.

— Zatrzymałam się w piekarni.

Ruszyli dalej. Do wylotu ulicy prowadzącej na rynek było już niedaleko. Zobaczyli pierwszy autokar, przemykający wąską uliczką przy placu, w stronę drogi biegnącej do ruin starego grodu.

— Pracuje tam pani?

— Tak.

— Długo zamierza pani zostać w miasteczku?

— Nie, pomagam Pawłowi w zamian za gościnę, ma sporo pracy.

— Nie wołała pani zamieszkać u siostry?

Weronika ponownie przystanęła.

— Mimo wszystko zaczyna mnie to irytować — stwierdziła po chwili. — Przesłuchuje mnie pan.

— Chce pani coś ukryć?

— Nie mam nic do ukrycia — mruknęła, ruszając dalej i przyspieszając lekko. Chciała

jak najszybciej znaleźć się w piekarni i uwolnić od towarzystwa policjanta.

— Więc dlaczego nie chce pani powiedzieć, czy rozmawiała pani z ojcem w dzień swojego przyjazdu?

— A dlaczego pana to tak interesuje?

— Pani ojciec nie żyje.

— Utopił się, więc nie ma co po nim rozpaczać. To i tak był tylko stary pijak i żebrak.

— Od pani też chciał pieniądze?

— Też? — Weronika zmarszczyła brwi.

— Nie odpowiedziała pani.

— Bo chyba nie muszę.

— A jeśli powiem, że pani ojciec prawdopodobnie został zamordowany?

— To niech pan znajdzie mordercę! — warknęła pobladła dziewczyna.

— A jeśli już wiem, kto to zrobił?

Weronika zacisnęła usta. Rębak obserwował ją, starając się ocenić, czy bardziej jest przerażona, czy wściekła.

— To nich go pan aresztuje, a nie sterczy tu jak przebiśnieg na wiosnę.

Odwróciła się gwałtownie i skręciła wzdłuż pierzei placu. Szybkim krokiem pokonała kilkanaście metrów dzielących ją od drzwi piekarni. Wpadła do środka jak burza. Oddech miała przyspieszony, a serce biło jej jak młotem. Pawłowi wystarczyło jedno spojrzenie i natychmiast ruszył do niej zaniepokojony.

— Co się stało?

Chwyił ją za ramiona i ścisnął odrobinę za mocno. Poczowała ból w ręce.

— Nieważne — odparła.

Zerknęła za siebie, jakby ktoś ją gonił. W witrynie okna wystawowego dostrzegła Rafała Rębaka. Stał, spokojnie zaglądając do środka. Serce znów jej przyspieszyło. Wyrwała się Pawłowi, nie zważając na spojrzenia klientów, które ją odprowadzały i natychmiast wracały do policjanta.

Rębak zajrzał przez szybę do piekarni. Dziewczyna zareagowała tak, jak się spodziewał — uciekła. W zasadzie nie planował jej przesłuchiwać, ale wyuczone nawyki wzięły górę. Kiedy zobaczył ją na posesji, przylepioną do szyby, z początku myślał, że to jakiś ciekawski dzieciak. Dopiero kiedy się odwróciła, dostrzegł, że to dorosła kobieta. A gdy się przedstawiła, o mało mu nie odebrało mowy. Taką okazję musiał wykorzystać. Przez całą drogę próbował potwierdzić swoje przypuszczenia, że to jej ślady technicy znaleźli w pobliżu miejsca zbrodni. Dyskretnie obejrzał jej kozaki, kiedy szła przed nim przez ogródek. Nie miał stuprocentowej pewności, ale na oko by się zgadzały. Była spięta i straciła pewność siebie, jak tylko wspomniał o ojcu i spotkaniu. To był jej przysłowiowy gwóźdź do trumny. Upewniła policjanta w podejrzeniach, że była nad jeziorem. Wątpił tylko w to, że mogła sama zabić ojca. Po pierwsze była za niska, żeby uderzyć go kamieniem z góry, po drugie uścisk dłoni upewnił go, że brakowałoby jej na to siły. Jeśli była przy morderstwie, to z pewnością nie sama. Nie miał tylko pojęcia, kto znajdował się tam z nią.

Rębak obserwował jeszcze, jak Paweł podąży za Weroniką w głąb pomieszczenia i znika za przejściem. Gdy w sali zostali tylko zdziwieni klienci, odwrócił się i powoli ruszył przez plac. Twarz Pawła mówiła mu wystarczająco wiele. Był zakochany w dziewczynie.

Rafał uśmiechnął się do siebie. Miał nagle wrażenie, że wszystkie fragmenty układanki wpadły na swoje miejsca. Teraz wiedział, jak potoczyła się ta historia.

Przyspieszył. Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do komisariatu i potwierdzi fakty.

*

Uciekła na tył piekarni, do kuchni. Byle dalej od człowieka, który stał za witryną. Zatrzymała się, dopiero kiedy już nikt nie mógł jej zobaczyć.

Ile wiedział ten policjant? Czy ją tylko zwodził, czy chciał, żeby wyjawiała prawdę i przyznała się do tego, co zrobiła tamtej nocy? Czy to była dla niego zabawa, jak kot bawi się z myszą? Powiedział, że wie, kto jest mordercą. Weronice zabrakło tchu. Jeśli to była prawda, wszystko było stracone. Plotki rozejdą się błyskawicznie. Nikogo nie da się uratować. Ona sama pójdzie do więzienia... Nie, nie mogła sobie na to pozwolić.

Miotła się niespokojnie po pomieszczeniu. Po co ten policjant tak drąży? Przecież Maciej Zabuda nie był nikim ważnym. To stary cap, który za dużo pił i krzywdził wszystkich wokół. Po co przejmować się tym, czy ktoś nie pozbawił go życia?!

Weronika odwróciła się gwałtownie, jej oczy spoczęły na misce z kolorowym lukrem. Chwyciła ją w obie dłonie i rzuciła o ziemię. Huk metalu na płytach ogłuszył ją na chwilę. Ciało przeszła fala dreszczy spowodowanych odbiciem dźwięku na metalowych nogach stołu. Miska potoczyła się po podłodze, rozbryzgując czerwony lukier po posadzce.

Przypominało krew. Weronice zrobiło się niedobrze. Chwyciła się za brzuch, starając się zatrzymać torsje. Odetchnęła głęboko. Pomogło.

Paweł przebiegł przez salę, prawie potrącając kosz ze słodkimi bułkami, stojący na krawędzi lady. Weronika była tak roztrzęsiona, że nie miał najmniejszej wątpliwości, że stało się coś strasznego.

Stała zaraz za drzwiami, opierając się jedną ręką o blat stołu, drugą trzymając na brzuchu. Oddychała ciężko jak po długim biegu. Jej widok zatrzymał go na moment w progu.

— Wera, w porządku? — spytał naiwnie. Przecież widział, że nic nie jest w porządku. Przeklął w duchu swoją głupotę i podszedł bliżej. — Widzę, że coś się stało.

Odetchnęła jeszcze raz głębiej. Uspokoiła się, wreszcie wracała do równowagi.

— Wszystko w porządku. — Odwróciła się do niego, ale nie spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się. — Potrąciłam tylko miskę z lukrem. Zaraz posprzątam.

Może by uwierzył w jej zapewnienia, gdyby nie była tak śmiertelnie blada.

— Nie wyglądasz, jakby było w porządku — odparł spokojnie. — Wyglądasz, jakbyś przed kimś uciekała.

— Nieprawda, nie uciekałam — zawahała się, szukając odpowiedniego określenia. — Ja tylko chciałam szybko wrócić. Zdążyłeś już przecież otworzyć.

Patrzył na nią, próbował znaleźć nic porozumienia, ale póki nie podniosła głowy, było to daremne. W końcu dał za wygraną. Odsunął się o krok.

— Wystraszyłem się, kiedy wyszłaś bez słowa — wyznał.

— Poszłam się tylko przejść. Musiałam się przewietrzyć.

Kłamała. Nie miał jednak żadnego dowodu. Nie mógł po prostu zaprzeczyć. Milczał więc, czekając, aż podniesie wzrok. Kiedy to zrobiła, była o wiele spokojniejsza, niż się spodziewał. Jakby to, co się stało przed chwilą, było tylko drobnym, nic nie znaczącym epizodem.

Za jego plecami odezwał się dzwonek. Ktoś czekał przy ladzie.

— Idź tam. Ja tu najpierw posprzątam. — Wskazała na resztki lukru i uśmiechnęła się z przymusem. — Niezdara ze mnie, powiedz, w czym ci jeszcze pomóc? Iść później do kasy?

— Zostań na razie tu — zdecydował po chwili namysłu. — Jeśli możesz, posyp cukrem cynamonki i polukruj tamte ciastka. — Wskazał drugi blat ze świeżymi wypiekami. — W piecu jest też biszkopt na jutro.

— Biszkopt? — Weronika uniosła brwi.

— Specjalne zamówienie — wyjaśnił, ruszając w stronę sali.

— Załatwione.

Paweł odwrócił się i wyszedł do czekających klientów. Gdy pojawił się na sali, miał wrażenie, że na bardzo krótką chwilę wszystkie rozmowy umilkły. Goście spostrzegli, że to on, i wrócili do swoich spraw. Pogratulował sobie w duchu wyboru. Był pewien, że z Weroniką nie obeszliby się tak łagodnie.

Skasował dwa zamówienia na kawę z ciastkiem i bułki z makiem dla sąsiadki starowinki mieszkającej po drugiej stronie placu, która najwyraźniej nie potrafiła od dwudziestu lat obyć się bez codziennej porcji słodkości o poranku. Gdy za staruszką zamknęły się drzwi od stolika przy oknie oderwała się niska postać. Pani Róża dryfowała w jego kierunku z gracją lodołamacza. Ludzie schodzili jej z drogi, ale i oglądali się, ciekawi plotek, jakie ze sobą niosła.

— Dzień dobry, Pawełku — zaszczębiotała łagodnie, pochylając się nad ladą.

— Dzień dobry, pani Różo. W czym mogę pani pomóc? — odparł spokojnie, choć witał się z nią raptem pół godziny wcześniej, kiedy przyszła do piekarni i zamówiła pierwszą kawę.

Wtedy zaskoczył go jej widok. Sądził, że po wczorajszej kłótni z Weroniką, starsza pani przez jakiś czas będzie unikała wizyt w piekarni. Pani Róża wspomniła o spotkaniu z Wera. Nie wdawała się w szczegóły, ale zrozumiał z wypowiedzi, że kobiety zawarły sojusz. Ucieszył się, bo perspektywa wojny domowej pomiędzy nimi nie była mu na rękę.

— Masz może te drożdżówki z jagodami? — spytała, pochylając się odrobinę niżej.

W pierwszej chwili myślał, że kobieta szuka jagodzianek za szklaną witryną. Gdy się przyjrzał, spostrzegł, że jej wzrok nie był skierowany na towar, ale na niewielką szczelinę, przez którą można było dostrzec fragment kuchni. Pani Róża próbowała zobaczyć, co robi Weronika.

Oparł się łokciami o drewniany blat tak, aby być jak najbliżej kobiety.

— Niestety, pani Różo, to nie jest sezon na jagody — odparł z uśmiechem — ale mam doskonałe drożdżówki z jabłkiem.

— A na jabłka mamy teraz sezon? — spytała zdziwiona, prostując się lekko.

— Oczywiście i to najlepszy — zapewnił.

— A niby skąd?

Pani Róża zbliżyła się do niego i wspięła na palcach, chciała spojrzeć mu w oczy i sprawdzić, czy nie kłamie. Jej wzrok szybko uciekł w stronę drzwi do kuchni. Paweł przesunął się odrobinę, udając, że jego celem wcale nie było zasłonięcie jej widoku.

— Pani Różo, sama pani wie, że jabłka od Zabudy można przechowywać miesiącami. Idealna odmiana na zimowe przetwory. Trochę kwaśne, ale świetne do wypieków.

— Oszczędzaj je, chłopcze. — Pani Róża zmarszczyła brwi, niezadowolona z efektu swoich poczynań. — Możesz długo nie mieć do nich dostępu.

— Co pani mówi?

— Teraz jak stary Zabuda nie żyje, a Weronika zostanie zamknięta za morderstwo, nikt ci nie pozwoli zbierać jabłek w starym sadzie.

Pawłowi natychmiast przeszła ochota na droczenie się ze straszą panią.

— Niech pani uważa, co mówi — przestrzegł. — Niech pani nie oskarża niewinnych ludzi. To już nie są plotki.

— Sama widziałam — odparła, wysuwając dumnie podbródek.

— Co pani widziała?

— Weronikę, jak szła na spotkanie z Maciejem, a następnego dnia znaleźli go martwego w jeziorze.

Paweł zgrzytnął zębami, ale nic nie odpowiedział. Nowiny pani Róży zaskoczyły go do tego stopnia, że żadna riposta nie potrafiła się przebić przez oszołomienie. Weronika miałaby

zabić ojca? Nie potrafił w to uwierzyć.

— Uważaj, bo możesz być następny.

Tym razem poszło łatwiej. Pierwsze zaskoczenie ustąpiło miejsca złości.

— Tak nie wolno, pani Rózo. Nie ma pani dowodów.

— Ty nie ucz księdza pacierza — odezwała się sentencjonalnie, czym po raz kolejny spowodowała zaniemówienie rozmówcy. Paweł zamrugał zaskoczony. — Ja już dobrze wiem, na co stać takie miastowe dziewczyny. Oni tam się ciągle mordują. W dzienniku...

— Pani Rózo! — wszedł jej w słowo, zanim zdołała dokończyć. — Kupuje pani coś?

Nie uszło jego uwadze, że klienci odwrócili się nieznacznie, nadstawiając uszu. Jeśli chciał z tego wyjść obronną ręką, musiał natychmiast coś wymyślić, zanim tłum zaszufladkuje Weronikę jako morderczynię wzorem pani Róży.

Z pomocą przyszła mu nieoczekiwanie wycieczka. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do ciasnego pomieszczenia zaczęła wchodzić grupa ludzi. Pani Róza, widząc rozentuzjasmowaną młodzież w wieku najwyżej licealnym, odpuściła atak. Zamówiła szybko zieloną herbatę oraz cynamonowe ciastko i zadowolona z siebie wróciła do stolika.

Paweł nie miał okazji niczego przemyśleć. Musiał na chwilę zapomnieć o nawiedzonych teoriach staruszki, kiedy do lady podeszli kolejni klienci.

Eliza zdjęła garnek z makaronem z ognia. Od razu odcedziła go we wcześniej przygotowanym sicie. Dopiero kiedy sytuacja była opanowana, zerknęła kontrolnie na zegar wiszący na ścianie. Dochodziła piąta. Piotr powinien lada moment zjawić się pod domem — idealnie, aby udało jej się podać ciepły posiłek. Uśmiechnęła się do siebie zadowolona. Ostatnie dni nie sprzyjały dobremu samopoczuciu. Piotr chodził nabuzowany niczym odbezpieczony granat. Bała się do niego podejść, aby nie wybuchł. Wczoraj także wrócił z przebieżki wokół jeziora wściekły, nie wiadomo na co. Eliza nie pytała, wołała nie ryzykować. Doskonale wiedziała, czym może się skończyć takie niepotrzebne wścibstwo. Do dziś nosiła na ręce bliznę, która jej o tym przypominała. Ilekroć miała ochotę o coś spytać męża, patrzyła najpierw na rękę.

Po tym wszystkim postanowiła zrobić Piotrowi przyjemność, mając nadzieję, że to uspokoi go i wprawi w dobry humor. Odmówiła więc jedyną klientkę, jaką miała na ten dzień, odebrała synów ze szkoły i przygotowała ulubione danie Piotra, spaghetti z prawdziwkami w śmietanie. Do swojej wersji dodawała zawsze trochę białego wina, dzięki czemu danie zyskiwało intensywny i głęboki smak. Dla bliźniaków przygotowała wersję bez alkoholu i leśnych skarbów, za to z serem. Dała im jeść wcześniej, żeby nie musieć biegać z talerzami w obecności Piotra. Czasem wściekał się na ich zachowanie. Chłopcom, pomimo pilnowania, zdarzało się wybrzydzać przy posiłku, brudzić stół albo siebie. To niezmiennie irytowało jej męża, a przy makaronie niebezpieczeństwo takiego wypadku znacznie rosło.

Zamieszała sos i spróbowała. Udał się znakomicie. Przyjemny aromat rozchodził się po kuchni, drażniąc kubki smakowe. Zmniejszyła ogień pod garnkiem i wyrzała przez okno. Niecierpliwie wypatrywała świateł samochodu. Jeśli nie przyjedzie w ciągu kilkunastu minut, makaron zacznie twardnieć i zrobi się niesmaczny. Oderwała wzrok od zapadających za oknem ciemności i jeszcze raz zerknęła na zegar. Za trzy szósta.

Chwyciła leżącą z boku komórkę, aby upewnić się co do godziny. Wszystko było jak należy. Zatem to jego coś niespodziewanie zatrzymało.

Usiadła przy stole i dla zabicia czasu sięgnęła po książkę. W innym wypadku chodziłaby po domu jak lwica po klatce. Przez chwilę próbowała czytać, jednak słowa nie chciały składać się w logiczną całość.

— Mamusiu, pić mi się chce.

— Już, kochanie. — Eliza odłożyła książkę i uśmiechnęła się do Adasia, stojącego w progu. — Może być kompot?

— A z czego? — spytał zaciekawiony, wchodząc do kuchni. Wspiął się na ławę przy stole i przyklęknął na niej z nogami podwiniętymi pod siebie.

— Z jabłuszek, może być?

— Z tych od dziadka?

Eliza zawahała się mimo woli. Jej synowie wiedzieli, kim był ich dziadek, choć nie mieli z nim dobrego kontaktu — sama się o to postarała. O śmierci dziadka dowiedzieli się już pierwszego dnia. Nie ukrywała tego przed nimi, doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli nie ona, to ktoś inny opowie im, co się stało. Wołała zrobić to na własnych warunkach.

— Tak, właśnie z tych, co lubisz, kochanie — odparła wreszcie, wyciągając z lodówki duży dzbanek.

— Czy teraz już nie będziemy mieli więcej jabłek od dziadka?

Adaś odebrał od niej szklankę pełną słodkiego, owocowego napoju i łączywie zabrał się do picia, obejmując szklankę obiema dłońmi.

Eliza nie myślała nad kwestią spadku. Jej ojciec miał niewielki sad i kawałek ziemi pomiędzy Mroczykami a Dębinką. Część rolną dzierżawił znajomemu, dostając dokładnie tyle pieniędzy, żeby starczało mu na opłacenie prądu i wody w starej, zapadającej się chatce przy głównej drodze. Zostawało mu dostatecznie dużo, aby upić się ma umór raz w roku. Na jedzenie zarabiał sprzedając jabłek z sadu okolicznym mieszkańcom i tym, którzy nie bali się zatrzymać przy rozpadającej się ruinie, żeby kupić skrzynkę na drogę, część sprzedawał za grosze do hurtowni, nic szczególnego.

Eliza zastanowiła się. Ojciec nie miał innych dzieci ani żadnych bliskich poza nią i siostrą. Matka Elizy, choć dawno się z nim rozwiodła, pozostała jedyną kobietą w jego życiu. Nikt się temu nie dziwił. Żadna inna przy zdrowych zmysłach nie zdecydowałaby się na ryzyko życia z alkoholem, wiecznie śmierdzącym i bez pieniędzy. W takiej sytuacji naturalną rzeczą było, że cały skromny majątek ojca przechodził na córki, jako jedyne żyjące spadkobierczynie. Eliza była pewna, że prócz kawałka ziemi i sadu były jeszcze długi. Nie miała pewności, czy to, co uzyskaliby ze sprzedaży ziemi, starczyłoby na ich pokrycie. Nie wiedziała, ile ich jest. Może jednak warto byłoby się dowiedzieć. W końcu sad posiadał naprawdę dobrą opinię wśród okolicznych mieszkańców. Gdyby ojciec zamiast wydawać pieniądze na alkohol, przeznaczył je na życie, wiodłoby mu się o wiele lepiej i może nie skończyłby w jeziorze.

— Mamusiu?

Eliza potrząsnęła głową, aby odgonić natłok myśli.

— Tak, synku?

— Odjechałaś — stwierdził rezolutnie, odstawiając szklankę na blat. Przesunął ją w stronę dzbanka.

Eliza naląła synowi trochę kompotu.

— Przepraszam. Myślę, że w przyszłym sezonie też uda nam się zebrać jabłuszka z sadu dziadka.

— Nawet jak dziadek nie żyje?

— Tak. Może się uda i sad będzie nasz, po dziadku.

— Jak dom po babci?

— Tak. — Szybkość myślenia syna czasem ją zaskakiwała.

— Fajnie.

Adaś dopił kompot, odstaviał szklankę na stół i wytarł usta wierzchem dłoni.

— Weź serwetkę — upomniała go automatycznie, ale syn już zeskoczył z ławy i był w połowie drogi do korytarza.

— Dzięki! — rzucił, nie odwracając się za siebie.

Eliza odstaviała dzbanek do lodówki i wstawiała szklankę do zlewu. Dopiero teraz zauważyła, że na podjeździe pojawił się samochód Piotra. Odruchowo spojrzała na zegar. Było pięć po szóstej.

Dobrze — uznała — makaron będzie jeszcze w porządku. — Umyła szklankę, zanim Piotr zdążył otworzyć drzwi w sieni, i odstaviała ją na suszarkę obok zlewu. Trzaśnięcie sprawiło, że podskoczyła. Przez chwilę nasłuchiwała, jak Piotr siłuje się z płaszczem i butami w przedpokoju. Zaczęła nakładać makaron.

— Cześć, kochanie — przywitała go pogodnie, kiedy wszedł do kuchni.

Piotr zajrzał jej przez ramię, po drodze całując w policzek.

— Makaron z grzybami? Z jakiej to okazji?

Rzucił teczkę na ławę i zaczął pozbywać się krawata.

— Z żadnej, pomyślałam, że będzie miła odmiana.

— Miło to by było, gdyby twoja siostra przestała siać zamęt.

Eliza drgnęła, aż łyżka gruchnęła o talerz.

— Uważaj, bo potłuczysz naczynia. — Piotr zmarszczył brwi. Odłożył na stół krawat. Oparł się o blat, zakładając ręce na piersi. — Twoja siostra nie zna umiaru... ale co się dziwić, obie jesteście siebie warte.

— Nie rozumiem.

— Słyszałem, że kręciła się przy domu waszej matki. Nawet policja odprowadzała ją stamtąd do piekarni.

Piotr zamilkł, czekając na reakcję żony. Eliza zamarła z talerzem pełnym makaronu, czuła, jak ściska ją w żołądku. Rozumiała Weronikę, bo sama była w domu dwa razy przed sprzedażą, tylko po to, aby przywołać te najmiłsze wspomnienia z czasu, kiedy wszystkie trzy były jeszcze razem.

— Przecież nie wchodziła do środka, ostrzegałam ją...

— Głupia jesteś — warknął, oderwał się od stołu i podszedł bliżej. — Zamierzasz podać wreszcie ten obiad czy będziesz tak stać do końca świata?

— Już podaję. — Uśmiechnęła się do niego nerwowo.

— Chłopcy jedli?

— Tak.

— Nie chcesz, żeby jedli z nami?

— Byli głodni — usprawiedliwiła się.

— Chcesz ograniczyć ich kontakt ze mną — mruknął niezadowolony, zbliżył się do niej gwałtownie, o mało nie wytrącił talerza z rąk.

— Wcale nie.

— Robisz to specjalnie, ledwie ich widuję.

— Przesadzasz...

Chwycił ją za ramię. Uścisk był jak imadło. Ból przeszył rękę od ramienia po nadgarstek. Nie zdołała utrzymać talerza. Naczynie wysunęło się z odrętwiałej dłoni i runęło na podłogę.

— Nigdy nie mów, że przesadzam.

Szarpnął nią gwałtownie. Siłą bezwładności przeleciała przez kuchnię i zatrzymała się na stole. Boleśnie uderzyła się w biodro.

— Mało ci? Chcesz wszystkie naczynia wytłuc? — warknął.

Chwycił szklankę stojącą na suszarce i cisnął w jej stronę. Eliza uchyliła się w ostatniej chwili i szkło z trzaskiem rozprysło się o ścianę. Kawalki potoczyły się po podłodze. Dzwoniło jej w uszach od tego dźwięku.

— Przestań — poprosiła cicho.

— Ciągłe na ciebie haruję, a ty nawet obiadu nie potrafisz podać.

Ruszył na nią w mgnieniu oka. Nie zdążyła się nawet uchylić, uderzył na odlew otwartą dłonią prosto w policzek. Cios nią zachwiał. Osunęła się na podłogę, ogłuszona. Kopnął ją raz, potem drugi. Stopy w domowych klapkach nie posiadały odpowiedniej siły, ale lata biegania zrobiły swoje. Piotr miał silne nogi i Eliza poczuła, że zaparło jej dech. Zwinęła się pod stołem.

— Głupia suka — charczał z wściekłości. — Beze mnie nic nie znaczysz, nie potrafisz się nawet do niczego przydać.

Kopnął jeszcze raz, trafiając w obolałe biodro. Eliza jęknęła.

— Zostaw mamę! Zostaw!

Eliza otworzyła oczy. Kajetan wbiegł do kuchni, bosymi stopami kłapiąc po płytkach. Kurczowo chwycił Piotra za koszulę i zaczął szarpać. Jego brat stał w progu, obserwując wszystko. Eliza z przerażeniem pomyślała o szkle leżącym na podłodze i że Kajetan zaraz się skaleczy. Już otwierała usta, żeby krzyknąć, kiedy Piotr się odwinął i odepchnął chłopca. Mały

upadł na podłogę i z impetem pojechał na pupie po śliskich płytkach. Dopiero wtedy Piotr odrobinę oprzytomniał.

Charknął coś niezrozumiale, po czym ruszył do chłopca.

— Kajtek, przepraszam. — Wyciągnął do niego ręce. Chłopiec błyskawicznie pozbierał się i odskoczył poza zasięg ojca. — No co ty, Kajo.

Piotr przywołał na twarz uśmiech. Kropelki potu spływały mu po czerwonej z wściekłości twarzy, czyniąc ją upiorną.

Kajetan nie dał się przekonać. Za każdym razem, kiedy ojciec próbował się zbliżyć, dziecko odsuwało się na bezpieczną odległość, nie spuszczając z niego oczu. W końcu chłopiec stanął obok brata. Kolejny ruch Piotra wywołał w bliźniakach odruch ucieczki. Zniknęli za ścianą korytarza.

— Zadowolona z siebie? — Piotr posłał Elizie wściekle spojrzenie, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia. Chwilę później usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych, a po nim odgłos silnika samochodu.

Odetchnęła z ulgą. Poczowała się bardzo zmęczona. Tak bardzo, że przez chwilę miała ochotę po prostu zostać na podłodze i zasnąć. Trwało to jak mgnienie oka. Jej umysł natychmiast zapełniły myśli o bliźniakach. Uniosła się ostrożnie na łokciu. Ciało miała obolałe, ale wyglądało na to, że nic poważnego się nie stało. Ogarnęła spojrzeniem pobjowisko na kuchennej podłodze. Rozdeptany makaron, resztki porcelanowej zastawy i szkła ze szklanki. Wyglądało jak po przejściu huraganu. Nie zamierzała jednak na razie tego sprzątać. Piotr raczej nie planował wrócić w ciągu kilku najbliższych godzin, więc mogła to zostawić. Ważniejsze było sprawdzenie, czy z chłopcami wszystko w porządku. Cisza od strony ich pokoju przeraziła ją bardziej, niż chciała to przyznać.

Pozbierała się z podłogi. Wzięła kilka głębszych oddechów, aby uspokoić skołatane nerwy. Nie mogła się im pokazać w zupełnej rozsypce. Odruchowo przyglądziła włosy i ruszyła w stronę drzwi.

Chłopcy siedzieli skuleni na jednym łóżku, w najdalszym jego kącie. Trzymali się w mocnym uścisku. Kiedy otworzyła drzwi, równo spojrzeli na nią. Nie płakali, ale ich blade twarze i szeroko otwarte oczy sprawiły, że ponownie tego wieczora ścisnęło ją w dołku. Nigdy jeszcze nie widziała na ich buziach takiego przerażenia. Wyglądali jak dwa młode zające zapędzone w kozi róg.

Podeszła bliżej. Powoli, ostrożnie, jakby bała się ich wystraszyć. Każdy jej ruch śledzili w skupieniu.

— Już dobrze — rzekła miękko, siadając na skraju łóżka. — Już w porządku.

Powoli wyciągnęła do nich ręce. Wystartowali równo. Uwiesili się na jej ramionach, ściskając kurczowo. Przygarnęła te małe ciała do siebie, czując, jak drżą. Przez bardzo długą chwilę tuliła ich w milczeniu, bujając się uspokajająco w przód i w tył. W końcu rozluźnili się odrobinę.

— Nic wam nie jest? — spytała, odrywając bliźniaków od siebie i ponownie patrząc w białe jak papier twarze. — Kajtek, nie pokaleczyłeś się? W kuchni jest szkło...

Chłopiec pokręcił przecząco głową. Nie uwierzyła mu. Dokładnie obejrzała jego stopy i ręce, nim dała za wygraną.

— A ty, mamo? — spytał, kiedy skończyła.

— Słucham?

— Nic ci nie zrobił?

Przytuliła go jeszcze raz i pogłaskała po jasnych włosach.

— Nic mi nie jest. Wszystko w porządku — odparła spokojnie. — Chodźcie do mnie.

Usiadła wygodnie u wezglowia łóżka. W zasadzie nie musiała ich zachęcać, by się w nią wtulili. Przykryła ich razem pod miękkim kocem, trochę za małym dla trojga. Leżeli obok siebie, czując wzajemne, uspokajające ciepło. Eliza głaskała chłopców po głowach.

— Dlaczego on ci to robi? — spytał po kilku minutach Adaś. W jego głosie słychać było szybko nadciągający sen. — Przecież nie zrobiłaś nic złego. Ty nas nie bijesz, jak zbijemy talerz...

— Głupi jesteś — odburknął brat.

— Kajo... — upomniała go Eliza łagodnie. Chłopiec wzruszył ramionami.

— On jest po prostu zły — mruknął Kajetan.

Eliza zmarszczyła brwi. Nagle uświadomiła sobie, że wcale nie uchroniła synów przed tyranią ojca. Oni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co robił. Poczuli, jak łyzy nagle cisną się jej do oczu.

— Nie płacz, mamusiu — wymruczał sennie Adaś.

— My cię obronimy — dodał jego brat równie bliski usnięcia.

Eliza z trudem powstrzymała falę płaczu.

— Dziękuję — wyszeptała łamiącym się głosem.

Dzieci w końcu posnęły, ale do niej sen nie nadchodził. Czuwała. Leżała wsłuchana w ich spokojne oddechy, a myśli krążyły wokół wspomnień. Piotr przez ostatnie kilka dni był bardziej nerwowy niż zwykle. Kiedyś jego napady wściekłości zdarzały się raz na kilka miesięcy. Zastanawiała się, czy problemem była ona sama, czy może przyjazd jej siostry. Nie potrafiła dokładnie odpowiedzieć. Piotr nigdy nie przepadał za Weroniką, ale Eliza nie pamiętała, aby reagował na nią z taką agresją.

Ostrożnie wysunęła się spod koca. Chłopcy spali dość mocno, aby nie obudzić się, kiedy wychodziła z pokoju. Pożegnała ich ciepłym spojrzeniem. Śpiące twarze bliźniaków napawały ją spokojem. Zamknęła drzwi i wróciła do kuchni. Makaron zdążył już zaschnąć na podłodze. Tym lepiej. Ze śliskich płytek schodził łatwiej, odlepiając się całymi kawałkami. Zebrała co większe fragmenty szkła i zniszczonego talerza, po czym przykłękała na posadzce i zaczęła sprzątać pobojowisko. Chciała załatwić to jak najszybciej, bo tego wieczora to nie miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Weronika odstawiła do zlewu brudne naczynia. Po całym dniu pracy znów czuła się zmęczona. W sali Paweł zamknął drzwi piekarni i teraz sprzątał pomiędzy stolikami. Przez większość czasu nie odzywali się do siebie. Nie dziwiło jej to, bo jak tylko ochłonęła po rozmowie z policjantem, doszła do wniosku, że zrobiła niepotrzebną scenę. Paweł miał prawo się obrazić. Weronika po raz pierwszy od przyjazdu żałowała, że przyszła do niego, zamiast iść do Hani i nie wyściubiać nosa poza jej małe mieszkanie. Nie przeszkadzałby jej nawet niemowlak. Podejrzewała, że szybko by się do Helenki przyzwyczaiła i pomogła. Hania musiała mieć pełne ręce roboty i z pewnością doceniłaby każdą pomoc.

Puściła wodę i powoli zaczęła zmywać. Nie wszystko nadawało się do wstawienia do zmywarki. Niektóre pojemniki i miski po prostu były za duże, pozostałe naczynia zdążyła już załadować. To co zostało, stanowiło niewielką część. Weronika chciała zapełnić sobie nią wieczór i w ten sposób uniknąć kłopotliwej rozmowy z Pawłem.

Nic z tego nie wyszło. Zanim skończył ścierać podłogę w sali, Weronika odstawiła ostatnią miskę i zakręciła wodę. Przez chwilę stała z ręką na kurku i patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem.

— Coś się stało? — zaniepokoił się Paweł, wchodząc do kuchni.

— Nie, wszystko w porządku — zapewniła natychmiast, potrząsając głową, jakby chciała pozbyć się jakiejś natrętej myśli.

— Skończyłaś?

— Tak.

— Może wybierzemy się na spacer?

Weronika odwróciła się w jego stronę zaskoczona.

— Teraz, o tej porze?

— W ciągu dnia nie mamy okazji — wyjaśnił z uśmiechem. — Pomyślałem, że może teraz.

Zawahała się. Była bardzo zmęczona, nieprzyzwyczajona do tak ciężkiej, fizycznej pracy. Z drugiej strony nie chciała zniechęcić Pawła do siebie, już i tak narobiła mu kłopotów, w jej poczuciu nie dając nic w zamian.

— Jeśli nie chcesz, to nie musimy nigdzie wychodzić — zapewnił, widząc jej walkę z myślami.

— Nie, w porządku, wyjdźmy gdzieś. — Weronika odruchowo rozejrzała się za płaszczem, zapominając, że wszystkie rzeczy są w mieszkaniu na piętrze.

— Jesteś pewna?

— W stu procentach.

— W takim razie zostaw to, skoczmy na górę się przebrać i idziemy.

Puścił Weronikę przodem, wskazując na schody. Nie oponowała. Ruszyła przed siebie rozbawiona.

Przeszli raptem połowę drogi, kiedy na dole rozległo się pukanie. Zatrzymali się i spojrzeli po sobie. Weronika nie potrafiła zgadnąć, kto mógłby zawędrować do piekarni prawie godzinę po jej zamknięciu, a jedno spojrzenie na Pawła upewniło ją, że myślał tak samo.

— Idź na górę, ja sprawdzę kto to — mruknął, a w jego głosie słychać było irytację.

Zawrócił. Weronika słuchała jego kroków. Ostatnie dwa stopnie pokonał jednym susem. Gdy szedł przez kuchnię, uznała, że nie powinna więcej podsłuchiwać. W końcu to nie jej sprawa, kto i o czym chciał z nim rozmawiać. Miała dość własnych problemów, żeby nie

dorzucąc do tego worka jeszcze cudzych.

Wbiegła po schodach. Jeśli chciała wyjść z Pawłem, powinna jak najszybciej się przebrać, inaczej nie zdołają przekroczyć progu, zanim oboje padną ze zmęczenia. Pomimo ciężkiej pracy nieoczekiwana perspektywa chwili relaksu, w towarzystwie dawnego ukochanego, podziałała na nią ożywczo i dodała energii. Przestała czuć zmęczenie, zastąpiło je przyjemne, lekkie podniecenie. Podobne do tego, które czuła ponad dziesięć lat temu, kiedy w piątkowe i sobotnie wieczory czekała na jego przyjście, bo miał zabrać ją na tańce albo do znajomych na zwykłe pogaduchy. Wtedy wydawało im się to naturalne. Każdy tydzień był podobny do poprzedniego. Czas dzielili między szkołę i przyjaciół, a przyszłość zdawała się jasno określona. Mieli wspólne plany. Zamierzali po maturze iść na studia, następnie w odpowiednim momencie wziąć ślub i założyć rodzinę. Nie zamierzali zostawać w Mroczycach. Chcieli wieść inne życie od tego, które mieli ich rodzice, w mniemaniu Weroniki i Pawła, miało być lepsze. Kobieta wracała do tych wspomnień bez żalu. Lata temu pogodziła się z tym, że jej życie za sprawą przypadku i rodziców potoczyło się inaczej, niż chciała. Pomimo przejściowego stanu zagubienia dziesięć lat temu, nigdy nie przestała kochać Pawła. Wyglądało na to, że on także nie przestał jej kochać, o czym świadczyło chociażby to zdjęcie nad ladą w piekarni. Właściwie chyba później nigdy więcej nie mieli wspólnego zdjęcia tylko we dwoje. Przynajmniej nie pamiętała takiego.

Weronika przygryzła wargę w zamyśleniu. Jeśli było tak, jak sądziła, a w to, że Paweł nadal ją kocha nie wątpiła, to może warto było ponownie rozważyć powrót do niego. Żaden inny mężczyzna nie działał na nią w taki sposób. Ciągnęło ją do niego, czy chciała tego, czy nie. Inaczej by się tu nie znalazła. Była pewna, że on czuł podobnie i w razie czego gotów był na wybaczenie jej wielu błędów, jakie popełniła przez ostatnie lata. Wierzyła, że jeśli porozmawia z nim poważnie i wyjaśni swoją sytuację, to on zrozumie. Nie była tylko pewna, czy ma odwagę na taką rozmowę. Postanowiła jednak poczekać na odpowiedni moment. Miała jeszcze kilka dni, niewiele, ale zawsze.

Zdażyła zdjąć z siebie tylko fartuch, a Paweł zjawił się już na górze.

— To chyba nie było nic ważnego — zawołała do niego wesoło z sypialni, zdejmując bluzkę. — Szybko ci poszło. Pójdziemy coś zjeść czy tylko się przejść? Nie wiem, co powinnam założyć.

— Wera. — Paweł stanął w progu. Co prawda zapomniała zamknąć drzwi, ale nie spodziewała się, że wejdzie, kiedy będzie się przebierała. Kontrolnie zerknęła na swój stanik. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby akurat dziś miała ten stary, cielisty, który zabrała głównie z myślą o wygodnym siedzeniu w domu Hani. Odetchnęła w myślach z ulgą, kiedy wzrok zjechał po ramiączkach do koronkowego wykończenia czarnego push-upa. To był ten lepszy, „na wszelki wypadek”. Mimo wszystko poczuła, że się rumieni. Chwyliła leżącą obok bluzkę i zaczęła ją wkładać.

— Coś się stało?

— Twoja siostra jest na dole, chyba powinniście porozmawiać.

Weronika zamrugła gwałtownie.

— Eliza? Tu, o tej porze?

— Tak — odparł spokojnie — i wygląda tak, jakby musiała porozmawiać.

— Dobra, już idę.

Włożyła ciepły, obszerny sweter i skierowała się do wyjścia.

— Myślę... — Paweł zawahał się na moment, po czym dokończył na jednym wydechu:

— Myślę, że powinniście pogadać beze mnie, zostaną tutaj.

— Dobrze.

Weronika popatrzyła na niego. Coś w jego zachowaniu sprawiło, że zapaliła jej się

czerwona lampka. Ruszyła szybko w dół po stromych schodach.

Po ostatniej wizycie Elizy, Weronika była pewna, że nie zobaczy jej co najmniej do momentu podpisania umowy u notariusza, a i wtedy nie myślała, że jej siostra będzie chciała z nią rozmawiać. Taka zmiana nastawienia musiała oznaczać, że stało się coś nieoczekiwanego, coś strasznego. Pomyślała o swoim spotkaniu z Piotrem i żołądek gwałtownie podskoczył jej do gardła. Każda kolejna myśl pchała ją na parter coraz szybciej. Do kuchni wpadła jak burza i natychmiast się zatrzymała.

Eliza stała przy drzwiach, jakby bała się wejść dalej. Weronika spojrzała na nią i poczuła uścisk w piersi. Siostra wyglądała żałośnie. Właśnie tak by to określiła — żałośnie. Włosy miała w nieładzie, opadające na twarz o ziemistej, zmęczonej cerze i tylko zaciśnięte usta oraz wściekłe spojrzenie z odrobiną żalu, jakby chciała Weronice składać nieme pretensje, świadczyły o stosunku do starszej siostry. Ręce włożyła do kieszeni obszernej, sportowej kurtki, przez którą wyglądała na jeszcze drobniejszą i delikatniejszą, niż była w rzeczywistości.

Weronika nie miała pojęcia, po co Eliza przyjechała. Najwyraźniej jednak nie w pokojowych zamiarach. Ta myśl ją ubodła i podziałała jak katalizator. Przygotowała się na odparcie ataku, gdy tylko młodsza siostra otworzy usta. Eliza jednak milczała.

— Cześć — zaczęła nieśmiało Weronika, kiedy przedłużająca się cisza jasno wskazała, że gość nie zamierza zacząć.

Eliza drgnęła, ale nie odezwała się. Patrzyła na nią z niechęcią, której Weronika nie potrafiła zrozumieć.

— Chciałaś porozmawiać, więc mów — rzuciła odrobinę ostrzej, niż zamierzała. Uparte milczenie młodszej siostry szybko wytrącało ją z równowagi. — Jeśli znów przysłaś namawiać mnie, żebym wyniosła się od Pawła, to tracisz czas — ostrzegła.

Eliza pokiwała przecząco głową.

Więcej pomysłów nie miała. Podeszła bliżej do stołu, opierając dłonie na blacie. Czuła, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, to wybuchnie, a to nie było najlepszym rozwiązaniem. Mimo wszystko Eliza przyszła do niej i ten fakt w jakiś nikły sposób napawał ją radością. Dla niej świadczyło o tym, że ich więź nie jest do końca zaprzepaszczone. Może jednak dałoby się ją odbudować. Tego chciała. Odetchnęła głęboko. Brak wymówek ze strony Elizy sprawił, że pierwsza fala złości powoli mijała.

— Eliza, jeśli się nie odezwiesz, to nie rozmawiamy — rzekła spokojnej.

— Byłaś dzisiaj pod domem mamy — odezwała się w końcu.

Weronika zmarszczyła brwi. Natychmiast odżyły wspomnienia, zwłaszcza te związane z nieprzyjemną rozmową z policjantem.

— Tak, byłam tam — przyznała niechętnie. — Nie wchodziłam do środka, tak jak chciałaś — zastrzegła natychmiast. — Nie musiałaś nasyłać na mnie policji.

— Nie nasłałam policji — zaprzeczyła siostra.

— Oczywiście. — Weronika uśmiechnęła się krzywo. Rozsądek podpowiadał jej, aby spokojnie porozmawiać bez oskarżania i wymówek, jednak pretensje, jakie Eliza rzucała za każdym razem z tych nielicznych, kiedy się spotykały, sprawiały, że trudno było jej zachować rozsądek. — Może swojego męża też nie nasłałaś wczoraj?

Oczy Elizy powiększyły się do rozmiarów przysłowiowych spodków. Oparła się o drzwi, przy których wciąż stała, jakby za chwilę miała osunąć się po nich i zemdleć. Weronika spojrzała na nią zaskoczona. Takiej reakcji się nie spodziewała, ale natychmiast zrozumiała, że o wizycie Piotra jej siostra nic do tej pory nie wiedziała. Gdzieś bardzo głęboko w podświadomości po raz kolejny tego wieczora zapaliła jej się czerwona lampka.

W kilku szybkich krokach pokonała dzielącą je odległość. Zajrzała siostrze w oczy i

natychmiast zrozumiała.

— On cię zastrasza. — Bardziej stwierdziła, niż zapytała. Mówiła coraz szybciej: — Eliza, powiedz prawdę, nie masz się czego bać, ja ci pomogę, zobaczysz.

— O co ci chodzi? — Głos Elizy zdrzął nieznacznie.

— Piotr jest groźny. Powiedz, bije cię?

— Nie masz prawa! — oburzyła się Eliza. Na jej twarzy wykwitły rumieńce. — Piotr opiekuje się mną i chłopcami.

— To wariat! Przyznaj, ciebie też uderzył?

Eliza odwróciła się, chcąc otworzyć drzwi. Weronika była szybsza, nie pozwoliła jej na to. Zatrzasnęła wejście i chwyciła ponownie siostrę za ramiona.

— Dziewczyno, oprzytomnij, to skurwysyn!

— Nie waż się, to mój mąż! — Eliza wyszarpnęła się gwałtownie i cofnęła w głąb pomieszczenia.

— I skurwysyn do potęgi — odparła, z trudem się opanowując. Sama miała ochotę uderzyć siostrę w twarz, w celu przywrócenia jej przytomności umysłu. — I powtórzę to tyle razy, ile będzie trzeba.

Eliza z ledwością łapała oddech. Weronika postanowiła atakować, póki tamta nie potrafiła się pozbierać i znaleźć argumentów do kłótni. Miała nadzieję, że siostra uzna w końcu jej rację.

— Ten bydlak jest niebezpieczny i wiesz o tym tak dobrze, jak ja. — W oskarżycielskim geście wymierzyła palec w siostrę. — Zaatakował mnie, bije ciebie i w końcu zacznie bić dzieci. Jak mogłaś związać się z kimś takim?

Eliza tupnęła nogą, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— A co ty możesz o tym wiedzieć, panno doskonała? — rzuciła, plując. — Zostawiłaś nas i wyjechałaś żyć sobie spokojnie z dala od tego bagna.

Weronikę aż odrzuciło do tyłu. Otworzyła usta, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

— Wynos się stąd i nie wracaj już nigdy! — Eliza odepchnęła siostrę i wybiegła z piekarni, trzaskając drzwiami. Hartowane szyby wprawione w niewielkie okienko na górze skrzydła zdrząły niebezpiecznie.

Weronika patrzyła w miejsce, gdzie zniknęła Eliza.

— Mogę wejść? — usłyszała za sobą po dłuższej chwili.

Odwróciła się zaskoczona. Zupełnie zapomniała o obecności Pawła w piekarni.

Stał na schodach i patrzył na nią spokojnie, czekając najwyraźniej, aż pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Szukała w głowie jakiegoś usprawiedliwienia dla sceny, której był przed chwilą świadkiem, ale żadne racjonalne wytłumaczenie nie chciało się pojawić w skołatany umyśle.

— Przepraszam za to... — rzekła w końcu, lekko zrezygnowana.

— Nie przejmuj się.

Powoli zbliżył się do niej, wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Bezwładnie wpadła w jego objęcia.

— Będzie dobrze — mruknął uspokajająco.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że po policzkach płyną jej łzy. Skryła twarz i przez chwilę pozwoliła sobie na słabość. Płakała. Wiedziała, że sama nie poradzi sobie z tym problemem. Piotr był nieobliczalny i napawał ją strachem, a teraz zrozumiała, że był zagrożeniem też dla Elizy.

— Eliza miała rację — rzekła w końcu, gdy uspokoiła się na tyle, że była w stanie zacząć myśleć. — Nie pomogłam jej.

— Wera, przecież ty nawet nie wiedziałaś...

— Jestem jej starszą siostrą, powinnam ją chronić. To mój obowiązek.

Paweł oderwał ją od siebie i popatrzył w oczy. Na jej rzęsach osiadły krople wody, dodając spojrzeniu trochę iskier. Gdzieś w środku krył się jednak smutek tak duży, że Weronika będzie jeszcze wiele razy płakać. Nie podobało mu się to, że czuła się winna, choć w jego opinii nie powinna.

— Wera, ty nie jesteś jej matką — rzekł poważnie. — Eliza jest dorosłą kobietą. Twoim obowiązkiem nie było pilnowanie czy wychowywanie jej. Nie decydowałeś o tym, kogo Eliza miała poślubić. Jeśli chciała pomocy, to mogła o nią poprosić. Nie wiń się za to, że nie wchodziłaś z butami w jej życie.

— Powinnam częściej się odzywać. — Weronika nie ustępowała, pokręciła głową. Zaczęła rozglądać się na boki w poszukiwaniu chusteczek. Paweł wypuścił ją z objęć, kiedy ruszyła do papierowych ręczników przy zlewie. — Mogłabym coś zauważyć. Pomóc jej jakoś, wesprzeć albo chociaż przemówić do rozumu.

Paweł oparł się o stół, obserwując ją krytycznie. Nie chciała w żaden sposób uznać jego racji, nawet nie próbowała rozważyć innych opcji, czym zaczęła go irytować.

— Eliza próbowała się z tobą kontaktować? — spytał rzeczowo.

— To nie tak. — Weronika urwała kawałek papieru z rolki i wytarła policzki, po czym wydmuchwała nos i kontynuowała. — Jestem jej starszą siostrą. Powinnam jej pilnować, zwłaszcza po śmierci mamy.

— I co byś zrobiła przez ostatnie pół roku, starsza siostro? — rzucił odrobinę zbyt ostro. Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Nie chodzi o to, że coś bym zrobiła, tylko że nic nie zrobiłam — wyjaśniła, po czym pokręciła z rezygnacją głową. — Nie rozumiesz.

— Tobie nie chodzi o to, że mogłaś naprawdę jej pomóc, tylko o twoją własną satysfakcję, że nic nie można ci zarzucić — analizował, patrząc jej w oczy.

— Co?

— Chodzi ci o twoją opinię o sobie. Chcesz uchodzić za świętą? Biedna Weronika, taka dobra dla wszystkich, święta Weronika — szydził. — Może Eliza ma rację? Z Mroczyc też uciekłaś, żeby nikt nie mógł powiedzieć o tobie złego słowa.

Weronika potrząsnęła głową. W jej oczach ponownie zagościły łzy.

— Zrobisz wszystko, żeby uważali cię za idealną, Maciej też chciał wyjawić twoją tajemnicę? — wyrzucił z siebie. Wziął oddech i dopiero uświadomił sobie, co powiedział, zatrzymał się, zanim zdołał ponownie otworzyć usta.

— O co ci chodzi? — Weronika natychmiast zmieniła front. Zniknęła gdzieś rozpacz goszcząca jeszcze chwilę wcześniej na jej twarzy. Paweł potrząsnął głową, ale nie odpuściła. — Mów, o co ci chodzi.

Wahał się jeszcze przez chwilę, w końcu dał za wygraną. Przeczesał palcami włosy. Odwrócił wzrok, jakby szukając jeszcze ratunku w wejściu na schody. Wreszcie uznał, że nie warto dalej owijać w bawełnę. Był zmęczony tą kłótnią, ale ciekawiło go, jak Weronika zareaguje.

— Mówią, że to ty zabiłaś Macieja Zabudę — wyznał w końcu.

— Kto? — zapytała zaskoczona. — Pani Róża? To ona wygaduje takie rzeczy?

— Nie tylko. Już się rozniosło po Mroczycach. Dziś kilka osób o to pytało. Dlatego nie chciałem, żebyś stała przy ładzie.

— Chyba w to nie wierzysz? — zapytała szybko. Patrzyła w napięciu, oczekując, że zaprzeczy tym irracjonalnym oskarżeniom.

Paweł milczał. Próbował przekonać siebie samego, że Weronika nie mogła tego zrobić.

Przez te wszystkie lata, kiedy dorastali, poznał ją dobrze. Nigdy nie była skłonna do krzywdzenia innych. Jednak nie było jej w Mroczycach przez dekadę, to dużo czasu. Wystarczająco, aby człowiek się zmienił. Paweł, rozmawiając dziś z różnymi mieszkańcami i turystami rządymi sensacji z samego źródła, uświadomił sobie, że nie potrafił odpowiadać na ich pytania. Po prostu Weronika z tego okresu była dla niego obca. Jego pewność chwiała się w posadach. Mimo to, stojąc przed nią, z całego serca chciał jej odpowiedzieć. Nie zdążył.

— Przecież gdyby policja uważała, że to ja zabiłam, to by mnie aresztowali... — argumentowała słabym głosem.

Paweł wzruszył ramionami.

— Mówią, że nie mają dość dowodów.

— Przecież to bez sensu. Policja i tak by mnie ścigała.

— A to, co się dzisiaj stało?

Weronika odsunęła się wyraźnie zaskoczona. Przez jej twarz przemknęła panika, kiedy próbowała wymyślić na szybko usprawiedliwienie.

— Ten policjant spotkał mnie, jak poszłam do domu mamy — odparła słabo.

— I dlatego przed nim uciekałaś? — spytał rzeczowo. Jego ton był tak spokojny, że Weronika straciła chęć do dalszej obrony.

— Wystraszył mnie — przyznała bez energii. — Pytał o ojca, zaskoczył mnie.

— Wyglądało, jakbyś przed nim uciekała. Ludzie zaczęli plotkować jeszcze bardziej.

— Ludzie, ludzie — powtarzała, przykładając dłoń do czoła, coraz bardziej wytrącona z równowagi. W końcu wybuchła. — Mam dość ludzi. Tutaj potrafią tylko szkalować! Mam ich dość! Nic nie wiedzą, ja mu nic nie zrobiłam.

Weronika potrząsnęła głową.

— Wierzysz mi? — zapytała ponownie. Utkwiła w nim spojrzenie pełne nadziei. Chciała, żeby jej wierzył, jeśli on był po jej stronie, nikt więcej nie musiał. Nie miała jednak zamiaru uginać się i błagać go o wsparcie.

Spojrzał na nią. Drobna, filigranowa, ale o silnej woli. Taką ją pamiętał, nie tylko jako dziewczynkę ze zdjęcia wiszącego nad ladą, ale też później. Zawsze była silna, mówiła, co myśli i broniła swoich przekonań. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek usłyszał od niej kłamstwo. Tak było aż do dnia studniówki, kiedy sam ją złamał. To był pierwszy raz, gdy wydawało mu się, że kłamała. Prosiła i błagała, żeby zostawił ją w spokoju, żeby przestał, a on uważał, że to tylko jej kobieca zagrywka. Zrobił, co chciał, bo była za słaba, żeby go powstrzymać. Kiedy skończył, po raz pierwszy w życiu zobaczył ją jako kobietę pokonaną i to złamało jego serce.

Czekał dekadę na okazję, żeby jej to wynagrodzić, i czuł, że teraz właśnie nadeszła. Przez głowę przebiegła mu myśl, że jeśli tego szybko nie zrobi, Weronika znów zniknie, zawiedziona. To go przeraziło. Sprawilo, że serce na ułamek sekundy stanęło, żeby chwilę później ruszyć dwukrotnie szybciej, przyspieszając oddech i powodując szum w uszach.

— Tak, wierze ci — odparł wreszcie.

Weronika odetchnęła z ulgą. Nieznaczenie chwyciła mocniej krawędź blatu. Dopiero teraz zauważył, w jakim napięciu była, jak bardzo zależało jej na jego opinii. Nieśmiało w jego sercu zagościła radość.

— Chcesz wiedzieć, co się wtedy stało? — spytała po chwili.

Paweł drgnął. Tego pytania się nie spodziewał.

— Byłam tam tej nocy, kiedy zginął ojciec — przyznała. — Spotkałam się z nim i widziałam wszystko.

— Jak to widziałas? — Nie rozumiał, do czego dążyła.

— Widziałam, z kim spotkał się później, jak odeszłam.

— I nie powiedziałaś policji?

Oparła się biodrem o stół. Wyglądała na zmęczoną i starszą o dziesięć lat. Oplotła rękoma piersi, jakby zrobiło jej się nagle zimno. Przez długą chwilę biła się z myślami. Nawet teraz, kiedy zdecydowała się otworzyć przed nim, pozostawał w niej opór, który trudno było przezwyciężyć. Prawda okazała się dla niej trudniejsza, niż sądziła. Paweł nie ponaglał, czekając cierpliwie, aż pokona ostatnie bariery.

— Nie mogłam. — Jej wzrok uciekł gdzieś w bok. — Nie potrafiłam tego zrobić.

— Jak to nie mogłaś? — Paweł nie dowierzał w to, co usłyszał. Dla niego to było irracjonalne. — Wera, mówisz, że widziałaś morderstwo i nie powiedziałaś o tym policji. Mogą cię oskarżyć o współudział.

— Czy możemy gdzieś usiąść? — spytała błagalnie. Odetchnęła głęboko, zanim kontynuowała. — Czuję się słabo. Muszę usiąść.

— Tam jest taboret. — Wskazał mebel przy długim stole, gdzie leżały kosze przygotowane na wypieki następnego dnia.

Weronika odwróciła się. Jej wzrok spoczął na dwóch wysokich taboretach, później płynnie ruszył dalej — obejrzała ściany, okno wychodzące na podwórze i wreszcie dotarła do Pawła stojącego wciąż przed nią.

— A możemy stąd wyjść? Pójść na górę?

— Jeśli chcesz — odpuścił wreszcie.

Pokiwała głową. Najwyraźniej bardzo tego potrzebowała. Natychmiast ruszyła w stronę schodów. Poczekaj, aż go minęła i podążył za nią bez słowa. Ciekawość tego, co ma do powiedzenia, aż paliła go od środka. Tymczasem Weronika wciąż wahała się, próbując oddalić nieuchronny moment, przeciągając chwilę jak najdłużej. Po schodach szła jak na stracenie, coraz wolniej i wolniej. Paweł o mało nie nadepnął jej na piętę, kiedy prawie zatrzymała się w miejscu, trzy stopnie przed podestem na piętrze. Gdyby nie stał tuż za nią, odwróciłaby się i uciekła jak najdalej.

Wreszcie weszła do mieszkania. Nie dane mu było jednak wysłuchać tajemnic. Weronika od razu skierowała się w stronę kuchni. W milczeniu nalala wody do czajnika elektrycznego i włączyła go. Przygotowała dwa kubki oraz herbatę, nie pytając go nawet, czy ma na nią ochotę.

Paweł postanowił uzbroić się w cierpliwość. Usiadł na kanapie w salonie tak, aby mieć widok na krzątającą się dziewczynę. Najchętniej poszedłby i przyspieszył jej przygotowania, byle tylko szybciej dowiedzieć się, co się stało. Weronika potrzebowała jednak czasu, aby oswoić się z myślą o podzieleniu się tajemnicą. Prawdopodobnie widziała, jak ktoś zamordował jej ojca i z jakiegoś powodu nie chciała nikomu wyjawić, kto to był. Woda szumiała w czajniku, a Weronika nie odwróciła się do Pawła ani razu.

W końcu zalała aromatyczny napój gorącą wodą. Zabrała kubki i łyżeczki, choć żadne z nich nie słodziło. Postawiła jeden na ławie przed Pawłem, drugi przed sobą. Łyżeczki ułożyła dokładnie na środku między nimi, wyznaczając granicę.

Usiadła w fotelu, podwinęła stopy do góry. Dokładnie w momencie, gdy uwierzył, że nic mu nie powie, Weronika się odezwała. Jej opowieść popłynęła powoli, wracając ich do nocy sprzed kilku dni.

*

Rąbanka przysiadł na blacie biurka, po czym natychmiast wstał i ruszył w obchód po pokoju. Robił tak od dobrych trzech godzin. Obserwujący go Ząbek był pewien, że przeszedł już dobre dziesięć kilometrów. W myślach obstawiał, ile jeszcze wytrzyma. Na twarzy Rąbanki malowało się rosnące zniecierpliwienie.

Po raz kolejny zrobił rundkę od drzwi do biurka, trzymając w ręce plik kartek. Na każdej z nich było powiększenie jednej rzeczy, jaką technicy znaleźli nad jeziorem. Żadna jednak nie pasowała dostatecznie do historii, którą wymyślił.

Prócz śladów damskich butów na obcasie w pobliżu pomostu nie miał nic, co poparłoby jego teorię. Co więcej, po rozmowie z Piotrem Zweissem jego entuzjazm przygasł jeszcze bardziej, kiedy patolog potwierdził, że ciosu w głowę Macieja Zabudy nie mogła zadać kobieta. Zwłaszcza tak niska i wąła, jak Weronika Zabuda. Oczywiście mógł to zrobić mężczyzna, jej współnik, o ile był wyższy od niej o dobre dziesięć, może piętnaście centymetrów. Po tej informacji Rębak zastanawiał się chwilę, próbując przypomnieć sobie Pawła Wronę. Kiedy stał przy Weronice, nie był od niej wyższy więcej niż pół czoła. Dawało to jakieś osiem centymetrów. Od biedy można go wpisać na listę podejrzanych. Nie potrafił jednak dopasować go do żadnych konkretnych śladów z miejsca zbrodni. Do tego kilku świadków zeznało, że widzieli otwartą piekarnię w czasie śmierci Zabudy, więc Paweł nie mógł pomagać Weronice. Odciski Weroniki też nie pojawiały się w bezpośrednim sąsiedztwie pomostu czy wody, choć w tym wypadku część winy ponosili oni sami. Po wezwaniu policji na miejsce większość śladów została doszczętnie zdeptana podczas prób wyciągnięcia ciała na brzeg. Lokalni policjanci po prostu nie myśleli podczas prowadzenia akcji. Przynajmniej w to wierzył Rębak i doprowadzało go to do furii.

— Jak na karuzeli w objazdowym, wesołym miasteczku — jęknął cicho Ząbek, czując, że od chodzenia w kółko podkomisarza zaczyna go chwilami mdlić.

— Zamknij się, nie pomagasz — warknął Rąbanka. Odłożył jedno ze zdjęć i ruszył w stronę drzwi, wpatrzony w pozostałe.

— A może ona wcale tego nie zrobiła? — zasugerował nieśmiało Ząbek, kiedy Rębak minął go w drodze do biurka. Aby trochę urozmaicić sobie czas, w myślach liczył kolejne okrążenia. Później zmierzy długość pokoju i dowie się, czy Rąbanka pobił rekord tego sportowca w chodźdarstwie. Właściwie jak nazywał się ten sportowiec od łożenia? — zastanawiał się. — Chodźdarz... Chod... Chodakowski. Potrząsnął gwałtownie głową. Nie, Chodakowska była od czego innego, pamiętał jednak, że jako dzieciak podziwiał, że facet potrafił tak kręcić biodrami i krzywdy sobie nie zrobił. Kiedy ciotka Miła chciała zaimponować wujowi Irkowi swoim chodem, przez pół roku leczyli ją na panewkę stawową. Przynajmniej tak mówiła matka. Dla Ząbka panewka ciotki była zbawieniem, dwa razy w tygodniu jeździli do Poznania. Miasto, to było coś. Tam do woli mógł oglądać na ulicach najnowsze modele aut, a na każdym rogu był sklep. Tu na miejscu sklep mieli w zasadzie jeden, a drogich samochodów jak na lekarstwo. Kto miał wóz, ten wolał mieszkać z dala od miasteczka.

— Korzeniowski — przypomniał sobie wreszcie zadowolony z siebie. Poniewczasie uświadomił sobie, że powiedział to głośno.

— Co? — warknął Rąbanka, mijając go po raz kolejny.

— A nic, tak tylko sobie... — Posterunkowy zsunął się z krzesła, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Rębak zawrócił przy drzwiach i skierował się do biurka.

— Rusz wreszcie do cholery łbem, Ząbek — rzucił podkomisarz, wyraźnie zniecierpliwiony. — Jeśli nie potrafisz choćby myśleć, to przynieś mi przynajmniej kawę.

— Tak jest.

Chłopak zerwał się natychmiast i zniknął z pomieszczenia z wyraźną ulgą. Rębak podszedł do biurka i rzucił papiery na blat. Nie potrafił złożyć tego do kupy. Wiedział, że ma w zasięgu ręki wszystkie elementy układanki. Usiadł przy swoim biurku i przyjrzał się fotografiom. Ślady stóp, krzaki, porzucone i zniszczone paczki papierosów.

Nic. Kompletnie nic. W końcu odrzucił wszystko z niechęcią. Zaczynał wierzyć, że

zsyłka do tej miejsciny przytępiła mu zmysły. Nie zdołał znaleźć rozwiązania.

Ząbek wrócił w pośpiechu, ale bez kawy.

— Kurwa, Ząbek, nawet to cię przerosło?

— Tak... to znaczy nie — zapewnił młody. — Tylko komendant... wzywa.

Rąbanka wstrzymał oddech, żeby nie rzucić wiązką przekleństw. Nie miał do przedstawienia żadnych efektów pracy, a to z pewnością nie będzie wyglądało dobrze.

— Teraz? — upewnił się.

— Natychmiast. — Ząbek pokiwał intensywnie głową.

Rębak podniósł się powoli z krzesła. Naprawdę nie miał ochoty na to spotkanie, ale wiedział, że go nie uniknie. Jeśli nie w tej chwili, to później, jednak wtedy Bierczyński będzie jeszcze bardziej rozeźlony, że musiał czekać.

Włożył ręce do kieszeni, jego palce wyczuły coś twardego. Wyciągnął to zaskoczony. Napoczęta paczka gumy do żucia. Bardziej spodziewałby się zapalniczki, zupełnie zapomniał o tym, że jeszcze niedawno rzucał palenie. Wyłuskał gumę i włożył ją do ust. Resztę schował do kieszeni, a po chwili wahania wrócił na krzesło. Z najniższej szuflady kontenerka przy biurku wyciągnął zapomnianą paczkę papierosów. Podejrzewał, że po wizycie u komendanta będzie jej potrzebował. Dopiero tak przygotowany, z rękoma w kieszeniach spodni, ruszył do wyjścia. Ząbek cierpliwie stał przy drzwiach, nasuwając myśl o psie czekającym na spacer.

— Znajdź wreszcie tę kawę, Ząbek — rzucił, mijając chłopaka.

— Robi się — odparł posterunkowy, choć po twarzy widać było, że miał ochotę wybrać się do Bierczyńskiego razem z nim.

Rafał skierował się do gabinetu swojego szefa. Drzwi były zamknięte i po raz ostatni przysłała mu ochota, aby niepostrzeżenie wyjść z komisariatu, przejść się i pomyśleć. Nadal wierzył, że rozwiązanie można wychodzić. Potrzebował tylko dość długiego spaceru, żeby dojść do rozwiązania.

Zapukał do drzwi i wszedł, zanim usłyszał zaproszenie. Witold Bierczyński siedział za biurkiem dokładnie tak samo jak ostatnim razem. Można było uwierzyć, że od poprzedniej rozmowy nie ruszył się stąd ani na krok.

— Siadaj, Rębak — rzucił komendant, wskazując drugim podbródkiem krzesło przed sobą.

Odczekał, aż podkomisarz zajął miejsce. Dopiero wtedy przerzucił coś w papierach. Przyjrzał się jakiejś kartce. Rębak był pewien, że stary trzymał ją tylko po to, aby wyglądać bardziej poważnie.

— Jak postępy z dochodzeniem?

— Przesłuchaliśmy potencjalnych świadków, niektórzy...

— Ja się nie pytam o szczegóły — przerwał mu komendant — tylko o wyniki.

— Nie mamy jeszcze sprawcy, jeśli o to panu chodzi. — Rębak położył ręce na oparciu krzesła. Musiał uzbroić się w cierpliwość, której nie posiadał, jeśli chciał przetrwać tę rozmowę.

— To za co ci płacą?

— Za jego szukanie.

Bierczyński o mało się nie zapowietrzył. Rębak patrzył, jak przełożony robi się błądy niczym świeży śnieg, a na jego pucolowatych policzkach o dwudniowym zarostie pojawiają się czerwone plamy. Był pewien, że stary dostanie zawału. Byłoby mu to na rękę, nie musiałby więcej się tłumaczyć.

Chwilę trwało, nim Bierczyński opanował się na tyle, żeby wydobyć z siebie głos. Zgromił go spojrzeniem, które z pewnością każdego miejscowego policjanta przyprawiało o mdłości ze strachu. Dla byłego detektywa nie miało jednak większego znaczenia. Już dawno

przestał się przejmować takim małomiasteczkowym komendantem jak Bierczyński, nawet jeśli ten był formalnie jego przełożonym.

— Zebrało ci się na żarty? — warknął komendant.

— Nie.

— To powiesz mi może, dlaczego się, kurwa, obijasz?

— Nie obijam się — odparł Rębak spokojnie. — Zbieram dowody i próbuję znaleźć sprawcę.

— Dlaczego tego jeszcze nie zrobiłeś?

— Na to potrzeba czasu, na razie nikt nie przyszedł i nie przyznał się do morderstwa z czystej uprzejmości — wyjaśnił. Twarz Bierczyńskiego znów zaczęła się zmieniać. Rębak zastanawiał się, ile tamten wytrzyma, zanim pęknie mu jakaś żyła.

— A ja słyszałem, że ktoś przyszedł i podał mordercę na tacy. — Komendant z uśmiechem satysfakcji odchylił się na krześle. Mebel jęknął, ale i tym razem udźwignął ciężar.

Rębak popatrzył na przełożonego z lekkim zdziwieniem. Nie spodziewał się tego, że stary jest tak dobrze obeznany z tematem. Musiało mu naprawdę zależeć na wykazaniu się przed prokuraturą, skoro osobiście nadzorował postępy. No i ktoś musiał dostarczać mu raporty oraz dokumenty. Stawiał na Ząbka — jako najmłodszy pewnie chciał się wykazać przed komendantem. Rąbanka zastanawiał się tylko, który z nich dwóch pierwszy dostawał od posterunkowego informacje.

— To tylko podejrzenia.

— Masz świadka, który widział tę... — Bierczyński zajrzał do dokumentów leżących na biurku. — Weronikę Zabudę, jak rozmawiała z ofiarą, a chwilę później facet nie żył. To chyba oczywiste, co się stało.

— Świadek twierdził, że widział Weronikę Zabudę idącą w kierunku jeziora, a nie rozmawiającą z ofiarą. Choć to prawda, jej ślady prawdopodobnie są w okolicy miejsca zbrodni — przyznał Rębak. Pochylił się lekko, a łokcie oparł na kolanach. Mimo że sam chętnie poszedłby tą ścieżką myślenia, wiedział, że w żadnym sądzie tego nie wybroni. — Patolog twierdzi, iż Zabuda dostał ciężkim kamieniem. Ta kobieta nie byłaby w stanie go tak uderzyć.

— Więc nie była sama. Kurwa, Rębak, czy ja muszę wszystko za ciebie robić? Ty byłeś w wojewódzkiej detektywem czy dupą do najęcia? — Bierczyński prawie opluł się z wrażenia.

Rębak zacisnął usta, próbując z całych sił zachować przytomność umysłu. Szczęka chodziła mu z wściekłości. Po raz pierwszy od dawna znów mógł pracować przy śledztwie, jeśli teraz rzuci się na komendanta, to będą jego ostatnie chwile w policji, pewnie i na wolności. Chcąc doprowadzić sprawę do końca musiał to znieść. Policzył w myślach do dziesięciu. Nie pomogło, ale przynajmniej próbował. Skupił się więc na odpowiedzi.

— Nie wiadomo, z kim była — wycedził przez zęby.

— Z Pawłem Wroną, to oczywiste.

Rębak odchylił się z powrotem na oparcie krzesła. Chciał, żeby to była prawda, jednak nie potrafił tego udowodnić. Paweł miał otwartą piekarnię do wieczora, jak zwykle. Rębak nie znalazł nikogo, kto potwierdziłby, że chłopak znajdował się w okolicy jeziora w odpowiednim momencie. Z drugiej strony nosił sportowe buty. Mogły zostawiać ślady podobne do tych, które technicy wyłapali w pobojowisku nad jeziorem. Skrzywił się z niesmakiem. Teoria na pierwszy rzut oka była możliwa, ale nadal coś mu w tym nie pasowało.

— Po co miałby dla niej zabijać? — wąpił Rębak.

— To ty nie wiesz? — obruszył się komendant. — Wrona jest w dziewczynie zakochany i to od dzieciaka. Jak wyjechała dziesięć lat temu, o mało nie popełnił samobójstwa. Dla takiego wystarczy jedno słowo i zrobi dla baby wszystko.

Rębak rozluźnił się odrobinę. Zastanawiał się przez chwilę.

— Ząbek rozmawiał z kimś z kawiarni po drugiej stronie placu — rzekł w końcu, przypominając sobie jeden z raportów. — Widzieli, że piekarnia była otwarta w czasie morderstwa Zabudy.

— Gównu mnie to obchodzi — warknął nagle Bierczyński. Rębak spojrział na niego zaskoczony. — Masz ich aresztować i tyle.

— Za co? — spytał odruchowo.

— Przecież nie za seks w miejscu publicznym, kurwa. — Komendant pochylił się, napierając na biurko jak lodołamacz. — Za zamordowanie Zabudy.

— To się nie utrzyma...

— To też mnie gównu obchodzi. Masz ich zamknąć i napisać raport dla prokuratora i to jeszcze dziś.

Rębak otworzył ponownie usta, aby zaprotestować. Nie chciał robić z siebie idioty. Bierczyński podniósł rękę w uciszającym geście.

— Wykonać — warknął i uniósł lekko głowę.

Jego spojrzenie nie znosiło sprzeciwu i wskazywało jasno, że uważa rozmowę za zakończoną. Rębak wstał z krzesła i bez słowa wyszedł z gabinetu na korytarz. Trzasnął drzwiami. Rozejrzał się wokół, szukając czegoś, na czym mógłby się wyżyć. Trafiło na metalowy śmietnik, oszczędzając kombajnową drukarkę stojącą obok. Jednym kopniakiem posłał pojemnik w powietrze, co nie pomogło, więc wałnął pięścią w ścianę. Dopiero ból w ręce odrobinę otrzeźwił umysł. Puścił jeszcze wiązaną przekleństw.

Sekretarka w drugim pokoju za drzwiami na chwilę przestała stukać w klawiaturę, przez co scena została nagrodzona minutą ciszy. W końcu stukot rozległ się na nowo. Rąbanka wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Skierował się w stronę wyjścia. Co prawda mieli w budynku pomieszczenie dla palących — niewielką szklaną klatkę przypominającą akwarium dla onanisty, ale nie wchodziła w grę. Potrzebował więcej miejsca i powietrza. Wyszedł przed budynek na parking. Tu kręciło się więcej ludzi, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Gumą, którą do tej pory żuł, splunął na trawnik.

Przetrzęsął kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Rzucanie palenia sprawiło, że zapominał o naturalnych, wypracowanych latami odruchach, jak ten, gdzie zostawiał zapalniczkę. Szybko okazało się, że w żadnej z kieszeni jej nie było. Zabrał tylko papierosy.

— Kurwa mać! — warknął. Przechodząca po drugiej stronie drogi kobieta obejrzała się za nim. Rzuciła pogardliwe spojrzenie i przyspieszyła.

Rozeźlony zawrócił do budynku. Po schodach na piętro przeskakiwał po dwa stopnie. O ile się nie mylił, jakąś zapalniczkę powinien mieć w biurku.

Zatrzymał się gwałtownie w korytarzu w połowie drogi. Kątem oka zauważył Ząbka w pokoju socjalnym. Posterunkowy właśnie wlewał wrzątek do kubka.

— Ząbek! — huknął, wpadając do pomieszczenia.

Posterunkowy drgnął zaskoczony. Czajnik wałnął się w jego dłoni, a gorąca woda rozlała szerokim strumieniem po laminowanym blacie i skapywała na podłogę.

— Dżizu! Cholera. — Ząbek powiódł smutnym wzrokiem po pobojowisku, po czym spojrział na Rębaka.

— Co ty wyprawiasz?

— W zasadzie... — Popatrzył zdezorientowany na stół. Odstawił czajnik i rozejrzał się bezradnie za ścierką. — Kawę robiłem — wyjaśnił, wskazując kubek.

— Ja nie o to, kurwa, pytam.

Ząbek najwyraźniej nie rozumiał.

— Długo będziesz tak stał? — warknął do niego.

Posterunkowy bez słowa kiwnął głową i z wyrazem ulgi chciał wyjść.

— Czekaj. — Ząbek posłusznie stanął w miejscu. Teraz przypominał dobrze tresowanego psa. Rębak odetchnął głęboko. Jeśli chciał z młodym porozmawiać, musiał chyba być delikatniejszy. — Chyba tego, kurwa, tak nie zostawisz?

Ząbek wrócił do blatu, rozejrzał się w panice. Ze sterty pojemników i naczyń ustawionych przy zlewie po przerwie obiadowej pracowników wydobył starą ścierkę. Chwiejny stos osunął się do środka z rumorem. Posterunkowy zawahał się, czy go nie ratować, ale w końcu zrezygnował. Zabrał się za ścieranie przestygłej wody.

Rębak przewrócił oczami. Był pewien, że gdyby ktoś z boku ich obserwował, jego opinia ległaby w gruzach. Nikt mu nie powie, że nie ma do Ząbka cierpliwości. Nikt.

— Dawales staremu raporty — stwierdził. Nie musiał pytać, bo zachowanie posterunkowego świadczyło samo o sobie.

Ząbek odłożył ścierkę na stertę w zlewie i potarł w milczeniu kark, po czym schował ręce do kieszeni. Przez chwilę walczył ze sobą, obserwując wszystko z wyjątkiem Rąbanki. Ten o mało nie wyszedł z siebie, zanim uzyskał jakąkolwiek odpowiedź.

— Tak. Dawalem, ale tylko ze sprawy Zabudy — zaznaczył, uznając, że owijanie w bawełnę nic nie da. Po wizycie u Bierczyńskiego, Rębak i tak już wszystko wiedział, a czego nie wiedział, to się domyślił.

— Wszystkie?

— Wszystkie.

— Skurwysyn — stwierdził krótko.

Ząbek nie odpowiedział. Właściwie nie miał wyjścia, musiałby przytaknąć, a na to nie miał odwagi. Całą już wykorzystał na przyznanie się. Nie wyglądał też na urażonego. Przyjmował informacje na spokojnie. Chociaż... Rębak zmierzył go wzrokiem. Pięści skryte w kieszeniach zaciskały się nerwowo. Były detektyw pokiwał powoli głową. Młody i tak miał jaja, że przyznał się otwarcie. Inni szliby w zaparte, ale Rębak już jakiś czas temu zauważył, że Tomek jest może gamoniowaty, ale za to szczerzy. Można było mu to przypisywać na plus.

W sumie nie było co się dziwić. Rąbanka doskonale wiedział, jaką ma opinię na komisariacie. Sam starał się ją podtrzymać od samego początku, dzięki czemu inni trzymali się od niego z daleka i nie zawracali głowy. Ząbek nie miał wyjścia, został mu przydzielony. To naturalne, że obrał bezpieczną drogę i współpracował z komendantem. Tylko nie wyglądał mu na takiego, który donosi z własnej woli.

Milczenie trwało dłuższą chwilę.

— Dlaczego? — spytał w końcu Rafał.

Ząbek wzruszył ramionami zrezygnowany.

— Bierczyński wydał mi taki rozkaz — odparł.

— Kto pierwszy dostawał informacje?

Ząbek zmrugał oczy. Po raz pierwszy spojrzął Rąbance w oczy.

— To chyba, kurwa, oczywiste, że ty.

Rębak powoli pokiwał głową.

— Nie rób tego nigdy więcej. — Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nie docenił Ząbka.

Eliza wstała wcześniej niż zwykle. Wcale tego nie planowała, ale nie mogła zasnąć i w końcu uznała, że dalsze leżenie w łóżku nie ma najmniejszego sensu. Całą noc spędziła na rozmyślaniu. Najwięcej o swoim małżeństwie. Po tej jednej nocy nie potrafiła zrozumieć własnego postępowania z ostatnich sześciu lat. Nie mogła też uwolnić się od myśli, że cała ta sytuacja z Piotrem to jej wina. Na wielu płaszczyznach. Nie chodziło tylko o sprostanie jego oczekiwaniom jako żona i matka jego dzieci. Próbowwała zrozumieć, jak mogła pozwolić na to, żeby ktoś znęcał się nad jej dziećmi. Walczyła ze skrajnymi myślami tak długo, aż poczuła się zupełnie wyczerpana. Wstała i w odruchu normalności zaczęła przygotowywać śniadanie dla bliźniaków.

Piotr nie wrócił na noc. Cieszyła się z tego, choć podejrzewała, że zjawi się najdalej po pracy. Skruszony, może z kwiatami, prosząc o pojednanie. Tym też już czuła się zmęczona. Bała się, że jak tylko zacznie ją przeproszać, ulenie mu, jak ulegała setki razy wcześniej. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego, po prostu za każdym razem w swoich przeprosinach Piotr brzmiał wystarczająco wiarygodnie. Był jak lekarz, któremu wierzy się, choćby opowiadał największe kłamstwa, na przykład człowiekowi śmiertelnie choremu wmawiałby, że wszystko będzie dobrze.

Nigdy nie było lepiej. Za każdym razem było gorzej. Weronika miała rację. Choć Eliza nigdy nie przyznałaby się do tego głośno, też uważała, że następni mogą być chłopcy. To, co się stało wczoraj, było tego najlepszym dowodem. Piotr nie panował nad swoją wściekłością, a Adaś i Kajo byli coraz więksi. Mogli już chcieć bronić jej przed ojcem. Wtedy nie będzie mogła im zagwarantować bezpieczeństwa. Co, jeśli następnym razem staną w jej obronie, a on zacznie ich bić albo kopać tak, jak ją?

Nie chciała nawet myśleć o takiej możliwości. Poza tym, co była z niej za matka, skoro nie potrafiła obronić własnych dzieci przed agresywnym człowiekiem. Nawet jeśli był to ich rodzony ojciec. Nie chciała też, by chłopcy tak postrzegali Piotra. Do tej pory wydawało jej się, że dobrze ukrywała sytuację, że żaden z nich nie zauważał tego, co działo się między nią a Piotrem. Jako rodzice dla dzieci mieli być wzorcem, parą doskonałą, taką, która kocha się bezgranicznie i daje dobry przykład. Nie potrafiła zrozumieć, w którym miejscu zawiodła i kiedy chłopcy zauważyli, co się działo. A może tylko ona była naiwna, sądząc, że niczego się nie domyślają, jak widzą matkę zastraszoną i posiniaczoną?

Po całej nocy rozmyślań zdecydowała, że musi coś zrobić. Nie wiedziała jeszcze tylko co. Była pewna, że nie może zostawić spraw losowi.

Wyjazd z dziećmi nie wchodził w grę. Chłopcy co prawda byli mali i dopiero zaczynali szkołę, więc szybko zasymilowaliby się w każdym miejscu, jednak Piotr wielokrotnie groził jej, że nie pozwoli zabrać sobie dzieci. Jeśli chciała uciekać, musiałaby to zrobić sama, a tego z kolei nie brała zupełnie pod uwagę.

— Mamusiu, zjemy śniadanie? — Adam stał w progu, przecierając oczy piąstką.

Eliza wyrwana z potoku myśli potrzebowała chwili na wrócenie do rzeczywistości. W ręce dzierżyła od jakiegoś czasu chleb i plaster sera. Tym razem chłopcy wstali sami, bez oporu. Mogła być tym zaskoczona, gdyby nie to, jak syn na nią patrzył. Uśmiechnęła się do niego pogodnie. Choćby nie wiem co, musiała zapewnić im poczucie bezpieczeństwa. To był priorytet, o resztę pomartwi się później.

— Umyjcie się i przebierzcie.

— Możemy dzisiaj dostać drożdżówki do szkoły?

— Ale ja już zaczęłam szykować... — zająknęła się.

— Możemy? Proszę. — Adaś zrobił błagalną minę.

— No dobrze. — Dała za wygraną. — Kupimy po drodze, ale macie zjeść teraz całe śniadanie.

— Super.

Adaś wybiegł z kuchni całkowicie rozbudzony, Eliza natomiast porzuciła myśl o kanapkach i pochowała składniki. Zamiast tego wyciągnęła z lodówki kilka owoców. W ostateczności może uda jej się namówić bliźniaki, żeby je zjedli, choć szczerze w to wątpiła.

Przygotowała im płatki na mleku i zapakowała po soku do każdej torby. Jakimś cudem byli gotowi prawie kwadrans wcześniej niż zwykle. Ulokowała synów w samochodzie bez protestów, co przyjęła raczej z ulgą. Drożdżówki kupiła po drodze w supermarkecie. Nie miała odwagi iść do piekarni, gdzie mogła spotkać Weronikę.

W drodze obserwowała bliźniaki we wstecznym lusterku. Cisza, jaka zaległa z tyłu samochodu, niepokoiła ją, jakby oznaczała coś strasznego. Adaś i Kajtek szeptali zapamiętałe, omawiając najwyraźniej bardzo ważną tajemnicę. Eliza uśmiechnęła się do siebie. Po wczorajszym wieczorze i tak zachowywali się dobrze. Nie płakali, nie reagowali nerwowo, uznała więc, że może trochę przesadziła. Byli bardziej odporni, niż sądziła, i może nie będzie musiała martwić się, że zafundowała im traumę na całe życie.

Wysadziła ich pod samą szkołę. Natłok samochodów sprawił, że nie miała wiele czasu, żeby się z nimi pożegnać, zdążyła zaledwie rzucić w ich stronę, że odbierze ich jak zwykle i żeby poczekali na nią. Kajtek kiwnął głową i zawołał coś, co mogło być zarówno potwierdzeniem przyjęcia wiadomości, jak i powitaniem kolegi, który wysiadał z samochodu obok. Nie było sensu się upewniać. Wrzuciła bieg, mignęła światłem i ustąpiła miejsca kolejnemu, zniecierpliwionemu rodzicowi.

Powoli pojechała dalej, zastanawiając się nad planem dnia. Zwykle robiła to wieczorem, ale po ostatnich przeżyciach zupełnie wyleciało jej to z głowy. Zastanawiała się, czy miała umówionych klientów. Niejasne przecucie podpowiadało, że tak, choć pamięć wiele razy okazywała się zawodna. Eliza przestała jej wierzyć.

Zajechała pod swój gabinet. Niewielki budynek blisko rynku spokojnie można było określić jako centrum Mroczy. Eliza wynajmowała duże pomieszczenie przerobione kiedyś z garażu na przestronne, otwarte wnętrze. Urządziła tu niewielki salon, w zupełności wystarczający na potrzeby lokalnych mieszkańców. Do domu miała co prawda kilkanaście kilometrów, ale Dębinka okazała się za mała dla takiej usługi. Kilka niewielkich kompleksów domów jednorodzinnych i szeregowych nie dawały na razie możliwości rozwoju, a do Mroczy było za daleko, żeby z kolei ci mieszkańcy chcieli wybrać się w taką drogę.

Eliza otworzyła zakład pięć lat temu. Umiarkowana liczba klientów dawała możliwość utrzymania przedsięwzięcia i niewielki zysk, który zwykle przeznaczali na wyjazd wakacyjny w jakieś cudowne miejsce. Eliza spokojnie mogłaby wyrabiać więcej, tym bardziej, że Mroczyce rozrastały się przez ostatnie dwa lata dość intensywnie, dokładnie od kiedy szybka trasa do Poznania umożliwiła deweloperom dobrą reklamę tanich domków z komfortowym dojazdem do dużego miasta. Od kiedy zaczęli napływać nowi mieszkańcy, Eliza czuła, że jej mały zakład robi się coraz bardziej tłoczny. Mimo to Piotr nie chciał się zgodzić, aby pracowała więcej. Jej priorytetem miało być dbanie o dom. Jeśli zostawało jej trochę czasu na pracę poza nim, mogła robić, co jej się podobało. Nie miała jednak prawa na zaniedbywanie roli wzorowej żony.

Eliza zaparkowała na brukowanym podjeździe. Szara bryła z dużym przeszkleniem ładnie komponowała się z zielenią tui, wyznaczając koniec miniaturowego parkingu. Zostawiła samochód i weszła do środka. Zdążyła odstawić torebkę, kiedy rozdzwoniła się komórka.

— Dzień dobry, pani Elizo — zaszczębiotała kobieta w słuchawce. — Tu Elżbieta Rybka,

byłam umówiona na dziewiątą, chciałam tylko powiedzieć, że się spóźnię dziesięć minut...
Straszne korki...

— Dzień dobry, nie ma problemu, poczekam.

Kobieta się rozłączyła. Eliza poparzyła na słuchawkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Nie dość, że zupełnie nie pamiętała, żeby umówiła się na spotkanie, to jakoś nie mogła sobie przypomnieć, gdzie w okolicy można natknąć się na korki.

Pokiwała głową rozbawiona. Może w dużych miastach takie usprawiedliwienie by przeszło, ale w miejscowości takiej jak Mroczyce od razu wiało kłamstwem. Dla Elizy nie miało to jednak znaczenia. Liczyło się to, że klientka zjawi się już za kilka minut, więc musiała szybko przygotować stanowisko.

Pozapalała światła i sprawdziła w notesie, upiększanie jakiej części ciała pani Rybka planowała na ten dzień. Okazało się, że to tylko nudne hybrydy. Eliza miała w perspektywie trzy godziny gadania o niczym. Sprzątnęła trochę, poustawiała nowe produkty w witrynie, z nadzieją, że ładnie wyglądające kosmetyki skuszą klientki. Właśnie kończyła przygotowywać stolik, kiedy w drzwiach stanęła pani Elżbieta Rybka.

Dopiero teraz Eliza przypomniła sobie kobietę z dwóch wcześniejszych wizyt. Istotnie była nowym nabytkiem Mroczyce z kompleksu domków jednorodzinnych niedaleko lasu po wschodniej stronie jeziora.

— Dzień dobry, pani Elizo — przywitała się radośnie platynowa blondynka i natychmiast opadła na krzeselko. Wielką jak namiot torbę rzuciła obok na podłogę.

— Dzień dobry, pani Elu. — Eliza uśmiechnęła się. Zlustrowała kobietę i swoim starym zwyczajem wytypowała kolor lakieru. Elżbieta miała na palcach *Pink Bang*, odcień różowego wpadającego w kolor, który większość ludzi nazwałaby „Barbie”, ale po białym futerku na ramionach i jasnej, wełnianej sukience pod spodem Eliza stawiała, że tym razem klientkę powinien zadowolić pudrowy róż. Ze stojaka wystawiła na blat lakier o wdzięcznej nazwie *Little Rose*. Po chwili wahania dostawiła jeszcze jeden z kryształkami, uznając, że w ostateczności nie zaszkodzi trochę ekstrawagancji.

Ela paplała coś o braku śniegu, zimnie i strasznej kotłowninie przed szkołą, a Eliza skupiała się głównie na zdjęciu poprzedniego manicure'u.

— Pani wie, co tam się dzieje — mówiła kobieta, machając konfidencjonalnie ręką, na którą akurat Eliza próbowała nałożyć żabki. — Totalny armagedon, ale nie ma co pani tłumaczyć, pani Elizo, w końcu pani też ma dzieci, prawda?

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Dwóch synków.

— No właśnie, ale parking przed szkołą powinni przebudować, bo jak odwozić dzieci? Nie ma gdzie stanąć. Moja Zosia ma osiem lat, jest za mała, żeby puszczać ją samopas przez parking, a jak coś się stanie? Tam tyle samochodów! I nie ma gdzie się totalnie zatrzymać, żeby zaprowadzić dziecko. Z tym muszą coś zrobić!

Eliza przytaknęła, choć dla niej parking przed szkołą miał takie samo znaczenie jak brak śniegu — praktycznie zerowe. Co prawda, po takiej tyradzie, gdzieś w podświadomości obudził się niechciany głos, że może jest złą matką, skoro swoje sześciolatki puszcza przez boisko szkolne same, żeby weszły do budynku. Szybko uciszyła tę nieznośną wewnętrzną zrzędę. Podobnie przecież robiły dziesiątki rodziców, przedkładających wygodę szybkiego pozbycia się ładunku nad restrykcyjny regulamin szkoły, mówiący, że dzieci mają być odstawione przez opiekuna, do budynku szkoły, osobiście.

— Z pewnością, jak Mroczyce się rozrosną jeszcze trochę, to będzie trzeba przebudować parking i nie tylko — dodała uprzejmie.

— Tak, szkoła też jest mała, ale to lepiej, może edukacja będzie lepsza, wie pani, bardziej

bezpośrednia, a nie taka totalnie po łebkach.

— Chyba jest dobra?

— Ja nie wiem, czego ich tam uczą. Powinni jakichś takich życiowych rzeczy, a nie totalnie od czapy. — Pani Ela machnęła ręką zaopatrzoną w plastikowe nasadki, tym razem na szczęście nie tą, którą akurat zajmowała się Eliza, bo niechybnie zarobiłaby w oko. — Przecież oni uczą się totalnie niepotrzebnych rzeczy jak amerykańskie jeziora, a nie potrafią takich prostych, z własnego podwórka...

Kobieta zawahała się, szukając właściwego porównania. W końcu wpadła na coś, aż podskakując.

— Na przykład o grzybach. Chodzą potem dorośli z dziećmi do lasu i zbierają nawet nie wiedzą co. Wyobraża to sobie pani?

— U nas chyba łatwo rozróżnić podgrzybka? — zawahała się Eliza, która pamiętała z dzieciństwa jak ojciec, jeszcze zanim zaczął dużo pić, zabierał ją i Weronikę na długie spacery. Nauczył je odróżniania wszystkich grzybów i tych jadalnych, i niejadalnych. To były nieliczne, dobre wspomnienia, jakie miała z dzieciństwa z ojcem.

— Gdzie tam, totalnie. — Tym razem w ruch poszły obie dłonie. Eliza odczekała, aż klientka przestanie nimi machać i przypomni sobie, po co tu przyszła. Pani Rybka w końcu położyła dłonie na podstawce i Eliza mogła kontynuować pracę, a ona swoją tyradę: — U mnie sąsiedzi byli kilka miesięcy temu, jesienią jeszcze, na grzybach. Nazbierali jakiegoś świństwa. Ja nie wiem, co to było, mówili, że niby kurki czy coś, ja się totalnie nie znam. Nawet mi proponowali trochę, bo nazbierali całą masę. Na szczęście nie wzięłam. — Odetchnęła przed następnym potokiem słów. — Najedli się tego i cała sześciuosobowa rodzina trafiła do szpitala. Jeden syn nie przeżył, straszna tragedia. Ale jak się człowiek nie zna, to niech w sklepie kupuje, a nie po lesie lata. Taka totalna nieodpowiedzialność...

Eliza przytaknęła skrząc. W tej kwestii podzielała zdanie klientki. Nauki przy ojcu dały jej świadomość, jak niebezpieczne mogą być grzyby, a historia pani Elżbiety nie była pierwszą w okolicy. Średnio każdego roku zdarzała się co najmniej jedna taka. Nawet obeznani w temacie potrafili potruć się grzybami, bo raz się pomylili. Eliza od lat nie chodziła na grzyby, wołała kupować je w sklepie, co po prostu oszczędzało jej czas.

Skończyła zdejmować stary lakier i przygotowywać palce klientki pod nowy. Czuła się, jakby przebiegła maraton, a była dopiero w połowie drogi do sukcesu. Uśmiechnęła się jednak szeroko.

— To co wybieramy? — zapytała wesoło.

— Ach, nie wiem. — Spojrzenie Rybki spoczęło na szerokim stojaku wypełnionym lakierami i próbnikami, zjechało płynnie na sam dół i przystanęło na dwóch stojących z przodu buteleczkach. — Ten wygląda uroczo.

— Ma pani rację, będzie wyglądał świetnie na paznokciach — zapewniła Eliza, przyznając sobie w myślach dziesięć punktów za dobór.

— Zdecydowanie potrzebuję odmiany — stwierdziła kobieta, popadając na chwilę w zamyślenie. — Przyda mi się trochę spokojniejszy odcień.

— To klasyczna paleta, ale odcień jest z nowej serii — zachwalała Eliza, nie miało znaczenia, czy była to prawda, ważne, żeby klientka poczuła się komfortowo. Na twarzy platynowej blondynki zakwitł uśmiech.

— Mojemu Krzyškowi powinno się spodobać. — Obserwowała uważnie, jak Eliza nakłada pierwszą warstwę.

— Będzie się o panią zabijał — zażartowała.

— Oby nie. — Ela spojrzała na Elizę czujnie, po czym wróciła do swoich paznokci. —

Pewnie nie słyszała pani... — Zawiesiła znacząco głos.

— O czym?

— Aresztowali morderców tego faceta, co go znaleźli w jeziorze.

Poczuła, jak jej zaschło w gardle. Potrzebowała chwili, by opanować drżenie rąk i móc kontynuować pracę.

— Naprawdę? — zapytała, siłąc się na swobodny ton. — A kogo aresztowali?

— Pawła Wronę i tę dziewczynę, co u niego od kilku dni jest. Podobno to jego kochanka i ona zleciła morderstwo, totalnie niewiarygodna historia.

Eliza nie wytrzymała. Pociemniało jej przed oczami, a pędzelek wypadł z rąk i potoczył się, aż na krawędź stolika. Elżbieta Rybka drgnęła na plastikowym krzeselku, pochylając się przed siebie.

— Pani się dobrze czuje? — zaniepokoiła się. — Może podać pani wody albo coś?

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu rzeczonyj butelki lub czegoś zastępczego.

— Nie, dziękuję — odparła słabym tonem Eliza. Próbowała ogarnąć myślami informacje, które właśnie otrzymała. Jej siostra została aresztowana za zamordowanie ich ojca.

— Ja też nie mogłam w to, totalnie, uwierzyć — zapewniła klientka.

Wystawiła w stronę Elizy długie palce, czekając na dalszy ciąg zabiegów. Kiedy kosmetyczka nie zareagowała, potrząsnęła rozczapierzonymi dłońmi niecierpliwie. Nie odezwała się, póki Eliza nie wróciła do pracy.

— Ja myślę, że to on zabił — stwierdziła po chwili tonem znawcy. — Kobiety nie robią czegoś takiego, jeśli nie muszą. Znaczący się, nie robią inaczej niż w samoobronie, to totalnie nie w naszym stylu.

Eliza utwardziła warstwę i przystąpiła do nakładania kolejnej. Robiła to automatycznie, wiedzona latami wprawy. W zasadzie mogła tak pracować nawet przez sen, dzięki czemu pozwoliła sobie na próbę poukładania w głowie jakiejś sensownej całości.

Jej siostra zabiła ojca. To nie mogło być wykluczone. Wera pojawiła się w Mroczycach tego samego dnia, kiedy zginął ojciec. Nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że Maciej Zabuda poszedł do Weroniki po pieniądze, jak tylko zobaczył ją w miasteczku. Mógł nawet zrobić to wcześniej, o ile znał jej adres lub numer telefonu. Ojciec mógł zdobyć kontakt od matki lub z innego źródła, mniejsza jakiego. Telefon znała zarówno Eliza, jak i matka, choć żadna z nich nie korzystała z niego nadmiernie. W zasadzie, jakby się tak zastanowić, to od trzech lat wcale ze sobą nie rozmawiały. Wcześniej może kilka razy.

Jeśli ojciec spotkał się z Werą i zażądał kasy, różne rzeczy mogły się wydarzyć. Paweł był w tej układance puzzlem na pozór niepasującym, ale może Wera potajemnie utrzymywała z nim kontakt? Z siostrą nie chciała, ale z dawnym chłopakiem mogła chcieć się zejść. To by wyjaśniało, dlaczego nie zamieszkała u Hani. Wtedy pretensje Macieja Zabudy dotyczyłyby też Pawła. W takiej sytuacji naturalne było, że się wściekł. Kiedyś słyszała, jak Paweł pobił się z kolegą. To było tuż po liceum i po tym, jak Weronika wyjechała z Mroczyc. Obaj byli pijani, Paweł chodził przez tydzień z poobijaną gębą, ale przeciwnik miał złamaną rękę.

— Wie pani, że statystycznie najwięcej morderstw popełnia się z powodu miłości?

Głos Elżbiety z trudem przebił się przez płataninę myśli. Eliza potrząsnęła głową. Nie po to, by odpowiedzieć, ale klientka najwyraźniej uznała, że gest był skierowany do niej.

— No właśnie. I dlatego jest to takie prawdopodobne. Pewnie okaże się, że mieli jakieś porachunki. Może stary ich szantażował? Podobno ta kobieta kiedyś tu mieszkała, to prawda? Pani jest stąd, to musi ją pamiętać.

— Mieszkała tu — odparła Eliza po chwili — ale wyjechała dziesięć lat temu i więcej nie wróciła.

— Ło! — zawołała Rybka, a oczy rozbliły jej ciekawością. — Więc to jakaś totalnie nieszczęśliwa miłość musiała być albo coś w tym stylu?

— Ja... ja nie wiem. — Eliza pochyliła się nad paznokciami, został jej do nałożenia tylko top.

— Szkoda. — Elżbieta była niezadowolona. Wyraźnie liczyła na jakieś pikantne szczegóły.

Weronika siedziała na twardej ławce. Głowę oparła o zimną ścianę. Czekala. Nastawiła się, że nie zrobi nic, póki sytuacja sama się nie rozwiąże. W zasadzie nie liczyła, że wszystko po prostu ją ominie, ale w tej chwili nie miała innego wyjścia. Była zamknięta w celi. Gdzieś za ścianą siedział Paweł. Oboje zostali zabrani z piekarni, zanim otworzyli sklep. Policjant, którego spotkała wczoraj przy domu matki, tym razem przyszedł oznajmić, że musi z nim iść. Nie chodziło o zwykłe przesłuchanie. Zostali oskarżeni o zabicie Macieja Zabudy. Weronika oniemiała na ten fakt. W pierwszej chwili była pewna, że się przesłyszała.

— Pan żartuje? — wyrwało jej się w zaskoczeniu.

— W żadnym wypadku.

Skuł jej ręce kajdankami. Zimny metal przyprawiał o dreszcze.

Paweł był jeszcze bardziej zaskoczony od niej. Może spodziewał się, że pewnego dnia policja zapuka do jego drzwi w poszukiwaniu Weroniki, że będą zadawać pytania. Mógł tak sądzić, zwłaszcza po opowieści, jaką roztoczyła przed nim wcześniejszego wieczoru. W najśmielszych snach nie sądził jednak, że przyjdą także po niego.

— Co ja zrobiłem?

Zdziwił się, poddając się bez oporu manewrom policjanta. Młody chłopak założył mu kajdanki z tyłu, jakby Paweł był groźnym przestępcą.

— Jest pan oskarżony o współudział w zamordowaniu Macieja Zabudy — wyrecytował ten, który chwilę wcześniej przedstawił się jako Rafał Rębak.

— Ale ja nic nie zrobiłem, nawet tam nie byłem...

— Mamy dowody, że był pan nad jeziorem.

— Wszyscy chodzą nad jezioro. — Paweł wzruszył ramionami, na ile pozwalały mu kajdanki. — Ale nie zabiłem nikogo i nikomu nie pomagałem w czymś takim.

— Paweł. Nic im nie mów — wtrąciła się Weronika.

Wrona utkwiał w niej badawcze spojrzenie.

Zabrali ich na komisariat i pozwolili wykonać telefon. Weronika nie miała wątpliwości, do kogo w takiej sytuacji się zwrócić. Rozmowa była krótka, ale kiedy w dwóch zdaniach powiedziała, w jakiej sytuacji się znajduje, w słuchawce tylko na chwilę zapadła cisza.

— Będę najdalej za dwie godziny — usłyszała. Rozmówca rozłączył się bez pożegnania.

Weronika siedziała więc i czekała. Dwie godziny dłużyły jej się niemiłosiernie.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, kiedy drzwi do pomieszczenia z celami otworzyły się i zobaczyła w nich jego. Uśmiechnęła się przepraszająco.

— Werka, w coś ty się znowu wpakowała? — rzucił spokojnie, podchodząc bliżej.

— W zasadzie ja sama w nic — zapewniła. — To pomyłka.

— Jak długo cię tu trzymają?

— Odkąd do ciebie zadzwoniłam.

— Rozmawiałaś już z kimś?

— Nie.

— Bardzo dobrze.

Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby oceniał wystrój wnętrza. W czymś, co kiedyś miało być chyba pokojem biurowym urządzono dwie cele, każda z nich miała jedną ścianę z krat i wąskie zakratowane okno, resztę stanowiły tynkowane ściany, malowane na nieprzyjemny, beżowy kolor.

— Sławek? — Weronika patrzyła na niego wyczekująco.

Wyrwany z zamyślenia, odwrócił się ponownie do niej i uśmiechnął.

— Znajdę jakieś lepsze miejsce w tej dziurze, gdzie możemy porozmawiać.

Zniknął za drzwiami. Zrobiło się tak cicho, że Weronika słyszała oddech Pawła w drugiej celi. Nie odezwał się do niej ani słowem, odkąd ich zamknęli. Właściwie dziwiła się policji. Powinni przecież odizolować ich od siebie. Jako oskarżeni o tę samą zbrodnię mogli przez ostatnie godziny swobodnie ustalać zeznania. Policjanci byli albo bardzo niefrasobliwi, albo już ustalili własną wersję zdarzeń i nie przejmowali się zeznaniami.

Sławek wrócił w towarzystwie jednego policjanta. Zadowolony z siebie poczekał, aż tamten otworzy drzwi i ją wyprowadzi. Poszedł za nimi do małego pokoiku na końcu korytarza, gdzie wreszcie zostali sami.

— Dobra, to teraz opowiadaj, co się stało. — Mężczyzna usiadł na plastikowym krześle przy niewielkim stoliku naprzeciw niej.

Sławek Wiśniewski-Pałaj czekał na odpowiedź, wbijając w Weronikę stalowoszare spojrzenie. Takiego widziała go tylko raz, wiele lat temu, kiedy znalazła się w podobnej sytuacji. Co prawda wtedy nie wisiało nad nią oskarżenie o zabójstwo, ale też siedziała na podobnym krzeselku, w roli dziewczyny gangstera, która właśnie dowiedziała się o tym, że jej partner okazał się gnidą. Ciocia Mila odnalazła wtedy swojego bratanka, Sławka, i przekonała go, żeby wybronił ją z opresji. Sprawił się doskonale. Od tamtego czasu Weronika zdążyła dobrze poznać dalekiego kuzyna, także na stopie towarzyskiej. Zostali dobrymi przyjaciółmi. Dlatego wiedziała, że zwykle skory do przekomarzania i zabawy Sławek, w czasie pracy zmieniał się w bezwzględnego, zimnokrwistego dupka. Wtedy nie należało nic przed nim ukrywać. Weronika poczuła, jak pod wpływem jego spojrzenia ścisną ją w dołku. Nabrała powietrza i drugi raz w przeciągu ostatniej doby zaczęła opowiadać, co stało się nad jeziorem.

Sławek wysłuchał jej dokładnie, nie notując nic ani nie nagrywając. Dopytał o parę szczegółów, które starała się przypomnieć sobie jak najdokładniej. Wreszcie kiwnął głową zadowolony.

— Sławek, możesz pomóc też Pawłowi? — spytała nieśmiało.

— Dlaczego?

Weronika zawahała się. Argument o sentymencie do dawnej miłości z pewnością nie trafiłby do prawnika. Nie mogła mu jednak wyjawić prawdziwego powodu.

— Bo cię o to proszę — odparła po chwili.

Sławek milczał, analizując za i przeciw. Weronika drgnęła niespokojnie, kiedy postanowił zmienić temat.

— Co nowego u Idy?

— W porządku. — Na jej twarzy zagościł nerwowy uśmiech. — Ma teraz ferie.

— Nie chciała z tobą przyjechać?

— Nie zabierałam jej... Nie chciałam... — Weronika zawahała się.

— Dlaczego? To chyba dobre miejsce na wakacje z matką?

Weronika zmarszczyła brwi.

— Sławek, odpuść — mruknęła niechętnie. Odwróciła wzrok, szukając czegoś na pustych ścianach. — Nie chcę, żeby Ida musiała się z tym zmierzyć. Jest za mała.

— A ja myślę, że należy jej się prawda. Ma prawo poznać rodzinę. Jego chyba też powinna poznać? To ten, prawda? — rzucił domyślnie i wskazał głową gdzieś w nieokreślonym kierunku.

— Nie twoja sprawa, żeby o tym decydować.

— A ty masz prawo za nią decydować? — odparł, marszcząc brwi.

Weronika nie odpowiedziała.

— Gdybyś przyjechała z nią, nie wpakowałybyś się w tę kabałę — dodał, gdy milczała.

Na to też nie uzyskał odpowiedzi. Patrzył na Weronikę z niezadowoleniem, a ona unikała jego spojrzenia, nie mogąc znieść wyrzutu, jaki jej robił. Sławek nie potrafił inaczej. Po sprawie z Wojciechem, jej byłym partnerem, i dziupłą samochodową, poznał córkę Weroniki i ich sytuację. Postanowił zaopiekować się nimi, ale szybko okazało się, że Weronika doskonale radzi sobie sama. Była pracowita inteligentna. Studiowała i pracowała jako baristka, nie potrzebowała ani partnera, ani opiekuna. Mała Ida podbiła serce Sławka i od tej pory nie potrafił przejść obok niej obojętnie. Weronika, za namową ciotki, podzieliła się z nim historią swojego przyjazdu do miasta, nigdy jednak nie wyjawiała imienia mężczyzny, który był ojcem Idy.

Najwyraźniej nie zamierzała zrobić tego wprost nawet teraz. Tym bardziej Sławek nie mógł przepuścić okazji, aby zobaczyć kim jest ten mężczyzna.

— Zgoda, zajmę się też nim.

— Dziękuję.

Zostawił ją w małym pokoiku i wrócił do celi. Kiedy stanął w otwartych drzwiach, mężczyzna na posłaniu podniósł się, lekko zaskoczony wizytą.

— Sławomir Wiśniewski-Pałaj — przedstawił się, wyciągając dłoń. — Jestem prawnikiem. Obecnie bronię panią Weronikę Zabudę.

— Paweł Wrona — odwzajemnił uścisk.

Miał duże dłonie przyprószone jakimś białym proszkiem. Sławek potarł palce, próbując zgadnąć, co to jest.

— Przepraszam, to mąka. Zabrali nas z piekarni, kiedy przygotowywaliśmy wypieki. Czy z Weroniką wszystko w porządku? W sensie... — zawahał się Paweł, próbując dobrać słowa. — Czy pan ją wybroni? Ona jest niewinna.

Sławek z niechęcią uwiadomił sobie, że zaczyna lubić tego mężczyznę. Nie miał może statusu i pieniędzy, ale biło od niego jakieś ciepło oraz szczerłość. Pytanie o Weronikę w sytuacji, w której sam się znalazł, dodatkowo działało na jego korzyść.

— Pani Weronika prosiła mnie, abym reprezentował też pana w tej sprawie. Zgadza się pan?

Na twarzy Pawła odmalowało się zaskoczenie. Na odpowiedź jednak nie musiał czekać zbyt długo.

— Tak, jeśli Weronika panu ufa, to chyba w porządku.

— Świetnie, załatwię wyjście.

*

Eliza czuła się zmęczona. Przez ostatnie kilka godzin intensywnie pracowała. Musiała jednocześnie dbać o jakość wykonania i dobry kontakt z klientkami, mając głowę pełną myśli o siostrze. Zwłaszcza te najbardziej gadatliwe wyczerpały ją psychicznie. Nie sądziła, że zwykła pogadanka może być tak irytująca. Kilka razy miała ochotę ochrzanić te bezmyślne idiotki, które przychodziły do niej i paplały bez przerwy, powtarzając plotki zasłyszane na ulicach i w sklepach. Eliza dowiadywała się o sąsiadach rzeczy, których wcale nie chciała wiedzieć. Intymne sekrety i tajemnice. Nagle to, co kiedyś stanowiło miłe urozmaicenie codzienności, zaczęło ją denerwować.

Sprawa aresztowania w piekarni najwyraźniej nie zatoczyła jeszcze dość szerokich kręgów, bo prócz Elżbiety Rybki, żadna inna kobieta o niej nie wspomniała. Na szczęście. Eliza nie chciała sobie nawet wyobrazić, jak musiałyby zareagować, gdyby któraś z klientek wprost zapytała ją o siostrę.

Była szczęśliwa, kiedy w końcu mogła zamknąć drzwi zakładu i wsiąść do samochodu.

Czuła się trochę jak uczeń, którego nie odpytano na lekcji, na którą się nie nauczył. Wracając, szerokim łukiem ominęła rynek. Jechała do domu dobrze znaną trasą prowadzącą przez pola uprawne, teraz wydające się całkowicie obumarłe, i przez niewielki las, oddzielający Dębinkę od jeziora i ruin starej osady. Z tej strony nie było widać, jak blisko się znajdują. Dla nieobeznanych w topografii kierowców nie było też możliwości przejazdu. Eliza pokonywała tę trasę samotnie. O tej porze dnia ruch był praktycznie zerowy.

Przy niewielkiej zatoczce, służącej za parking okolicznym mieszkańcom, chcącym dotrzeć do brzegu jeziora, zjechała z drogi. Poczuła, że nie jest jeszcze gotowa wrócić do domu.

Zatrzymała samochód i zgasiała silnik. Przez chwilę siedziała nieruchomo w ciszy, patrząc na las. Wyglądał na wymarły.

W domu czekała ją praca. Musiała ogarnąć bałagan po porannym wyjściu. W zlewice leżały nieumyte naczynia, czekała ją sterta prania, podłoga do mycia, bo przecież wczoraj zaledwie przetarła ją po wybuchu męża. Do tego dochodził obiad, bo chłopcy musieli przecież dostać coś do jedzenia, kiedy odbierze ich ze szkoły. Inaczej gotowi byli zjeść ją żywcem. Nie potrafiła się jednak przemóc.

Do domu za kilka godzin wróci też Piotr. Kiedyś cieszyłaby się na tę myśl. Po wczorajszych wydarzeniach miała dość. Nie chciała wracać tam, gdzie był on. Nie miała jednak innego miejsca. Dom matki był w trakcie sprzedaży, teraz, gdy podpisała wstępne papiery u notariusza, a pieniądze zostały zdeponowane na koncie oszczędnościowym, do którego — dopiero teraz to sobie uświadomiła — dostęp miał Piotr, nie ona. Mąż też by jej nie dał pieniędzy, nie po to, aby mogła się od niego uwolnić.

Eliza wysiadła z samochodu. Postanowiła przejść się kawałek, byle jak najbardziej odsunąć w czasie powrót. Zamknęła auto i ruszyła ścieżką w głąb lasu. Sucha ściółka szeleściła pod butami. Było cieplej, niż sądziła. Drzewa osłaniały ją od wiatru. Szła, nie zastanawiając się nad niczym, przestał mieć znaczenie czas i wszystkie problemy. Zupełnie jakby zostawiła życie w samochodzie.

Dojście do jeziora zajęło jej około pół godziny. Spokojna woda ukazała się przed nią nagle, tuż za kolejną kępą krzewów, które zasłaniały widok dość szczelnie. Eliza przystanęła nad krawędzią wody. Odgłos uderzających o brzeg fal zdawał się działać kojąco. Ruiny grodu z ledwością były widoczne pomiędzy szuwarami po lewej stronie. O wiele lepiej widziała zarys zabudowań odrobinę górujących nad wodą Mroczyca, bliżej prawej strony. Przez chwilę obserwowała parę łabędzi, wolno dryfujących pośrodku jeziora.

W końcu doszła jednak do wniosku, że mimo spokoju widok nie rozwiązywał problemów. Zrobiło jej się zimno w bezruchu. Bez żalu zawróciła i ruszyła w stronę samochodu. Im bliżej była, tym większy czuła niepokój. Szła wąską ścieżką i z każdym krokiem walczyła, aby irracjonalnie nie zawrócić i nie uciec. Zaczęła rozglądać się wokół, sama nie wiedząc, czego szuka.

Jej wzrok padł nagle na powalone drzewo. Samo w sobie nie stanowiło niczego ciekawego na tle starego lasu. Dostrzegła jednak pod jego spróchniałymi konarami niewielkie, brązowe kapelusze. Coś z tyłu głowy zaczęło domagać się uwagi.

Ostrożnie zboczyła z trasy, przedzierając się przez wysoką trawę w stronę drzewa. Kiedy dotarła na miejsce, była przemoczona do kolan. Pochyliła się nad znaleziskiem. Rozpoznała je natychmiast. Lata chodzenia po lesie latem i jesienią, uczenia się na pamięć każdego rodzaju grzybów, dały jej teraz pewność. Hełmówka jadowita pyszniła się pięknym kolorem, chowając swe niewielkie kapelusze wśród zgniłej zieleni spróchniałego pnia. Eliza odrobinę się zdziwiła, że grzyb nadal rósł, mimo ostatnich bardzo chłodnych nocy, ale podczas ciepłych zim to się czasami zdarzało. Szybko nazbierała pełne garści grzybów.

Powrót do samochodu zabrał jej o połowę mniej czasu. Szła tak szybko, że wsiadając na miejsce kierowcy, dyszała ciężko jak po długim biegu. Ostrożnie odłożyła grzyby na kolorową gazetę zapomnianą pod siedzeniem i ruszyła z parkingu z piskiem opon. Przez całą drogę do domu nie spojrzała w ich stronę ani razu, udając sama przed sobą, że ich tam nie ma. Na podjeździe jednak musiała dać za wygraną. Zerknęła na siedzenie pasażera. Były tam. Dawaly świadectwo tego, co chciała zrobić.

Zabrała swoją zdobycz do domu i odłożyła na blat w kuchni. Zostawiła wszystko, chcąc zabrać się za sprzątanie, ale myśl o grzybach leżących w kuchni nie dawała jej spokoju. Wróciła więc na miejsce i zabrała się za oczyszczanie i krojenie ich. Nie była pewna, czy będą skuteczne. Do tej pory nigdy nie zatrula się grzybami. Nikt z jej znajomych nie umarł po zjedzeniu akurat helmówki. Opowieść Eli dała jej jednak do myślenia. Piotr nie znał się na grzybach. Lubił je, ale nigdy nie zbierał. To ona kiedyś chodziła po lasach ze znajomymi i suszyła całe naręcza rozwieszane w pralni pomiędzy półkami. Piotr przychodził zwykle na gotowe, zając się risotto, bigosem na święta albo spaghetti z grzybami. To właśnie wczorajsze danie miało stać się ukoronowaniem jej kulinarnych zdolności.

Ręce trzęsły jej się niemiłosiernie, kiedy przygotowywała kolejne kapelusze i podgrzewała sos z poprzedniego dnia.

Niebo usłane plamami czerwieni od zachodzącego słońca przypominało stół w rzeźni. Przynajmniej takie myśli miał Rąbanka, wychodząc przed budynek, aby zapalić. Czuł się, jakby ktoś uderzył go porządnie w żołądek, a potem poprawił jeszcze w potylicę.

Kiedy zobaczył na korytarzu Sławka Wiśniewskiego-Pałąj, wiedział, że mają przerąbane. Znał tego skurczybyka jeszcze z Poznania. Powszechnie było wiadomo, że jeśli już brał sprawę, to nie odpuścił, póki nie wygrał. O jego zawziętości świadczyła też liczba sukcesów na koncie. Przegrywał tak rzadko, że ci, którzy mogli się szczycić zwycięstwem z nim, opłacali to bypassami albo rozstrojem nerwowym. Potrafił doprowadzić do szewskiej pasji nawet sędziego, będąc przy tym uosobieniem niewinności i uprzejmości.

Policjanci z macierzystej jednostki Rąbanki nazywali go pieśzcotliwie „Pieprzonym Skubańcem” i była to oznaka najwyższego szacunku. Nieoficjalnie wiedzieli, że Wiśniewski jest świadomy swojej reputacji i przyjął przezwisko z satysfakcją.

Widok prawnika na ciemnym korytarzu posterunku zaskoczył Rąbankę. Nie posądził Zabudy o posiadanie tak dobrych koneksji. A szkoda. Gdyby wiedział, nie dałby się wmanewrować Bierczyńskiemu w zatrzymanie kobiety. Wiśniewski w ciągu pół godziny zrobił z nich idiotów i praktycznie kazał w podskokach zapierniczać po klucze do celi. Miał rację. Nie mieli dobrych dowodów, dało się je przypasować do każdego, a Weronika i Paweł byli równie dobrymi podejrzanymi, co każda inna para w Mroczycach.

Rębak zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. Poczuł, jak dym wpada do płuc i zajmuje każdy, nawet najmniejszy ich zakamarek. Dopiero wtedy odrobinę się uspokoił. Rozejrzał się po parkingu i ruszył chodnikiem wzdłuż budynku.

Wypuszczenie Zabudy i Wrony nie rozwiązywało sprawy. Nadal mieli zabójstwo i brak mocnych dowodów czy podejrzanych. Nie liczył na to, że pełen raport patologa okaże się przełomowy. Jeśli chciał złapać mordercę, sam musiał wpaść na jego trop. Od kiedy pojawił się Wiśniewski, Rębakowi jeszcze coś nie dawało spokoju. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że Weronika Zabuda mimo wszystko ma coś wspólnego ze śmiercią swojego ojca, nie potrafił tylko wyjaśnić co. Od kilku godzin był pewien, że dziewczyna rozmawiała z nim tuż przed śmiercią. O tym fakcie świadczyły ślady na miejscu zbrodni. Był przekonany, że to jej obcasy wbiły się w miękką glebę nad wodą. Nawet jeśli się do tego nie chciała przyznać, to obecność Wiśniewskiego tylko w jakiś sposób utwierdziła policjanta w tej kwestii. Wiśniewski chyba też miał świadomość tego faktu, bo nie zaprzeczył, kiedy Bierczyński, czerwony jak burak, rzucił mu przed nos zdjęcie odcisku buta. Zbył to jednak, pokazując, że ślady zostały zdeptane.

Wspomnienie twarzy Bierczyńskiego, kiedy kazał mu wypuścić Zabudę, rozwścieczyło podkomisarza na nowo. Nie poczuwał się do odpowiedzialności za głupotę przełożonego, choć wiedział, że stary będzie próbował odbić sobie na nim niepowodzenie. Zupełnie jakby sprowadzenie prawnika było winą podkomisarza. Rębak dotarł do końca chodnika i zawrócił. Podniósł głowę i ze zdziwieniem stwierdził, że w jego stronę zmierza Wiśniewski. Poły ciemnego płaszcza lekko się odchyłały, ukazując szary, skrojony na miarę garnitur. Bardziej przypominał prawnika mafii niż porządnego mecenasa. Gdzieś po twarzy błąkał mu się ledwo widoczny, szyderczy uśmiezek.

Rąbanka przystanął prawie w połowie drogi, pozwalając tamtemu pokonać odrobinę większy odcinek, aby się spotkali.

— Masz ogień? — Sławek wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę.

Rębak podał mu zapalniczkę w milczeniu. Zastanawiał się, czego może od niego chcieć ta

miastowa hiena. Z zaskoczeniem stwierdzał, że zaczyna kategoryzować ludzi na tych z miasta i stąd. To nie był dobry objaw, choć pewnie nieunikniony.

— W środku jest pomieszczenie dla palących — stwierdził, kiedy Wiśniewski poprawił luźno zwisający szalik, próbując schować się przed nieprzyjemnym powiewem, który co jakiś czas zrywał się na otwartej przestrzeni parkingu.

— Nie znoszę tych plastikowych akwariów — odparł Sławek. — Widziałem cię w oknie, pomyślałem, że to lepsze miejsce.

— Tu w zasadzie też nie wolno palić.

— Gównu mnie to obchodzi.

Rębak nie spuszczał go z oczu. Wiśniewski wyraźnie do czegoś dążył i robił to jawnie i otwarcie. Policjant nie potrafił tylko ocenić, co to mogło być. Miał przecież w rękach wszystkie karty, już wygrał.

— Czego właściwie chcesz?

— Czekam, aż wypuścicie moją klientkę.

— Papierkowa robota zawsze trwa dłużej — odparł Rębak filozoficznie, tylko po to, aby podtrzymać rozmowę.

— Tak, łatwiej jest kogoś zamknąć niż wypuścić — odparł sarkastycznie Wiśniewski. Zaciągnął się mocno, a czerwona końcówka pobiegła błyskawicznie w stronę jego ust.

— Mam z tego powodu paść na kolana i przepraszać?

Sławek uśmiechnął się łagodnie, jakby robił mu łaskę, że nie oczekuje takich reakcji.

— Wystarczy mi mina twojego szefa, kiedy kazał wypuścić moją klientkę.

— Przyszędłeś się, kurwa, ponabijać czy w konkretnej sprawie? — Rębak nie wytrzymał.

— To zależy, jak bardzo chcesz znaleźć prawdziwego sprawcę.

Rąbanka zgasił niedopałek w rynsztoku i wyprostował się. Ręce schował do kieszeni. W palcach prawej dłoni wyczuł dawno zapomnianą paczkę gum do żucia.

— Mów, co wiesz.

— To nie takie łatwe.

— Zawsze mogę ją zamknąć za utrudnianie śledztwa. — Wzruszył ramionami.

— Nie powiedziałem, że to ona coś wie.

Sławek utkwiał w rozmówcy stalowoszare spojrzenie. Pod jego wpływem Rębak zaczął odczuwać przenikliwy chłód wieczoru, tak mu się przynajmniej wydawało. Zapadający zmierzch uruchomił uliczne lampy, a w ich świetle mecenas wyglądał upiornie.

— Co dokładnie masz na myśli? — Rębak spróbował łagodniej.

— Powiedziałem tylko, że ona jest poza sprawą — zaznaczył chłodno.

Podkomisarz zmrużył oczy, przyglądając się rozmówcy. Żaden mięsień na twarzy Sławka nie drgnął, a jednak Rębak czuł, że właśnie rozgrywa się między nimi swoista gra.

— Rozumiem — odparł powoli, badając reakcję tamtego. Nie pomylił się. — W takim razie, co ty masz mi do powiedzenia?

— Oglądałem te wasze, pożałuj boże, dowody — odparł Wiśniewski. Z kieszeni wyciągnął kartkę i podał ją podkomisarzowi. Policjant ją rozwinął. Na znanym mu dobrze wydruku widać było ślady butów odcisnięte w błocie i kawałek plastiku. — Ktoś o takich sportowych butach był na miejscu po kobiecie.

— Takie buty ma Paweł Wrona — odparł policjant, miał nadzieję na bardziej konkretne spostrzeżenia.

— Nie.

Rąbanka rzucił rozmówcy niechętne spojrzenie. W jego opinii Wiśniewski się wymądrzał.

— Są takie same, przestań chrzanić, nic nie masz...

— Wiejskie powietrze najwyraźniej przytłumiło ci zmysły — stwierdził Sławek, cofając się o krok. — A może dostałeś w łeb o jeden raz za dużo, zanim cię tu przysłali?

Szum w uszach był tak silny, że nie słyszał dalszych słów mecenasa. Wściekły ruszył na niego, ale w połowie drogi zatrzymał się z pięścią w górze, nagle zmienił zamiary i wyciągnął palec wskazujący.

— Czego ty, kurwa, chcesz?

— Pomóc ci.

— W czym?

— W myśleniu, cholera. — Wyciągnął rękę w stronę kartki i znów podstawił ją pod nos policjanta. — Paweł stoi całymi dniami przy piecu, rzadko biega. Ma zdarte buty równomiernie na całej powierzchni, ślad byłby gładki, tu masz biegacza. — Postukał palcem w rozmazany ślad w błocie. — Spójrz na to.

Rąbanka wyteżył wzrok. W świetle ulicznych latarni nie było widać dokładnie, ale pamiętał to zdjęcie, bo od kilku dni wpatrywał się w nie bez przerwy. Ślad w błocie był gładki w okolicach pięty i palców. Jak mógł wcześniej tego nie zauważyć? Popatrzył na mecenasa z niedowierzaniem. Biegacz! Przecież to była jego pierwsza myśl.

— Też biegam po dziesięć kilometrów dziennie. I jeszcze jedno. — Sławek przesunął palec bardziej w lewo. — Ten kawałek plastiku. Wygląda, jakby pochodził z osłonki na komórkę. Są takie na ramię dla biegaczy.

Tym razem Rębak nie zapytał, skąd wie. Zamiast tego zmarszczył brwi.

— Wiesz, ilu jest takich, co uprawiają sport w Mroczycach?

— A ilu miałoby powiązania z Zabudą? Ja znam jednego.

— Ja, cholera, chyba też — odparł Rębak niechętnie.

*

Eliza podjechała pod szkołę, rozglądając się za chłopcami. Nie zauważyła ich na boisku, więc mimo dużego ruchu poszukała miejsca do zaparkowania. Na szczęście rotacja była spora i udało jej się wcisnąć między inne samochody. Niewielki placyk przed wejściem do szkoły gwarem oznajmiał, że większość uczniów zakończyła zajęcia. Eliza przywitała się z kilkoma matkami kolegów jej synów. Nie utrzymywała z nimi bardzo zażyłych stosunków, ale siłą rzeczy wycieczki i imprezy szkolne powodowały, że poznawali się lepiej, a długie godziny spędzone na planowaniu i przygotowywaniach wymuszały rozmowy. Poza tym, z rodzicami warto było być w dobrej komitywie, bo dawało to możliwość lepszych kontaktów między dziećmi.

Kajtka i Adasia znalazła pośród innych na korytarzu. Kurtki oraz czapki trzymali w rękach, jednak nie wyglądali, jakby gdzieś im się spieszyło.

— Mamo, możemy iść do Wojtka? — przywitał ją Kajo, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

— Proszę — zawtórował mu Adaś.

Eliza obrzuciła czujnym spojrzeniem najpierw synów, a później Wojtka, stojącego za nimi.

— Po co chcecie iść do Wojtka?

— Wojtek ma plajstejszen i nową grę — wyjaśnił Adaś odrobinę zniecierpliwionym głosem, jakby ten fakt był powszechnie znany i nie wymagał tłumaczenia.

Ponownie spojrzała na kolegę synów. Znała go, bo chłopcy zaprzyjaźnili się już na początku roku i czasami odwiedzali się nawzajem. Ostatnio jednak Eliza nie miała za dużo czasu na takie towarzyskie eskapady i bliźniaki nie zapraszały nikogo do domu. Nie chciała zatem, aby

narzucali się innym rodzicom zbyt często. Z drugiej strony, byłoby jej na rękę, gdyby chłopców nie było w domu, kiedy wróci Piotr.

— Nie wiem, czy rodzice Wojtka chcą, żebyście bawili się grami — odparła spokojnie, próbując studzić ich zapędy.

— Mama nam pozwoli — zapewnił Wojtek ochoczo. Chłopiec o puciołowatej twarzyczce małego cherubinka patrzył na nią odważnie.

— Pytałeś mamę?

— Nie — przyznał po chwili — ale pozwoli.

— No to zapytamy najpierw twoją mamę.

Pomogła ubrać się chłopcom i wyprowadziła ich na zewnątrz. Na chodniku spotkali Annę, matkę Wojtka, idącą właśnie w stronę budynku. Eliza podeszła się przywitać, ciągnięta przez synów za obie dłonie. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Wojtek przejął inicjatywę i zakomunikował rodzicielce, że koledzy przyjdą do domu pobawić się z nim.

— Dobrze, ale musicie najpierw zjeść cały obiad — odparła pogodnie Anna.

— Ale potem pogramy?

— Po obiedzie.

— Aniu, jesteś pewna, że nie sprawią ci kłopotu? — upewniła się Eliza, choć pomysł odesłania chłopców podobał jej się coraz bardziej.

— Nie ma problemu — potwierdziła kobieta, otwierając dzieciakom drzwi samochodu i od razu każąc im pakować się do środka.

— Nie chcę, żebyś dodawała sobie pracy...

— Daj spokój, to żadna robota. — Machnęła ręką. — Mogę odwieźć ich koło wpół do ósmej, jak będę jechała na swoją zmianę do szpitala?

Elizę zaskoczyła bezpośredniość i uczynność kobiety. W pierwszej chwili nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Wiesz, wcześniej mogę nie dać rady. Nie wiem tylko, czy nie za późno dla ciebie... — kontynuowała, zatrzymując się przed dziećmi drzwiami pojazdu.

— Nie ma problemu, ale mogę sama...

— Dobra, to umówione, jak będę jechała, to podrzucę ich do ciebie, to i tak po drodze. — Uśmiechnęła się. Nagle stanęła przed Elizą odrobinę poważniejsza. — Przykro mi z powodu twojego ojca.

Eliza zeszywniała. Kobieta zaskoczyła ją nieprzygotowaną.

— Dziękuję — wydukała niepewnie.

— Gdybyś czegoś potrzebowała albo musiała pozbyć się dzieciaków na chwilę, to daj znać.

— Dziękuję.

Ania przyciągnęła ją do siebie i uściskała krótko, po czym wsiadła za kierownicę. Eliza patrzyła przez chwilę za odjeżdżającym pojazdem, aż nie zniknął w gąszczu poruszających się przy szkole aut.

Wróciła do swojego samochodu i włączyła głośno muzykę. Trochę czasu zajęło jej wyjechanie z popołudniowego tłoku wokół szkoły. Wreszcie wydostała się na główną drogę. Minęła niewielki las i dojechała do domu. Zaparkowała na ulicy, zamiast wjeżdżać na posesję. Nie chciała, aby Piotr zastawił jej samochód na podjeździe.

W domu ugotowała świeży makaron do spaghetti. Właśnie odstawiła go z ognia, kiedy usłyszała dźwięk pojazdu na zewnątrz. Piotr zaparkował przed bramą garażową. Obserwowała, jak przygotowywał się do tego, aby wysiąść. Długo siedział nieruchomo, w środku, wpatrzony w drzwi do garażu, jakby się nad czymś zastanawiał. Później odwrócił głowę i spojrzał w stronę

okien. Schowała się, aby jej nie dostrzegł. W końcu zdecydował się wysiąść. Na podjeździe pojawił się z ogromnym bukietem czerwonych róż. Eliza poczuła, jak serce ściska się jej w piersi, po czym zaczyna bić szybciej.

Piotr wszedł do domu spokojnie. Zamknął za sobą drzwi i bez pośpiechu, jakby wciąż się wahał, przemierzył korytarz. Eliza czekała, aż pojawi się w drzwiach kuchni. Zdawało jej się, że trwa to niemiłosiernie długo.

Najpierw ujrzała morze kwiatów. Były piękne, wręcz zapierały dech. Dopiero z bliska mogła ocenić ich ilość. Naręcze było ogromne i upakowane czerwonymi główkami. W kuchni zapachniało kwiatami.

Za bukietem pojawił się Piotr. Miał skruszoną minę, patrzył na nią nieśmiało, z chłopcim urokiem, któremu wiele lat temu nie była się w stanie oprzeć. Serce zabiło jej szybciej, kiedy lekko się uśmiechnął. Podszedł bliżej, niosąc przed sobą kwiaty.

— Przepraszam cię, kochanie — rzekł miękko, kładąc bukiet w jej objęciach.

Ciężar odrobinę ją przytłoczył, a słodki zapach oszołomił.

— Dupek ze mnie — wyznał. — Nie powinienem tak cię traktować. Byłem wkurzony, bo w pracy ostatnio jest napięta atmosfera, ale ty nie powinnaś ponosić tego konsekwencji. Przepraszam. — Eliza trzymała bukiet, wpatrując się w płatki kwiatów. Wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, ulegnie natychmiast. Piotr przez chwilę czekał na odpowiedź, a kiedy jej nie dostał, pochylił się nad nią, szukając jej spojrzenia. Poczula zapach jego wody toaletowej, słodki, drewniany, dokładnie taki, jaki lubiła i który podarowała mu na ostatnie święta. Pachniał zniewalająco. Był tak blisko, że czuła emanujące od niego ciepło, przeszedł ją dreszcz. — Kochanie, wybaczysz mi?

Czekał jeszcze chwilę, a gdy się nie ruszyła, coś zaszeleściło.

— Mam coś jeszcze dla ciebie.

Eliza nie wytrzymała, podniosła wzrok. Nad bukietem Piotr trzymał pięknie zapakowane pudełko.

— Kocham cię, żabko — wymruczał z lekkim, nieśmiałym uśmiechem. — Wybacz mi, obiecuję, że już nigdy nie dam się wyprowadzić z równowagi.

Patrzyła na niego, szukając na twarzy oznak fałszu. Ani jeden mięsień jednak nie drgnął, nie spuścił wzroku, nie dał najmniejszego powodu, aby podać w wątpliwość słowa, które wypowiadał. Czekał na decyzję, patrząc jej prosto w oczy. W spojrzeniu czaił mu się jasny ogień. Eliza poczuła, jak nogi miękły jej pod ciężarem tego ciepła. Gardło zacisnęło się radością. Tak, z pewnością mówił prawdę. Nie mógł przecież kłamać jej tak otwarcie, prosto w twarz. Był jej obrońcą, jej opiekunem. Tyle lat byli ze sobą, razem, szczęśliwi, mieli dwójkę wspaniałych dzieciaków. Eliza nie potrafiła powstrzymać łez. Popłynęły jej po policzkach, żłobiąc sobie szeroką ścieżkę.

— Głuptasku — mruknął, stając obok niej i zamykając w uścisku. — Nie płacz, kochanie, od tej pory wszystko będzie w porządku.

Czuła, jak nerwy puszczaają. Nagle zrobiło jej się słabo, zmęczenie było tak silne, że nie potrafiła się powstrzymać. Rozpłakała się zupełnie.

Piotr westchnął ciężko. Jedną ręką gładził ją po włosach, drugą otarł łzy z policzka.

Minęło sporo czasu, zanim zdołała się opanować. Piotr przeczekał jej załamanie, nie okazując cienia zniecierpliwienia. W końcu udało jej się oderwać od niego. Odebrał od niej kwiaty i zaczął rozglądać się za wazonem, trzaskając drzwiczkami szafek.

— Co będzie na obiad? — spytał, zaglądając do jednej z nich.

— Spaghetti — odparła, wracając z łazienki, gdzie obmyła twarz wodą. Nie trudziła się z poprawianiem makijażu, zresztą nie miała teraz na to siły.

— Czy to nie było wczoraj?

— Nie zjedliśmy i sos został, szkoda go. Dogotowałam tylko makaron. Jest z grzybami, tak jak lubisz.

— Wiesz, jak dogodzić mężczyźnie. — Uśmiechnął się do niej, podszedł i cmoknął w policzek.

W kolejnej szafce w końcu znalazł odpowiedni wazon. Napełnił go wodą i włożył bukiet. Krytycznym okiem zmierzył kompozycję, po czym zaczął szukać odpowiedniego miejsca na jej wyeksponowanie. Znalazł takie w salonie na ławie, bukiet widać było od samego wejścia do domu.

— Gdzie dzieciaki? — spytał, wracając do kuchni.

Zajrzał przez ramię żony. Właśnie nakładała na talerz długie pasma makaronu. Wyciągnął jedno, zwisające najniżej i włożył sobie do ust.

— Trochę ostygł — zauważył, sięgając do szuflady ze sztucami.

— Jak chcesz, mogę podgrzać.

— Nie, z sosem będzie okej, tylko siadajmy już, jestem głodny.

— Już nakładam.

Piotr rozłożył na stole w jadalni sztucę. Eliza słowem nie skomentowała, że mogliby zjeść bliżej, w kuchni, nie chciała psuć tego momentu. Przyniosła danie i postawiła przed mężem. Piotr zawahał się i ponownie wstał. Zanim wróciła z serwetkami, zniknął w składziku przy kuchni. Chwilę później wyszedł stamtąd z butelką białego wina.

— Będzie idealnie pasowało.

Eliza obserwowała, jak otwierał w kuchni wino i przyniósł do stołu wraz z dwoma kieliszkami.

— Nie masz ochoty?

— Nie, chętnie się napiję — zaprzeczyła i uśmiechnęła się łagodnie.

Piotr rozlał trunek do kieliszków i postawił jeden przed żoną. Drugi ustawił przy swoim nakryciu. Butelkę odstawił na stół i dopiero wtedy usiadł. Czekala w milczeniu, aż skończy i zaczął jeść. Przez chwilę kontemplował wino rozszczepiające promienie światła w załamaniach dna kieliszka. W końcu ponownie odstawił szkło i zabrał się za jedzenie.

— Co dzisiaj porabiałaś? — spytał, pomiędzy jednym a drugim kęsem.

— Miałam kilka klientek, nic ciekawego.

— Musisz być zmęczona — stwierdził. — Może powinienem zabrać cię na obiad, zamiast jeść w domu. Nie musiałybyś tyle szykować.

— Mi to nie przeszkadza — odparła spokojnie.

Przez chwilę znów jedli w milczeniu, póki Piotr nie ponowił pytania:

— Gdzie bliźniaki?

— Zostali u kolegi, jego mama ich odwiezie.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Eliza czuła, jak napięcie rośnie. Przez cały czas obserwowała męża, przeżuwanego kolejne kęsy.

— Nie jesz? — spytał, spoglądając na jej talerz.

— Jakoś nie jestem głodna — odparła wymijająco.

— Hm — mruknął w zastanowieniu. — Mam wrażenie, że jest ostrzejszy niż zwykle, ma jakby inny smak... może to ci nie odpowiada?

— Może. — Uśmiechnęła się nerwowo i utkwiała spojrzenie w talerzu. — Nie było tego sera, którego zwykle używam do posypania i kupiłam inny.

— Trzeba było cię zabrać na tę kolację — wymruczał. — Chociaż po ostatnich ekscesach twojej siostry w Mroczycach lepiej się nie pokazywać.

Eliza zeszywniała. Powoli odłożyła widelec, czując, że w każdej chwili może stać się coś złego. Nagle znów była cała spięta, gotowa do ucieczki. Gardło ścisnęło jej się jak w żelaznej obręczy.

Nie podejrzewający niczego Piotr odłożył sztućce i chwycił za kieliszek. Zatoczył nim kółko, wprawiając w ruch złotawy trunek. W końcu upił odrobinę i odstawił resztę. Dopiero wtedy podjął dalej wątek, patrząc na żonę z nieskrywanym współczuciem.

— Kochanie, wiem, że to twoja siostra — zaczął miękko. — Darzysz ją uczuciem, chociaż zostawiła cię tu wiele lat temu i sama nie przejmowała się tym, co się z tobą dzieje. Ja rozumiem, że nie możesz się z tym wszystkim pogodzić. Posłuchaj. Byłem zły nie na ciebie, tylko na to, jak się niszczysz tym wszystkim. Ty jej nie obchodzisz. Rozumiesz?

Przerwał na chwilę, czujnie badając reakcję żony. Eliza położyła dłonie na kolanach pod stołem i spuściła głowę. Nie potrafiła spojrzeć mu w twarz. Nie chciała słuchać tego, co mówił i patrzeć na jego protekcyjne zachowanie. Od długiego czasu targają nią sprzeczne uczucia co do Weroniki, a Piotr swoją przemową tylko je pogłębiał. Bała się, że jeśli udzieli odpowiedzi, ta nie spodoba się mężowi. Milczała więc. Piotr najwyraźniej zrozumiał jej postawę jako rezygnację i zgodę z jego poglądami. Po chwili ciszy chwycił sztućce i jedząc, kontynuował wypowiedź pomiędzy kęsami:

— Posłuchaj, kochanie, nie chciałem ci tego mówić, ale może lepiej, żebyś wiedziała. — Zatrzymał się, by nabrać do ust porcję makaronu. Eliza uniosła lekko głowę, aby móc ostrożnie go obserwować. Odrobina sosu ściekła mu po brodzie. Wytarł ją wierzchem dłoni, zamiast użyć serwetki. Przez chwilę przeżuwał, rozkoszując się smakiem. W końcu przełknął i mówił dalej: — Dzisiaj dowiedziałem się, że twoja siostra została aresztowana za zamordowanie waszego ojca. Wiem, że to dla ciebie musi być szok, ale nie martw się, ja ciebie kocham i nie winię za jej czyny.

Piotr znów utkwiał spojrzenie w żonie. Jej brak reakcji wyraźnie go zdziwił. Zamarł ze sztućcami w górze.

— Eliza? Słyszysz, co powiedziałem?

Nie odpowiedziała.

— Eliza — wyprostował się gwałtownie, a jego ton zrobił się chłodny. — Czekam na jasną odpowiedź. Czy słyszałaś, co powiedziałem? Twoja siostra zamordowała wraz ze swoim kochankiem twojego ojca. Rozumiesz to?

Biła się z myślami. Powietrze w pokoju zgęstniało. Eliza podniosła w końcu głowę i popatrzyła na męża. Na jego twarzy wystąpiły kropelki potu, a spojrzenie roziskrzyło się niebezpiecznie. Nagle wydał jej się obrzydliwy.

— Wypuścili Weronikę popołudniu...

Nie skończyła. Z wściekłością rzucił widelcem o talerz, aż zadzwoniło jej w uszach. Instynktownie schowała głowę w ramionach i odwróciła wzrok. Piotr odsunął od siebie zastawę i odchylił się do tyłu. Gwałtownym ruchem szarpnął za guzik kołnierzyka. Eliza знаła tę reakcję, z ledwością powstrzymywał się, żeby nie rzucić się i nie zacząć rozwalać wszystkiego wokół. Znów pojawił się w niej ten strach, napięcie i wewnętrzny głos, który kazał uciekać jak najdalej, ratować życie, a jednocześnie odcinał możliwość poruszania się. Siedziała na miejscu jak przytwierdzona, słuchając przyspieszonego oddechu męża. Piotr przetarł twarz dłonią. Kiedy wrócił do poprawnej pozycji, wydawał się spokojniejszy.

— Kochanie, to tylko świadczy o nieudolności naszej policji, że nie potrafią załatwić nawet takiej prostej sprawy.

Eliza nie zripostowała. Wpatrzona w talerz starała się nie pobudzać go do żadnych gwałtowniejszych zachowań. Piotr powoli wracał do równowagi.

— No dobrze — rzekł w końcu. — Musimy się na razie pogodzić z twoją wiarą w siostrę. Pamiętaj jednak, co ci zrobiła. Nie chcę, żeby cię znów zraniła, rozumiesz?

Eliza kiwnęła głową. Zrobiła to automatycznie, ale Piotrowi wystarczyło. Podniósł się z miejsca i podszedł bliżej. Przykucnął przy jej krześle, przez co znalazł się poniżej jej głowy. Odwróciła się i spojrzała na niego. Posłał jej swój miękki, uspokajający uśmiech, który tak kiedyś kochała i jaki zawsze naprawiał największe zło.

— Obiecuj mi, że nie dasz się jej zwieść, kochanie, dobrze?

— Dobrze — odparła słabo. To jedno słowo kosztowało ją więcej niż jakiegokolwiek dotychczasowe wystąpienie przeciwko mężowi.

Piotr wstał i ucałował ją w czubek głowy.

— Grzeczna dziewczynka — wyprostował się. — A teraz pójde się położyć na chwilę, jestem zmęczony.

Eliza została sama w jadalni. Długie minuty siedziała bez ruchu, słuchając, jak Piotr krząta się po domu i w końcu kładzie się na kanapie w salonie. Do jej uszu doszedł dźwięk z telewizora. Dopiero po czasie strach odpuścił, a władza nad ciałem powoli wracała. Gdy tylko mięśnie się rozluźniły, zaczęła się trząść. Po policzkach popłynęły jej łzy. Płakała bezgłośnie, trzęsąc się jak osika, póki nie powiedziała sobie „dość”. Opanowała się z trudem.

Wytarła twarz wierzchem dłoni. Kiedy była już spokojna na tyle, aby zaufać ciału, wstała i zaniósła naczynia do zmywarki. Wyrzuciła do kosza cały makaron i sos, zakrywając leżące w kubie pocięte na kawałki grzyby z lasu. Nie była w stanie dodać ich do obiadu. Walczyła ze sobą długo, jednak strach zwyciężył. Nawet teraz chwilami wyrzucała sobie tchórzostwo. Przepuściła doskonałą okazję, aby uwolnić się od męża, jednak za każdym razem, gdy tak myślała, przed oczami stawali jej synowie. Nie potrafiła pozbawić ich ojca, nawet takiego.

Włożyła brudne naczynia do zmywarki i zakradła się do salonu. Piotr leżał na kanapie z zamkniętymi oczami, zmorzony. Z telewizora dochodził monotony głos spikera wiadomości, a na stoliku kawowym stał ogromny bukiet czerwonych róż. Przez chwilę go obserwowała, aby sprawdzić jak głęboko śpi. Gdy upewniła się, że nie obudzi się nagle, ruszyła do przedpokoju. Czuła się jak złodziej, zakradający się do cudzego domu, choć szła dokładnie w odwrotnym kierunku. Bezszelestnie założyła adidasy i kurtkę. Na chwilę zatrzymała się jeszcze z ręką na klamce, nasłuchując odgłosów z salonu. Kiedy do jej uszu doszło chrapanie, zgarnęła torebkę i precyzyjnie się przez wąską szczelinę półotwartych drzwi.

Do samochodu szła spięta i czujna. Przez cały czas miała wrażenie, że Piotr podąża za nią, aby w ostatniej chwili ją zaskoczyć i zaciągnąć z powrotem do domu. Nie pobięła tylko dlatego, że to mogłoby wydawać się podejrzane, jeśli któryś z sąsiadów obserwowałby ją przez okno. Całą drogę powtarzała sobie, że musi wyglądać naturalnie i swobodnie. Do samochodu dotarła roztrzęsiona, z trudem otworzyła drzwi i zatrasnęła je za sobą. Dopiero gdy zamknęła zamki, odetchnęła z ulgą. Spojrzała w stronę domu, ale na ganku nikogo nie było. Piotr nie wyskoczył z domu, by ją gonić. Uspokoila się odrobinę.

Upewniwszy się, że jest sama na wąskiej, osiedlowej drodze, włączyła silnik i powoli wyjechała. Po kilkuset metrach rozluźniła się na tyle, aby prowadzić swobodnie.

Skierowała się od razu do domu Ani. W pierwszej kolejności musiała odebrać synów, zanim kobieta odwiezie ich w drodze do pracy. Trasa nie była długa. Dom znajdował się na tym samym osiedlu, więc po kilku minutach zaparkowała przed posesją otoczoną, bezlistnymi o tej porze roku krzewami róż.

Anna otworzyła jej drzwi zaskoczona.

— Przecież mówiłam, że ich podrzucę. Nie musiałaś przyjeżdżać — przywitała ją, wpuszczając do środka.

Eliza minęła zaledwie próg i zatrzymała się.

— Rozbierz się, chłopaki nadal grają, napij się kawy? — Ania ruszyła do kuchni.

— Nie, dziękuję, chcę ich od razu zabrać.

Gospodyni zatrzymała się jeszcze bardziej zdziwiona. Odwróciła się i spojrzała na gościa badawczo.

— Wszystko w porządku? Nie wyglądasz najlepiej — stwierdziła, przechylając lekko głowę, jakby sprawdzała swoją diagnozę w innym świetle i pod innym kątem.

— Wszystko w porządku, może rzeczywiście jestem trochę zmęczona. Chcę już ich zabrać do domu i odpocząć.

— Jeśli mogę ci jakoś pomóc, to mów. — Ania nie dawała za wygraną. Eliza miała ochotę przeklinać koleżankę za taką postawę. Uprzejmość w tej chwili powodowała jedynie irytację. Zebrała w sobie całą pozostałą odwagę i najspokojniej, jak tylko potrafiła uśmiechnęła się do Ani.

— Naprawdę wszystko w porządku. Ostatnio sporo się działo i pewnie widać to po mnie. Wiesz... ojciec i cała reszta — wyjaśniła wymijająco. — Myślałam, że dobrze nam zrobi, jak posiedzimy trochę w domu razem, tak rodzinnie, rozumiesz?

Ania rozpogodziła się.

— Oczywiście. To dobry pomysł. Zawołam chłopców. — Odwróciła się na pięcie i podążyła do salonu.

Eliza odetchnęła z ulgą, przymykając oczy. Słyszała, jak kobieta mobilizuje dzieciaki do ruszenia się sprzed telewizora. Była jej za to wdzięczna, bo sama chyba nie dałaby rady, gdyby chłopcy zaczęli marudzić. Po minucie negocjacji Adaś i Kajtek pojawili się w drzwiach salonu rozpromienieni. Eliza przywołała na twarz uśmiech.

— Mamuś, wygrałem trzy razy kombo, a Kajo tylko raz — zawołał Adaś, podskakując zamiast iść.

— Gratuluję — odparła spokojnie. — A teraz ubierajcie się, bo jedziemy.

— Mamo, a nie możemy jeszcze trochę zostać? — Kajo popatrzył na nią błagalnie. — Ja chcę się odegrać.

— Nie możemy.

— Tylko chwilę.

— Nie, kochanie. — Pochyliła się w jego stronę i pogłaskała po jasnych włosach. — Musimy już jechać, ubieraj się, proszę.

Adaś, czując satysfakcję z ogrania brata, był zdecydowanie bardziej chętny do opuszczenia domu kolegi. Bez słowa usiadł na podłodze, aby założyć buty. Kajtek po chwili zrozumiał, że nic nie wskóra błaganiami, więc poszedł za przykładem brata.

Do korytarza doczłapał też Wojtek, wyraźnie zachmurzony. Eliza uśmiechnęła się do niego. Podejrzewała, że w rozgrywkach to on był największym przegranym.

— Mamo, a możemy przyjść jutro? — Kajtek podniósł się z podłogi i znów spojrzał sarnim wzrokiem. Eliza poczuła się zmęczona rozmową.

— Nie wiem, kochanie.

— Możecie przyjść, jeśli mama pozwoli — pospieszyła z odpowiedzią Anna, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko gościom.

— Jutro się odegram.

— To ja jutro wygram — sprzeciwił się natychmiast Wojtek, odzyskując rezon.

— Wcale nie.

— Właśnie że tak.

Eliza przewróciła oczami, postanawiając wziąć sprawy we własne ręce. Chwyciła kurtkę

syna i zaczęła go ubierać. Kajo nawet nie zauważył, kiedy stał gotowy do wyjścia, tak był zaaferowany przekomarzeniem się z kolegą. Ania pomogła zebrać resztę ich rzeczy i w końcu mogli ruszyć dalej.

— Pożegnajcie się i podziękujcie — zarządziła Eliza.

Chłopcy zgodnie powiedzieli: „dziękuję i do widzenia”. W takiej chwili najbardziej wyglądali jak bliźniacy. Anna z Wojtkiem poczekali, aż goście miną furtkę i dopiero wtedy zamknęli drzwi. Eliza odetchnęła. Wpakowała chłopców do samochodu, a ich plecaki rzuciła na przednie siedzenie.

— Mamo, nie do bagażnika? — zdziwił się Kajtek.

— Nie tym razem. — Wsiadła i zapięła pasy. Sprawdziła w tylnym lusterku, czy obaj siedzą bezpiecznie w fotelikach.

— Ale czemu? — Nie dawał za wygraną. — Zawsze chcesz do bagażnika.

— Bagażnik jest zajęty.

— A czym jest zajęty?

Wyprowadziła samochód z miejsca parkingowego i ruszyła w drogę, ignorując pytanie syna. Ten jednak przesunął się do przodu, nie odpuszczając.

— Czemu bagażnik jest zajęty?

— Bo leżą tam bagaże, a teraz siadaj porządnie.

Eliza skręciła na drogę do Mroczyc.

— A czemu wiesz bagaże?

— Bo się przydadzą.

Adam pociągnął brata za rękaw i szepnął mu coś do ucha. Przez chwilę obaj rozglądali się na boki. Eliza regularnie zerknęła w tylne lusterko, obserwując ich. Nie potrafiła przewidzieć kolejnego pytania, ale wiedziała, że każde następne będzie coraz trudniejsze. Oczekiwała w napięciu, póki nie dostrzegła jadącego z naprzeciwka, ciemnego samochodu. Serce zabiło jej szybciej. Granatowa honda civic zbliżała się błyskawicznie. Eliza zacisnęła dłonie na kierownicy i starała się nie zmieniać kierunku jazdy. Wpatrywała się w szybę samochodu. Oświetlona tylko ulicznymi latarniami droga nie dawała wielu możliwości dostrzeżenia kierowcy, ale była pewna, że to jej mąż.

Samochód pędził po drodze w stronę Dębinki i minął ich w mgnieniu oka. Eliza dopiero po chwili uświadomiła sobie, że za kierownicą siedziała jakaś nieznana jej brunetka.

— Mamo?

— Tak, Kajtek? — spytała, próbując ukryć drżenie w głosie.

Chłopiec zawahał się. Popatrzył na jej profil z tylnego siedzenia, po czym znów przybliżył się do przodu, naciągając pasy.

— Mamo, wszystko w porządku?

— Tak, kochanie.

— Czemu nie jedziemy do domu?

Eliza przygryzła wargę, zaciskając palce na kierownicy tak mocno, że zbieleły jej kłykcie. Jeśliby tego nie zrobiła, trzęsłaby się jak osika.

— Nie jedziemy do domu, Kajtek. Usiądź porządnie. — Syn nie dawał za wygraną, więc zagroziła, marszcząc czoło. — Bo nic ci nie powiem.

Zadziałało. Chłopiec rzucił się na tylną kanapę, aż głucho huknęło. Adam spojrzął na niego z dezaprobatą.

— Siedzę — stwierdził wyczekująco.

— Pomyślałam, że zrobimy sobie małą wycieczkę.

— Czy tata coś ci zrobił?

Bezpośredniość syna ją zaskoczyła. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale chwilę trwało, zanim znalazła odpowiednie słowa.

— Nie, nie tym razem.

— Czy wrócimy do taty? — odezwał się nagle Adam.

— Nie wiem, synku.

Adam zamyślił się. Chłopcy spojrzeli po sobie, porozumiewając się bez słów. Czasem, tak jak teraz, Eliza była trochę zazdrosna o tę ich umiejętność. Nie potrafiła powiedzieć, co myślą jej własni synowie. Serce ją zabolalo, kiedy się do tego przed sobą przyznawała.

— Okej, mamó. — Kajtek kiwnął głową.

Eliza poczuła ulgę.

Weronika zapadła się w kanapę. Przez ułamek sekundy rozkoszowała się myślą, że może nie musiałaby nic robić. Za chwilę nadeszło opamiętanie i usiadła poprawnie. Rozejrzała się po salonie Pawła. Gospodarz właśnie zalewał trzy kubki kawy, a jej aromat przyjemnie kręcił w nosie, rozchodząc się po pomieszczeniu. Sławek przyszedł razem z nimi i teraz studiował zdjęcia na ścianie. Stał do niej tyłem, mimo to potrafiła powiedzieć, co myślał. Czekał, aż zaczną z Pawłem rozmawiać, aby ocenić sytuację.

— Proszę. — Paweł postawił na ławie trzy parujące kubki i usiadł w fotelu.

Sławek odwrócił się niespiesznie w ich stronę. Przemierzył salon wystudiowanym krokiem, ani nie za szybkim, ani nie za wolnym, idealnie wymierzonym, aby pokazać, że wcale nie jest zainteresowany. Zajrzał do kubka i skrzywił się nieznacznie.

— Nie masz czegoś mocniejszego?

— A ty nie prowadzisz?

Weronika zerknęła na niego czujnie. Odwzajemnił spojrzenie i z rezygnacją usiadł na kanapie obok niej.

— Teraz widzę, że tak. — Wziął kubek i upił łyk.

Oboje obserwowali adwokata w milczeniu.

— Właściwie to wy powinniście porozmawiać między sobą — doradził Sławek pod naporem ich spojrzeń. Paweł natychmiast odwrócił się w stronę kobiety, ta jednak wpatrywała się w prawnika. — Werka, to nie moja sprawa, ale z doświadczenia wiem, że rozmowa dobrze robi człowiekowi na wątrobę.

— Masz rację, nie twoja sprawa.

— Ty mu powiesz czy ja mam to zrobić? — Wskazał głową w stronę Pawła.

— Sławek!

— Dobrze. — Westchnął teatralnie, wstając i zabierając swój kubek. — Pozwolicie, że pójdę na papierosa, ale jak wrócę, ma być pozamiatane. — Wyszedł z salonu bez oglądania się za siebie. Po chwili ciszy, jaka zaległa w pokoju, usłyszeli trzaśnięcie drzwiami i kroki na schodach.

Paweł przetarł dłonią twarz. Czuł się niesamowicie zmęczony, ale jednocześnie pobudzony. W myślach kotłowało mu się tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć. Spojrzał ponownie na Weronikę. Siedziała spięta na krawędzi kanapy, jakby w każdej chwili gotowa była do wyjścia. Bał się, że jeśli on odezwie się pierwszy, to tak właśnie zrobi.

Weronika przysłuchiwała się krokom, póki zupełnie nie ucichły. Dopiero kiedy była pewna, że Sławek jest dostatecznie daleko, żeby nie podsłuchał ich rozmowy, odwróciła się do Pawła. Wiedziała, że ten moment kiedyś nastąpi. Odkąd tu przyjechała, nie miała co do tego wątpliwości, jednak chciała, żeby nastąpił jak najpóźniej. Nawet teraz czuła, że nie ma dość odwagi, by wyznać mu wszystko, choć tak jak mówił Sławek, wiedziała, że Pawłowi należy się prawda.

Siedział naprzeciw niej nad kubkiem parującej kawy. Nie naciskał. Nie próbował wyciągnąć niczego siłą. Pomyślała, że taka postawa może jej pomóc w rozmowie.

— Co chciałbyś wiedzieć? — spytała wreszcie, gdy cisza się przedłużała.

— Może na początek, skąd go znasz?

— Kilka lat temu wpakowałam się w nieprzyjemną sprawę — wyjaśniła spokojnie. — Chłopak, z którym się spotykałam, okazał się handlarzem, kradł samochody. Myśleli, że z nim współpracuję i chcieli pociągnąć mnie do odpowiedzialności. Pomogła mi wtedy ciocia Mila, kuzynka mojej mamy, załatwiła adwokata. Tym prawnikiem był właśnie Sławek, w zasadzie jest

moim dalekim kuzynem.

— Przez chwilę myślałem, że to twój partner. — Paweł kiwnął głową w kierunku drzwi.

Weronika nie odpowiedziała.

— Mimo wszystko dziękuję ci za pomoc — rzekł w końcu. — Nie sądziłem, że policja odpuści tak łatwo.

— Nie odpuściłaby, gdyby nie Sławek. — Weronika wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Pomimo tego, że prawnik na wszelkie sposoby starał się złagodzić jej to nieprzyjemne doświadczenie, policjanci byli wyraźnie wściekli, kiedy ustalił z nimi szczegóły przekazania informacji. Czuli się chyba wystrychnięci na dudków.

— Mam nadzieję, że szybko go złapią, to chyba tylko formalność?

— Nie wiem, nie wyglądali, jakby się spieszyli. — Weronika pokiwała głową.

— Teraz będziesz mogła trochę odpocząć. Dzwoniłem do Krzyśka. Przyjdzie jutro pomóc w piekarni, będziemy mieć wreszcie trochę czasu dla siebie.

— A co z jego egzaminami?

— Mówił, że został mu jeszcze jeden, ale ma trochę czasu do niego, więc z chęcią mi pomoże.

Weronika uśmiechnęła się łagodnie.

— Jutro mam wizytę u notariusza.

— Myślisz, że Eliza będzie miała do tego głowę?

— Trzeba podpisać papiery, a im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

— Chcesz wyjechać? — domyślił się.

Zawahała się. Były rzeczy, które ciągnęły ją do Poznania. Było ich tak wiele, że nie potrafiła ich zliczyć, ale z drugiej strony, te kilka dni w Mroczycach obudziło wspomnienia. Na chwilę zapomniała o problemach i uwierzyła, że mogłaby spędzić tu szczęśliwie resztę życia.

— Nie — odarła po chwili namysłu i ku swojemu zdziwieniu, zupełnie szczerze. — Chciałabym tu zostać dłużej.

— A więc załatwione. — Paweł się ucieszył.

Na schodach usłyszeli kroki. Jak na komendę odwrócili się w stronę drzwi. W progu stanął Sławek. Poważna mina nie wróżyła nic dobrego. Poczuli ścisk w żołądku.

— Werka, chyba masz gości — odezwał się chłodnym tonem.

Zerknęła na Pawła. Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że też nie ma pojęcia, kto mógłby przyjść do piekarni w jej poszukiwaniu. Nie czekała. Ruszyła do wyjścia. Sławek przepuścił ją w progu i podążył za nią wraz z Pawłem.

Weronika zeszła do kuchni i przemierzyła ją w kilku krokach. Zatrzymała się dopiero w sali piekarni, zdziwiona tym, co zobaczyła.

Eliza stała pośrodku niewielkiej, pustej przestrzeni pomiędzy wejściem a stolikami, trzymając za ręce dwóch, prawie identycznych, chłopców. Do tej pory Weronika widywała ich tylko na zdjęciach w Internecie i nie sądziła, że przy takich stosunkach, jakie miała z siostrą, będzie jej kiedyś dane zobaczyć bliźniaków na żywo. Omiotła spojrzeniem ich blade twarzyczki i utkwiała je w siostrze. Eliza wyglądała na zmęczoną i przerażoną. Miała ochotę ją przytulić, ale po ostatnich spotkaniach bała się podejść.

— Nie wiedziałam, gdzie iść.

To jedno zdanie wypowiedziane przez Elizę odblokowało starszą siostrę zupełnie. Podeszła i zamknęła ją w objęciach. Poczuli, jak Eliza drży.

— Już dobrze, siostrzyczko.

Pociągnęła ją w stronę kuchni. W progu stał Paweł, przyglądając się scenie w milczeniu. Posłała mu błagalne spojrzenie, na które odpowiedział lekkim uśmiechem. Pochylił się w stronę

chłopców.

— Cześć, chłopaki, pójdziecie ze mną na górę? Napijemy się gorącej czekolady, co wy na to?

Bracia popatrzyli na siebie porozumiewawczo, po czym równo skinęli głowami. Adaś odwrócił się w stronę Elizy, czekając na pozwolenie. Kiwnęła głową, z ledwością powstrzymując łzy.

Bliźniaki ruszyli z Pawłem na piętro. Ich mały pochód słyhać było wyraźnie, kiedy tupali na wysokich stopniach. Sławek został, obierając wartę przy drzwiach, szybko jednak doszedł do wniosku, że nic tu po nim.

— Będę wam potrzebny? — spytał po chwili.

Weronika zawahała się, ale zaprzeczyła. Wyszedł, podążając na górę za resztą chłopaków.

Kobiety przysiadły w kuchni, przy roboczym stole. Eliza rozejrzała się z zaciekawieniem. Jej siostra wydawała się tu poruszać naturalnie, jakby była u siebie.

— Opowiadaj, co się stało?

— Miałaś rację — przyznała Eliza, spuszczać na chwilę głowę. Słowa przychodziły jej z trudem, ale musiała to z siebie wyrzucić. Ta potrzeba była silniejsza od wstydu i była jedynym sposobem na nazwanie strachu i uporanie się z nim.

— Zrobił ci coś?

Eliza zacisnęła wargi. Walczyła ze sobą, nim zdołała odzyskać głos.

— Piotr nigdy nie był łagodnym człowiekiem. Kiedyś wydawało mi się, że wystarczy, że jest opiekuńczy i dzięki temu da się funkcjonować jakoś z tą... — Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa, opisującego zachowanie męża, w końcu zrezygnowana spuściła głowę. — Gwałtownością, ale wczoraj chłopcy próbowali mnie bronić i...

Głos się jej załamał. Weronika pogładziła ją po ramieniu, czekając, aż się uspokoi.

— Chciałam go otruć — wyznała Eliza i rozplakała się.

— Niemożliwe...

— Pomyślałam... — wydukała, wpadając w słowo siostrze. Musiała wyznać wszystko teraz, inaczej nigdy się już nie odważy. — Pomyślałam, że jeśli ty mogłaś zabić ojca, to ja mogę zabić Piotra.

— Myślałaś, że ja... — Weronika nie dowierzała. Eliza wzruszyła ramionami.

— Uwierzyłam w to, co mówili. Że zabiłaś ojca. Pomyślałam, że jeśli ty byłaś do tego zdolna, to ja też mogę. Zebrałam w lesie grzyby, w okolicach dochodziło nawet do kilku zatrucí rocznie, miałam nadzieję, że wezmą to za głupią pomyłkę.

— Eliza...

— Przygotowałam wszystko. — Jeszcze raz weszła w słowo siostrze. — Wierzyłam, że jestem mądrzejsza od ciebie, bo ty dałaś się złapać, a mnie przecież nikt nie oskarży o umyślne otrucie męża... i wtedy zadzwoniła pani Róża. — Eliza uśmiechnęła się do siebie. — Naprawdę nie wiem, jak ona zdobywa te wszystkie informacje, ale powiedziała, że cię wypuścili, bo to nie ty zabiłaś tatę. Wtedy straciłam odwagę.

Weronika pokiwała przecząco głową. Nigdy by nie pomyślała, że jej własna siostra uwierzy w coś takiego. Nie potrafiła jednak mieć do jej pretensji, widząc, jak jest roztrzęsiona i zapłakana.

Zsunęła się z krzesła i objęła ją. Sama miała ochotę się rozplakać. Nigdy nie podejrzewała, że młodsza siostra tak cierpi. Patrząc na zdjęcia i krótkie posty na stronach społecznościowych, które czasem widywała podczas tych dziesięciu lat, Weronice wydawało się, że Eliza dobrze trafiła z wyborem męża. Miała dom, partnera, który dobrze zarabiał, i dwójkę

zdrowych dzieci. Nie narzekała na nic, chwaliła się za to sukcesami męża oraz ciekawymi wakacjami za granicą. Doprowadziła do tego, że Weronika łapała się niekiedy na zazdrości wobec niej. Okazało się, że cała ta internetowa historia była jedynie na potrzeby publiki. Za drzwiami działy się o wiele gorsze rzeczy.

— Zrobiłaś to? — spytała poważnie, bojąc się odpowiedzi, jaką mogła usłyszeć.

Eliza pokręciła głową.

— Nie potrafiłam.

Odetchnęła z ulgą. A więc Eliza i chłopcy nie byli zagrożeni.

— Już dobrze.

— Nie, nie jest dobrze. — Eliza opanowała nerwy i spojrzała poważnie. — Piotr będzie wściekły, będzie chciał odebrać mi chłopców.

— Nie może tego zrobić...

— Nie znasz go, ma w okolicach wpływy. Będą robić, co im każe.

— Spokojnie — zapewniła Weronika. — Załatwimy to. Na razie musicie trochę odpocząć.

— Myślisz, że mogę odpoczywać, kiedy on w każdej chwili może tu przyjechać?

— Czego ode mnie oczekujesz? — Weronika odrobinę straciła cierpliwość. Uparta postawa wzbudzała w niej irytację.

— Myślałam... — zawahała się Eliza i spojrzała błagalnie. — Myślałam, że może pojechałybyśmy do ciebie, do Poznania. Może przyjęłabyś nas na jakiś czas. On nie wie, gdzie mieszkasz.

— Chcesz jechać teraz, w nocy?

— To nie jest tak daleko, a chodzi mi tylko o kilka dni, później zejdem ci z oczu.

— Eliza, to nie tak... — zaczęła, ale siostra przerwała nerwowo.

— On jest zdolny do wszystkiego, może nas pozabijać.

Weronika drgnęła.

— Wiedziałaś?

— O czym? — Eliza spojrzała zaskoczona.

Dopiero po chwili Weronika zdała sobie sprawę z tego, że jej siostra nie mogła wiedzieć o tym, co się stało na pomoście. Uznała jednak, że może lepiej powiedzieć jej jak najszybciej. Eliza i tak już nie miała złudzeń co do męża, mogła w końcu usłyszeć całą prawdę o nim.

— Tej nocy, kiedy zginął nasz ojciec — zaczęła, starając się mówić spokojnie. — Spotkałam się z nim.

— Z ojcem?

— Tak. Odkąd dowiedział się, że chcesz sprzedać dom mamy, nie dawał mi spokoju. Uważał, że powinnam oddać mu część pieniędzy. Dowiedział się o mnie... próbował mnie szantażować, wydzwaniał regularnie. Kiedy przyjechałam, byliśmy umówieni nad jeziorem. Ojciec ponownie zażądał ode mnie pieniędzy. Twierdził, że skoro mieszkał kiedyś w tym domu, to mimo że rozwiódł się z mamą wiele lat temu, nadal należało mu się coś ze sprzedaży. Mówił, że ty nie chciałaś mu dać pieniędzy. Nie zgodziłam się, tłumacząc mu, że ja nic z tej sprzedaży nie będę miała. Przecież ustaliłyśmy, że pieniądze bierzesz ty z Piotrem, ja zrzekłam się swojej części. Nie uwierzył mi. Wściekł się i wyklął mnie od najgorszych, zaczął szarpać. Wyrwałam mu się. W końcu już nie jestem tą małą dziewczynką, którą mógł kiedyś podporządkować. Uciekłam od niego.

Weronika wzięła głęboki, przerywany oddech. Eliza wpatrywała się w nią, czekając na dalszy ciąg opowieści. Instynkt podpowiadał jej, że to nie koniec i choć pytania kłębiły się i były o palmę pierwszeństwa, zawzięcie milczała.

— Po kilkudziesięciu metrach opamiętałam się. Nie mogłam pozwolić na to, żeby opowiadał o mnie... — zawahała się. Spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się smutno. — Nie chciałam, żebyście wy tu mieli przeze mnie kłopoty. Mieszkacie w Mroczycach, mój wyjazd, zawsze to powtarzałaś, był obiektem plotek i miał wpływ także na to, jak patrzyli na ciebie i mamę. Nie chciałam, żebyś miała z tego powodu kolejne problemy. Zawróciłam. Myślałam, że spróbuję jeszcze raz z nim porozmawiać. W ostateczności zamierzałam poprosić ciebie i Piotra o trochę pieniędzy ze sprzedaży, żeby zapłacić ojcu. Kiedy dotarłam z powrotem nad jezioro, zobaczyłam, że ojciec z kimś rozmawia. W pierwszej chwili go nie poznałam. Stał do mnie tyłem, miał na sobie strój do biegania. Zatrzymałam się, bo nie chciałam, żeby mnie widział. Czekałam, aż odejdzie.

Weronika zauważyła rozkojarzenie siostry i przerwała opowieść. Eliza poczuła, jak robi jej się gorąco. Kręciło jej się w głowie. Coś w tej historii pobudziło szybko pracującą wyobraźnię. Podpowiadało, że wie, jakie jest rozwiązanie. Zaszło jej w ustach. Rozejrzała się za czymś do picia.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoiła się.

— Wody...

Weronika kiwnęła głową.

— Poczekaj.

Podeszła do zlewu i wyciągnęła z ociekacza na oknie szklankę. Po chwili wahania dostawiła drugą. Mdliło ją od obrazów, które odżyły w jej głowie, po raz kolejny od tamtej feralnej nocy, ale opowiadała tę historię już kilka razy i za każdym razem wydawała się odrobinę łatwiejsza. Pragnęła, żeby to był ostatni raz, kiedy musi ją opowiedzieć.

Nalała wody z czajnika z filtrem, stojącego na oknie. W końcu wróciła na miejsce, stawiając szklankę przed siostrą. Obserwowała, jak pije łąpczywie. Wkrótce w szklance nie było już nic. Eliza popatrzyła z lekkim przerażeniem. Obie wiedziały, że dalszy ciąg jest nieunikniony, a czas odsuwania go od siebie minął.

— Klócili się — podjęła wreszcie Weronika. — Zdaje się, że o to samo, o co ojciec klócił się ze mną. O pieniądze. Zaczęli się szarpać i wtedy zauważyłam, że to Piotr. Ojciec ledwie trzymał się na nogach, tak był pijany, roześmiał się. Powiedział, że młokos nie będzie mu podskakiwał i zapłaci, jeśli nie chce zniszczyć sobie reputacji w okolicy. Trudno robi się interesy, jak wszyscy uważają go za łosia, który dał się złowić na kobietę z takiej rodziny. Chwiał się i chyba chciał odejść. Wtedy Piotr stracił cierpliwość i zamachnął się. Ojciec padł jak długi, a ja zobaczyłam, że Piotr ma w ręce kamień. Rozejrzał się wokół i wrzucił go do wody, później podniósł ciało ojca i zrzucił je z pomostu. Kiedy zrozumiałam, co się stało, uciekłam stamtąd.

— Nie poszłaś na policję?

Weronika uśmiechnęła się smutno. Odwróciła głowę.

— W pierwszej chwili chciałam, ale zawahałam się, a później im dłużej myślałam, tym bardziej przekonywałam samą siebie, że dobrze się stało. Myślałam, że Piotr bronił ciebie i dzieci, a nasz ojciec do świętych nie należał. W ten sposób, dzięki Piotrowi, ja też zostałam uwolniona od problemu. Jak mogłam zaprowadzić do więzienia kogoś, dzięki komu byłam wolna, a ty bezpieczna? Do tego sprowadzić na ciebie i dzieci piętno męża mordercy? Dość przysporzyłam ci kłopotów.

Eliza milczała, oszołomiona informacjami, jakie na nią spadły. Domyślać się końca historii to jedno, a usłyszeć ją głośno, od własnej siostry, to drugie.

— Zmieniłaś zdanie? — wydukała w końcu.

— Piotr przyszedł tu i mi groził. Wtedy zrozumiałam, że jego zachowanie jest inne niż to, które przedstawiałaś. Nie byłam tylko pewna, czy ty jesteś tego świadoma. Dlatego chciałam

ciebie bronić. Kiedy zauważyłam, że też jesteś krzywdzona, przestałam mieć skrupuły.

— Co ja teraz zrobię? — Eliza pokręciła głową.

— Nie martw się, policja już o wszystkim wie. Pewnie już go aresztowali.

Młodsza siostra popatrzyła na starszą z niedowierzaniem. W jej oczach znów pojawiły się łzy.

— Wszystko będzie w porządku — zapewniła ją Weronika. — Poproszę Pawła, żebyście tu dziś przenocowali, a jutro będziesz mogła wrócić do domu bez tego drania. Chodź na górę.

Wyciągnęła do niej zachęcająco rękę.

Eliza poddała się jej, pozwalając poprowadzić się w stronę schodów.

— Wera?

— Tak?

Starsza siostra odwróciła się i spojrzała z zaciekawieniem.

— Jaką tajemnicę chciał wyjawić ojciec?

Weronika pobladła. Zatrzymała się w pół kroku. Eliza dostrzegła, że naruszyła w niej bardzo czułą strunę, która wibrowała, próbując przechylić szalę na którąś stronę. W końcu Weronika spojrzała w stronę schodów, jakby sprawdzała, czy ktoś tam na nie czeka i zawróciła. Cofnęła się i klapnęła ciężko na krzesło.

— Mam dziecko, córkę — wyjawiała w końcu.

Eliza zmarszczyła brwi. Informacja pomimo tego, że zaskakująca, nie wydawała jej się specjalnie tajemnicza. Weronika zauważyła konsternację siostry i odetchnęła głęboko. Musiała opowiedzieć jej więcej, aby zrozumiała.

— Ma na imię Ida i ma dziewięć lat — zaczęła.

Eliza przytaknęła odruchowo.

— Pamiętasz tę noc, kiedy wróciłam po studniówce w podartej sukience?

— Pamiętam. Myślałam, że sama założę ją na swoją studniówkę, ale nie nadawała się do niczego.

— Tamtej nocy byłam z Pawłem. Wiedziałam, do czego może dojść. Oboje wiedzieliśmy — poprawiła się. — Po zabawie poszliśmy do magazynku na tyłach szkoły, Paweł miał klucz. Trochę wypiliśmy dla kurażu i zaczęliśmy się kochać. Myślałam, że jestem na to gotowa... ale w ostatniej chwili stchórzyłam.

Głos Weroniki załamał się. Przez chwilę walczyła ze sobą, aby odzyskać nad nim władzę.

— Chciałam to przerwać, ale Paweł nie pozwolił. Próbowałam się wyrwać...

Oczy Elizy powoli powiększały się w miarę, jak docierał do niej sens słów. Weronika skrzywiła się.

— To nie była jego wina. Zaczęliśmy to razem, ale przeraziłam się. Kiedy wytrzeźwiałam, bałam się do niego zbliżyć. On chyba też tego żałował, bo trzymał się ode mnie z daleka. Później okazało się, że jestem w ciąży. Kiedy dowiedzieli się o tym rodzice, wywieźli mnie do ciotki Mili do Poznania. Liczyli na to, że tam młoda matka z dzieckiem, ale bez męża, nie będzie się tak rzucać w oczy. To był chyba jedyny czas po ich rozwodzie, kiedy zrobili coś razem.

— Mama też?

— Zwłaszcza ona. — Weronika uśmiechnęła się smutno. — Zawsze dbała, żeby jak najmniej było o nas plotek, wystarczyło, że ojciec nadużywał alkoholu. A tak przynajmniej w Mroczykach trochę mniej gadali. Byłam na nich wściekła. Zachowywali się, jakby się mnie wstydzili, nikt nie miał się dowiedzieć, że mam bękarta.

— Nikt?

— Nikt. Obiecałam to naszym rodzicom, w zamian za to, żeby się od nich uwolnić.

Obiecali nie wtrącać się nigdy więcej do mojego życia, jeśli fakt o mojej ciąży z Pawłem nie dotrze do nikogo w Mroczycach. Dlatego zerwałam kontakt ze wszystkimi. Ciotka Mila okazała się lepsza od rodziców. Opiekowała się mną i Idą do końca moich studiów. Pomagała mi, żebym mogła skończyć naukę.

— Paweł nie wie?

— Nie.

— Jak tak możesz? Mieszkasz z nim.

Zmarszczyła brwi. Spojrzała na siostrę z jawną naganą. Weronika poczuła, jak wzbiera w niej nagła fala złości.

— A co miałam mu powiedzieć? „Cześć, masz dziewięcioletnią córkę”?

— Jest to jakiś pomysł.

— Wścieknie się.

— I ma prawo.

— Nie chcę...

— Będiesz go okłamywać?

Weronika otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Po chwili zacisnęła je w wąską kreskę.

— Jak chcesz, ja mu mogę powiedzieć — zaproponowała Eliza.

Siostra zgromiła ją wzrokiem. Eliza wiedziała, że nie jest to najlepszy pomysł, ale w tej chwili nie przychodziło jej do głowy nic innego. Siedziały w milczeniu.

— Ale powiesz mu w końcu? — zapytała po chwili.

Weronika przytaknęła.

— W odpowiednim czasie.

— Żaden czas nie jest odpowiedni na bolesną prawdę, po prostu mu powiedz — poradziła.

Weronika posłała jej niechętne spojrzenie, ale nie zaprzeczyła. Eliza uznała, że nic więcej nie wskóra. Siostra potrzebowała czasu. Ucieszyła się, że przynajmniej ona sama została dopuszczona do tajemnicy. Weronika wreszcie otworzyła się przed nią. Miała wrażenie, że powoli znów odzyskiwała starszą siostrę.

— A więc jestem ciotką. — Uśmiechnęła się. — W takim razie muszę się do ciebie wybrać, żeby Kajo i Adaś mogli poznać kuzynkę.

Eliza wstała ponownie z krzesła, widząc niepewną reakcję Weroniki. Nie chciała naciskać. Najwyraźniej siostra niełatwo akceptowała zmiany i była bardziej zamknięta w sobie, niż jej się wydawało.

— Chodźmy na górę, zobaczymy, czy moje bliźniaki nie rozniosły Pawłowi mieszkania.

*

Położenie chłopców spać okazało się nie lada wyzwaniem. Dwóch urwisów nawet tak małych, pod wpływem nowego, nieznanego miejsca i wydarzeń całego dnia, z trudem pozwoliło się ujarzmić czwórce dorosłych. Nie pomogła ciepła kolacja zaserwowana przez Pawła ani bajki czytane z komórki przez zapobiegliwą Elizę. Kajtek i Adaś zasnęli długo po dwudziestej drugiej, uśpieni w łóżku Pawła, wraz z Elizą leżącą pomiędzy nimi. Asystująca w tej akcji Weronika w końcu odważyła się wymknąć z pokoju po długim wahaniu, dopiero kiedy upewniła się, że żadne z trójki śpiochów nie obudzi się, gdy nagle ruszy się z fotela. Zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak potrafiła.

Potarła zeszywniały kark i podeszła do kuchni. Paweł kończył sprzątanie po kolacji dla sześciu osób. Uśmiechnął się do niej ciepło, widząc ją w drzwiach.

— Kawę czy herbatę?
— Najchętniej coś mocniejszego — odparła, pochodząc bliżej. Na blatach nie było śladu ich posiłku. Rozejrzała się po pokoju. Sławek stał przy oknie i rozmawiał przez telefon.
Paweł wyciągnął z szafki dwa kieliszki. Po chwili na stole postawił butelkę wina. Rozlał trunek do kieliszków, jeden stawiając przed Weroniką, drugi przed sobą.
— To był długi dzień — usprawiedliwił siebie i ją. — Niecodziennie człowieka zamykają za morderstwo.
— I niecodziennie go wypuszczają jako niewinnego — dodała. Upiła łyk wina. Słodkawy smak podziałał kojąco.
— Co z Elizą?
— Śpi razem z chłopcami, oni też mieli ciężki dzień.
— Znam Piotra od dawna — zaczął Paweł po chwili zamyślenia. — Przychodzi często do piekarni. Jest zdecydowany, inteligentny i obrotny, ale nigdy bym nie pomyślał, że jest zdolny do czegoś takiego. — Pokiwał z niedowierzaniem głową.
— Właśnie dlatego, że jest inteligentny, potrafił się z tym kryć. Policja już powinna go aresztować. — Weronika odruchowo spojrzała na Sławka. Prawnik tym razem rozsiadł się wygodnie na kanapie, pograżony w kolejnej rozmowie.
— Miejmy nadzieję.
Paweł dopił wino. Odstawił kieliszek do zlewu i spojrzał na zegar ścienny.
— Krzysiek powinien za chwilę się pojawić. — Zawahał się, pochylił nad stołem i pocałował Weronikę w usta. — Będiesz spała w sypialni z Elizą i chłopcami?
— Może zejść na dół wam pomóc?
— Nie trzeba. — Uśmiechnął się do niej ponownie i ruszył w stronę drzwi.
Odprowadziła go wzrokiem, nie zauważając nawet, kiedy Sławek skończył rozmowę i zbliżył się do kuchni.
— Nie powiedziałaś mu — stwierdził sucho.
— Zamknij się — warknęła rozeźlona. — Działasz jak wyrzut sumienia.
— To alternatywne określenie prawnika.
— A myślałam, że „wrzód na tyłku”?
— Mamy wiele imion — stwierdził filozoficznie, zupełnie niezrażony tą wymianą zdań. Zdjął z szafki czysty kieliszek i nalał sobie wina. Weronika obserwowała go w milczeniu.
Sławek usiadł naprzeciw niej. Zanim dobrze się ułożył, odezwała się jego komórka. Zmarszczył brwi, patrząc na wyświetlacz z nieznanym numerem, w końcu jednak zdecydował się odebrać.
— Tak? — rzucił kontrolnie. Weronika patrzyła, jak jego twarz czerwienieje stopniowo z wściekłości. — Co wy tam, kurwa, robicie?! — warknęła rozwścieczony.
Rozłączył się, rzucając komórkę na blat stołu.
— Co się stało?
— Nie złapali Piotra Kwiatkowskiego. Nie znaleźli go w domu, teraz szukają po okolicy.
— Uciekł im? — Weronika zeszytywniała na myśl, że mąż Elizy może gdzieś jeszcze chodzić na wolności.
— Nie znaleźli go w domu — powtórzył.
— Myślisz, że dowiedział się i gdzieś wyjechał?
— Nie zabrał żadnych rzeczy — analizował na szybko Sławek — więc albo uciekał w popłochu, albo krąży gdzieś po okolicy.
— Po okolicy?!
Wiśniewski wzruszył ramionami.

— Tak czy inaczej nie mają go. Musimy zachować ostrożność.

Weronika przytaknęła. W pełni zgadzała się ze Sławkiem. Niepokój na myśl o spotkaniu z Piotrem ścisnął jej gardło.

— Pójdę zobaczyć, co u Elizy i dzieciaków — rzuciła, szukając jakiegoś zajęcia, które pozwoli jej nie myśleć o strachu.

Odsunęła od siebie kieliszek i ruszyła w stronę sypialni. Sławek zawahał się, po czym wstał i wylał nienapoczęte wino ze swojego kieliszka do zlewu. Jeśli coś mogło się stać, lepiej, żeby był zupełnie trzeźwy.

Weronika wróciła prawie biegiem, wpadła do salonu i zatrzymała się dopiero przy stole.

— Eliza zniknęła.

— Jak to zniknęła?

— Nie ma jej w pokoju. Zostawiłam całą trojkę, a teraz ich nie ma. Całej trójki. Musieli przed chwilą wyjść.

— Cholera. — Ruszył w stronę schodów.

Na wyścigi oboje wpadli do kuchni, gdzie Paweł zaczynał odmierzać pierwsze składniki na świeże ciastka. Na pytanie, czy widział Elizę, ze zdziwieniem zaprzeczył. Sławek rzucił jeszcze kilka soczystych przekleństw i wypadł na podwórko przeszukać najbliższą okolicę.

Weronika ruszyła w przeciwnym kierunku, nie wyjaśniając Pawłowi słowem, co jest dokładnie powodem zamieszania. W progu piekarni zderzyła się z Krzyśkiem.

— Ostrożnie.

— Przepraszam — rzuciła w pośpiechu, usprawiedliwiając się. — Szukam siostry.

— Elizy?

Weronika zatrzymała się gwałtownie i kiwnęła ponagląjąco głową.

— Widziałem, jak szła tu, za róg.

Kobieta rzuciła się w pogoń, nie dziękując nawet za pomoc.

Bierczyński czuł się tak zmęczony, że z ledwością otwierał powieki. Z drugiej strony szanse na to, aby w najbliższej przyszłości mógł się przespać, były naprawdę niewielkie. W uszach dźwięczały mu kąśliwe słowa prokuratora. Wystarczyła jedna, krótka rozmowa Wiśniewskiego, by w komisariacie zawrzało jak w ulu. Rozdzwoniły się telefony.

Wypuszczenie Zabudy i Wrony było tylko małym następstwem afery. Bierczyński nie wyobrażał sobie, co by się działo, gdyby Wiśniewski nie namówił przerażonej Weroniki do zeznawania na temat morderstwa. Wreszcie wszystko zaczęło pasować. Układ, który zawarli, był beznadziejny, ale pozwalał na złapanie mordercy i na tym się skupili.

Komendant posłał w myślach przekleństwo w stronę Rąbarki. Najwyraźniej za bardzo cenił tego przybłędę z miasta, sądząc, że uda mu się rozwiązać sprawę, i komendant będzie mógł pochwalić się wynikami. Patałach jeden.

Bierczyński poczuł, że się dusi. Rozluźnił krawat, ale niewiele to dało. W końcu wstał i otworzył szeroko okno. Chłodne powietrze w pierwszym momencie sprawiło, że się zachłysnął. Wreszcie jednak odzyskał oddech.

— Jak tak dalej pójdzie, to się wykończę — mruknął do siebie, wracając za biurko.

Żona od dawna powtarzała mu, że powinien znaleźć sobie jakieś zajęcie. Coś, co mógłby określić jako hobby, a co relaksowałoby go w takich momentach. Niestety jedzenie odpadało. W domu żona pilnowała go jak cerber i udało jej się też przekonać do swoich racji sekretarkę, przez co Bierczyński zupełnie stracił dostęp do uwielbianych latami raczków oraz kasztanków. Dwa lata temu, kiedy jego wyniki badań okazały się nadzwyczaj złe, żona wtargnęła do biura i wymiotła wszystko. Nie zważała na ważne papiery czy dokumenty. Po prostu przetrząsnęła każdy kąt i wyniosła z pokoju karton cukierków. Pani Teresa, sekretarka, asystowała jej w tej jawnej zdradzie, ku rozpaczy Bierczyńskiego. Od tamtej pory nie zjadł ani grama czekolady i nie było najmniejszych szans, że to się zmieni. Musiał więc znaleźć coś innego.

Jego wzrok padł na zdjęcie ruin nad jeziorem, zawieszzone na ścianie. Mógłby łowić ryby — pomyślał. Jednak po znalezieniu trupa w jeziorze jakoś nie ciągnęło go w tamtym kierunku.

— Gdybyśmy tylko znaleźli tego Kwiatkowskiego — myśli Bierczyńskiego przeskoczyły znów na tory związane ze sprawą.

Niestety po przyjeździe do domu Kwiatkowskich nie zastali nikogo. Nie było ani żony, ani dzieci, zniknął też ten cholerny Kwiatkowski. Rębak znów go zawiódł, przysyłając jedynie wiadomość, że nic nie znaleźli, zabezpieczyli teren i będą szukać dalej. Kwiatkowski mógł być wszędzie. Równie dobrze mógł być już w okolicach Poznania. I jak on to wytłumaczy prokuratorowi?

Znów poczuł duszności, więc spróbował odwrócić swoją uwagę, myśląc o czymś innym.

— Pani Tereso! — wydarł się na całe gardło, zupełnie zapominając o istnieniu czegoś takiego jak interkom.

W progu pojawiła się sekretarka. Czekał na polecenie, omiotła spojrzeniem pokój i zmarszczyła brwi na widok otwartego okna.

— Gdzie Rębak?

— Chyba tu, w komisariacie.

— Jak to tutaj?!

— Normalnie. — Wzruszyła ramionami. — U siebie.

— Niech pani go woła, do jasnej ch...

Zdławił przekleństwo przez wzgląd na obecność kobiety. Staromodne wychowanie nawet

w obliczu klęski dopominało się o uwzględnienie.

— Natychmiast! — warknął.

— Dobrze — odparła spokojnie. — I niech pan komendant zamknie okno, bo się przeziębę. Małżonka będzie zła.

Sekretarka zniknęła w drugim pokoju. Po chwili usłyszał, jak dzwoni po Rębaka. Odetchnął głębiej chłodnym powietrzem, wpadającym przez otwarte okno.

Zajmując sobie czas przed przyjściem podwładnego, rozważał nowe możliwości na hobby. Mógłby zająć się filatelistyką, gdyby nie pogarszający się z każdym rokiem wzrok. Poza tym, jak oglądanie skrawków papieru miałyby rozładować emocje? Zdecydowanie lepsze byłoby bieganie, lubił je, kiedy był jeszcze w szkole oficerskiej. Potrafił przebiec dwadzieścia kilometrów dziennie bez większych problemów. Teraz jednak wydawało się to jedynie odległym wspomnieniem. Z niesmakiem spojrzął na swój ogromny brzuch.

Kontemplował go przez chwilę, krytycznie oceniając jego rozmiary. Nie było tak strasznie, trochę się zapuścił, ale gdyby zgubił kilo czy dwa... no, może z pięć, wyglądałby całkiem nieźle.

— Chciał mnie pan widzieć?

Obecność Rębaka w pokoju go zaskoczyła. Uniósł głowę, kierując wzrok ze swojego brzucha na podwładnego.

— Co ty tu robisz? — warknął.

— Chciał mnie pan widzieć — powtórzył Rębanka odrobinę wolniej, jakby tłumaczył bardzo zawiłą kwestię komuś niespełna rozumu. — Więc przyszedłem.

— Ja się nie pytam o obecność u mnie, tylko w komisariacie.

— Część ludzi szuka Kwiatkowskiego po okolicy, a ja przyjechałem, żeby zebrać informacje i wytypować miejsca, gdzie mógł pojechać.

— Gówno robisz, masz jechać w teren.

— Tak zamierzam. Podobno jego samochód widziano na osiedlu.

— To co ty tu, kurwa, jeszcze robisz, Rębak?

— Chciał mnie pan widzieć. — Teraz nawet podkomisarz wydawał się zniecierpliwiony.

W kieszeni Rębaka ożyła komórka. Nie zważając na obecność komendanta, wyciągnął aparat i odczytał informację. Jego twarz natychmiast się ożywiła.

— Muszę iść — rzekł szybko, zawracając w stronę drzwi.

— Nie pozwoliłem ci odejść!

Rafał stanął w progu, trzymając rękę na półotwartych drzwiach. Po drugiej stronie pojawiła się zaciekawiona twarz pani Teresy.

— Panie komendancie — zaczął spokojnie, ale mówił przez zęby, cedząc słowa i próbując powstrzymać się przed trzaśnięciem drzwiami. — Mamy trop i chyba wiem, gdzie jest Kwiatkowski. Muszę tam dotrzeć, zanim ten dupek zwieje albo zrobi komuś krzywdę. Dlatego nie mam czasu na rozmówki. Później będzie mnie pan mógł opieprzać do woli.

Zanim Bierczyński zdążył zareagować, Rębak wyskoczył już na korytarz. Jego pospieszny krok oddalał się szybko.

Do gabinetu weszła sekretarka. Minęła Bierczyńskiego i bez pytania zamknęła okno. Komendant wycedził coś przez zęby, czego nie zrozumiała. Zatrzymała się więc, zaciekawiona.

— Słucham pana?

— Polowanie — wycedził komendant.

— Co „polowanie”?

— Szukam nowego hobby — odparł. — Polowanie będzie dobre.

Teresa wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju, zostawiając Bierczyńskiego z jego

marzeniami. Siedział za biurkiem w milczeniu i z rozanielonym wyrazem twarzy wyobrażał sobie polowanie, gdzie zamiast rogatego jelenia występował Rafał Rębak.

Piotr powoli podjechał na wąską uliczkę przy przysadzistym domu otoczonym krzewami róż. Mieszkał tu jeden z kolegów synów. Wytypował go jako pierwszego głównie dlatego, że był najbliżej. Ze środka akurat wyszła młoda kobieta. Pamiętał ją z imienia — Anna. Nazwisko nie było dla niego ważne, takie rzeczy zapamiętywała Eliza. Nie musiał zajmować głowy drobiazgami, więc tego nie robił.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Ania z czarnym workiem zmierzała w stronę bramy, do stojących tam kubłów na śmieci. Spostrzegła gościa i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

— Cześć, Piotr! — zawołała. — Jaka niespodzianka.

— Cześć, nie widziałaś mojej żony?

Anna pozbyła się worka, odruchowo otrzepała dłonie, po czym schowała je do kieszeni jasnej bluzy. Noce nadal były chłodne, a ona nie planowała dłuższego postoju na dworze.

— Minąłeś się z nią. Przyjechała po chłopców jakiś czas temu — odparła.

— Naprawdę?

— Ale mówiła, że wracają do domu. Powinni już tam być. — Przechyliła lekko głowę. — Wracasz z pracy, tak późno?

Piotr zawahał się, ale pomysł był dobry.

— Dokładnie, Eliza mówiła, że tu są i pomyślałem, że zgarnę ich i pojedziemy razem na obiad — kłamał.

— Chłopcy jedli u mnie, więc pewnie nie będą zbyt głodni. Zrobiłam dla nich domową pizzę. Elizie się spieszyło, wyglądała na zmęczoną. Chyba mocno przeżywa śmierć ojca.

— Jest wrażliwa — potwierdził, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

— Masz rację. Pewnie nie dzisiaj, ale pomysł z obiadem jest dobry. Przy szybkiej trasie otworzyli nową restaurację, całkiem niezłą. Mój mąż zabrał mnie tam na naszą rocznicę, w zeszłym tygodniu, jak chcesz, mogę ci dać adres.

— Może kiedy indziej — zaprzeczył szybko. — Po prostu pojedę do nich, do domu. Cześć.

— Do zobaczenia.

Odprowadziła go wzrokiem, póki nie wsiadł do samochodu i nie ruszył. Zniknęła za drzwiami, ale nie zdziwiłby się, gdyby siedziała w oknie i pilnowała, czy na pewno odjechał.

Zawrócił i skierował się najkrótszą drogą w stronę domu. Intuicja podpowiadała, że Eliza wykombinowała coś, co mu się nie spodoba.

Już z daleka dostrzegł w ciemności mrugające na niebiesko koguty. Zanim podjechał pod dom, wygasił silnik i zatrzymał się z boku. W pierwszej chwili chciał tam pójść i przegonić policję, ale po rozejrzeniu się dokładniej, doszedł do wniosku, że coś jest nie tak. Było ich więcej niż ostatnio. Radiowóz stał pod domem, zagrządzając możliwość wjazdu na posesję, a przed wejściem kręciło się aż czterech policjantów rozglądających się nerwowo na boki.

Oni nie czekali na właścicieli posesji, oni polowali.

Włączył silnik i wycofał z wąskiej uliczki tak, aby go nie zauważyli. Wyjechał na drogę do Mroczy, zastanawiając się, co dalej. Kiedy obudził się po obiadowej drzemce, Elizy nie było. Zupełnym przypadkiem odkrył w łazience brak kilku podstawowych rzeczy, których używała. Musiała zatem spakować się na wyjazd, ale stosunkowo krótki. Pomyślał, że zawiozła chłopców do kolegi, aby tam nocowali. W końcu przy obiedzie coś wspominała, że byli poza domem. Jeśli jednak rzeczywiście pojechała po nich, to po krótkiej rozmowie z Anną wiedział, że zrobiła to najwyraźniej nie po to, aby wrócić z nimi do domu.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej irytowała go sytuacja. Eliza nie miała prawa wyjeżdżać bez jego zgody, a tym bardziej zabierać ze sobą chłopców. Zamierzał dać jej porządną nauczkę, jak tylko ją znajdzie. Była jego żoną i miała być posłuszna. Należało jej przypomnieć, kto rządził w ich domu, a kto słuchał.

Jadąc przez las, w oddali, na poboczu coś mu mignęło. Wytężył wzrok. Zbliżał się dość szybko, żeby po chwili móc dostrzec, że poboczem szła niewysoka kobieta w ciemnej kurtce z założonym na głowę kapturem i żółtą kamizelką z odblaskami narzuconą na wierzch. Nie sposób było jej nie zauważyć, choć sama obecność kogokolwiek na poboczu lasu, w środku nocy, była nietypowa. Kiedy był dość blisko, zauważył, że wędrowiec odwrócił się i zaczął machać. Zatrzymał się.

Postać zbliżyła się do samochodu i bez wahania otworzyła drzwi od strony pasażera.

— Panie Piotrze, dobry wieczór, cieszę się, że akurat pan jechał — zaszcebiotała pani Róża, wsiadając na miejsce pasażera.

Piotr oszołomiony jej bezpośredniością, w pierwszym momencie nie wiedział co odpowiedzieć. Tymczasem staruszka rozgościła się na całego w samochodzie.

— No, może już pan jechać — ponagliła grzecznie i powtórzyła przywitanie. — I dobry wieczór.

— Co pani robi tak daleko od Mroczyca, prawie w nocy? — zagał, patrząc na wyświetlacz wskazujący dobrze po dziewiątej. Ruszył z pobocza. Światła reflektorów omiotły drzewa przy lesie i rzuciły jasny snop na opustoszałą drogę.

— Byłam u koleżanki, syn miał mnie odebrać, ale coś mu wypadło — wyjaśniła.

— Nie wiedziałem, że pani syn mieszka tutaj.

— Wrócił niedawno — odparła dumnie, po czym zapatrzyła się przed siebie. — Ale chyba nie bardzo mu się podoba, jak jest w pracy, to nawet nie chce się do mnie przyznać, a w domu ciągle chodzi nerwowy.

— Jest aż tak źle? — spytał Piotr, odrobinę rozbawiony oburzeniem kobiety.

— Ja sobie myślę, że ta praca dla niego jest niezdrowa. Młodzi w dzisiejszych czasach są zdecydowanie zbyt nerwowi. Nawet myślałam, że może mu w Warszawie lepiej było i teraz żałuje?

— Powrotu do pani? Niemożliwe. Ale nie powinna pani wracać tak po nocy, to niebezpieczne. Syn może się martwić.

— A co może mi się stać. — Staruszka zaśmiała się. — Mam kamizelkę odblaskową, żeby mnie dobrze widzieli z daleka. Sam pan widział, że to skuteczne.

— Nie tylko takie niebezpieczeństwa czekają...

Pani Róża prychnęła rozbawiona.

— Chyba nie myśli pan, że ktoś pokusiłby się na staruszkę? Chociaż... — Zawahała się, spoglądając na pobocze szybko uciekające w mrok za nimi. — Słyszał pan, panie Piotrze, że morderca Macieja Zabudy nadal chodzi na wolności?

Popatrzyła na niego wyczekująco.

Piotr zacisnął palce na kierownicy. Nagle kobieta zaczęła go mocno irytować. Nie miał pojęcia, ile wiedziała. Zerknął na staruszkę, która właśnie w tej chwili zajęła się czytaniem informacji wyświetlonych na ekranie radia.

— Nie powinien pan słuchać takiej muzyki — zawyrokowała, stukając w panel palcem, choć radio było ściszone na tyle, że przez szum silnika nie byli w stanie rozróżnić dźwięków nadawanej audycji. — Siostrzeniec mojej koleżanki słucha tego w kółko i w końcu musieli z nim iść do terapeuty. Takiego dla dzieci. Co to się porobiło, że dzieci teraz do psychiatrów muszą chodzić.

Pani Róża pokręciła z dezaprobatą głową.

— Ja jestem już dorosły, pani Różo. — Zmusił się do lekkiego uśmiechu.

— Za moich czasów takie rzeczy były nie do pomyślenia. Było bezpieczniej, a ludzie byli spokojniejsi. Tu mnie pan może wysadzić, to sobie już dojdę.

Piotr spojrział we wskazanym przez panią Różę kierunku. Nieoświetlona poczta majaczyła pod lampą uliczną. Powoli wytracił prędkość i zatrzymał się przy chodniku. Był tak skupiony na krążących myślach, że nie uświadomił sobie, kiedy dojechali do Mroczyca.

— Może podwożę panią bliżej?

— A nie jedzie pan w stronę rynku?

— Rynku?

Pani Róża kiwnęła głową.

— Widziałam, jak Eliza jechała z Dębinki do Mroczyca, myślałam, że może zmierzała do koleżanki albo do siostry, bo o tej porze, to gdzie ma jechać?

— Ma pani rację, pani Różo. Nie będę pani zatrzymywał.

Staruszka ponownie skinęła głową, tym razem na pożegnanie i otworzyła drzwi. Chwilę trwało, nim udało jej się wygramolić na zewnątrz. Poprawiła kurtkę i kamizelkę odblaskową, po czym odwróciła się do kierowcy.

— Dziękuję, panie Piotrze, dobry z pana człowiek.

— Nie ma za co. — Uśmiechnął się ujmująco.

Pani Róża zatrzasnęła drzwi i ruszyła powoli chodnikiem. Obserwował ją, jak się oddalała. Nieoczekiwanie udzieliła mu wartościowych informacji. Im więcej o tym myślał, tym wydawało mu się to bardziej prawdopodobne, że Eliza pojechała do siostry. Nie miała w okolicy nikogo z rodziny prócz niej. Była też za słaba, żeby poradzić sobie samej, dlatego tak łatwo przyszło mu podporządkowanie jej.

Cholerna rodzina. Nie dawała mu spokoju. Gdyby Eliza była sama, sprawa byłaby prostsza. Niestety, kiedy żenił się z nią, nie pomyślał o tym, jak wiele kłopotów przysporzy mu reszta jej członków. Liczył, że pijaczyna ojciec, z którym matka rozwiodła się wiele lat wcześniej, będzie raczej nieprzyjemnym wspomnieniem niż realną postacią. Siostra, która wyjechała i zerwała kontakt równie dawno, też nie wydawała mu się kłopotliwa. Nie docenił bliskości, jaką tworzyły Mroczyce. Ludzie, nawet po rozstaniu, zostawali w tym tyglu, oddziałując na siebie. Pijak regularnie pojawiał się pod ich domem, wzbudzając nieustanne plotki. Siostra była cieniem kładącym się na rodzinie niczym kłątwa. Nie przydała się nawet teraz, choć miał nadzieję, że to na nią spadnie cała odpowiedzialność za morderstwo. Widział ją wtedy, kiedy rozmawiała z Zabudą na pomoście, nawet ich słyszał.

Tamtej nocy wybrał się na jogging wokół jeziora, jak często czynił. Bieganie pozwalało mu wyładować część emocji, zmęczyć ciało i zmniejszyć prawdopodobieństwo, że wścieknie się na Elizę. Ona tego nie rozumiała, podejrzewała go chyba nawet o romans. A on po prostu potrzebował biegania jak powietrza, także po to, aby ona pozostała bezpieczna. Pusta, ciemna ścieżka wokół jeziora kołła zwykle jego nerwy i pozwalała spokojnie zakończyć dzień. Tamtego wieczoru spostrzegł ich z daleka. Zdziwił się, widząc Zabudę z młodą kobietą na pomoście. W pierwszej chwili nie poznał Weroniki. Miał na to usprawiedliwienie, widział ją w życiu tylko raz, na własnym ślubie. Później nie miał okazji zobaczyć nawet zdjęcia. Eliza nie utrzymywała z nią kontaktu, a siostra nie udzielała się zbyt wiele na forach społecznościowych. Nie udostępniała zdjęć z wycieczek w egzotyczne kraje czy choćby porannej kawy w znanej kawiarni. Już przez to wydała się Piotrowi dziwna, była jednak daleko i nie przejmował się jej istnieniem.

Zabuda wydzierał się na nią wystarczająco głośno, by Piotr z zaciekawieniem przerwał bieg i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Po krótkiej wymianie zdań miał już pewność.

Dziewczyną, z którą rozmawiał stary, była jego córka, czego domyślił się błyskawicznie. W pierwszej chwili wściekł się na nią. Miała przyjechać dopiero za kilka dni na podpisanie papierów, a tymczasem zjawiała się za wcześniej i chyba tylko po to, aby wszystkim wokół utrudnić życie.

— Jestem twoim ojcem, należą mi się te pieniądze! — Maciej z ledwością trzymał się na nogach, ale nie zamierzał ustąpić. Wściekłość wykrzywiła jego naznaczoną alkoholem twarz.

— Nic ci się nie należy, skurczybyku.

— Nie waż się tak do ojca mówić. — Zachwiał się mocniej, robiąc krok w jej stronę. — Nadal nim jestem i twoim zasranym obowiązkiem jest dać mi te cholerne pieniądze.

— Ja nic z tego nie będę miała — wyjaśniła, odsuwając się od niego z odrazą. Przez cały czas utrzymywała bezpieczną odległość. Ręce schowała w kieszeniach płaszcza. — Więc nic ode mnie nie dostaniesz.

— Dasz mi, co będę chciał — odparł pewien siebie. Znów na nią natarł. — Bo się wszyscy dowiedzą o bękarcie, co nie ma ojca, kurwo jedna.

— Ten bękart to twoja wnuczka — wycodziła przez zęby, odsuwając się ponownie. Dotarła już do balustrady, dalej nie miała gdzie uciec. — I przez ciebie nie ma ojca!

— Ty niewdzięcznico!

Maciej zachwiał się i ruszył na nią z wyciągniętymi przed siebie rękoma, jakby chciał chwycić ją za gardło. Piotr obserwował scenę i w głębi serca miał nadzieję, że starcowi uda się udusić dziewczynę. Był stary i pijany, ale silny. Lata spędzone na pracy fizycznej zrobiły swoje. Gdyby ją chwycił, spokojnie mógłby pozbawić ją tchu na dość długo. Dla Piotra byłoby to idealne rozwiązanie wszystkich problemów. Pozbyłby się zarówno starca, jak i siostry za jednym zamachem, więcej już by mu nie bruździli w życiu. Eliza zostałaby sama na świecie i kompletnie od niego zależna.

Weronika wyciągnęła rękę z kieszeni. Trzymała w niej jakieś podłużne pudełko. Piotr usłyszał klikający dźwięk, a Maciej odskoczył gwałtownie. Potrząsnął głową jak mokry pies i utkwiał w córce wściekłe spojrzenie.

— Ojca tak traktujesz? — warknął przez zaciśnięte zęby.

— Dawno przestałeś nim być, stary durniu. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Weronika odwróciła się na pięcie, schowała taser do kieszeni i biegiem ruszyła przez pomost. Wyglądała, jakby ją sam diabeł gonił.

Maciej zrobił krok w jej stronę, ale był zbyt oszołomiony, żeby za nią podążyć. Musiał chwycić się balustrady, aby nie upaść.

— Jak nie ty, to zapłaci twoja siostra! — zawołał za nią, choć coraz mniej prawdopodobne było, że jego głos zdoła ją dogonić. — Obie jesteście siebie warte, kurwy jedne!

Machnął ręką za oddalającą się kobietą i zawisł bezwładnie na poręczy. Łapał oddech jak ryba wyciągnięta przed chwilą z wody.

Wtedy Piotr postanowił, że sam zakończy problem. Ta myśl, która wpadła mu do głowy jak piorun rozrywający nocne niebo, wydała się oczywista. Skoro Weronika nie potrafiła dokończyć tego, co zaczęła, on musiał ją wyręczyć. Maciej był w tej chwili zupełnie bezbronny. Doskonała ofiara. Przy odpowiednim rozegraniu tej sytuacji, mógł zrzucić winę na Weronikę. Wtedy też pozbyłby się dwóch problemów naraz. Uśmiechnął się do siebie i wyszedł z cienia. Pewnym krokiem przemierzył ścieżkę i wszedł na pomost. Maciej zwiślał nadal z balustrady, chwiejąc się na boki. Zdawało się, że próbuje zdecydować, czy wstać, czy może jednak odpocząć jeszcze chwilę. Był jednak zbyt pijany, aby zrobić cokolwiek.

— Stary durniu — przywitał go Piotr.

Maciej z trudem uniósł głowę, a później powieki. Chwilę trwało, nim zdołał zogniskować

wzrok, a w nasączonym alkoholem mózgu uformowała się logiczna myśl.

— Zięciunio... — Ukazał szczerbaty uśmiech pijaka.

Piotr ominął go i oparł się o barierkę. Maciej powoli zebrał się w sobie i znów stanął na chwiejnych nogach.

— Ty jeden jesteś normalny — wyrzucił z siebie Maciej. — Eliza dobrze trafiła. Gwałtowny, ale normalny. — Wyciągnął palec w górę, kiwając nim pouczająco. — Ty wiesz, że kobieta musi czasem dostać w łeb, bo to głupie stworzenie. Wiesz tak, jak ja, ale wiesz też, co jest najlepsze?

Gruby brudny paluch powędrował płynnym ruchem, wskazując na milczącego Piotra. Maciej spojrzał na niego bystro.

— Jesteś hojny dla starego teścia.

— Od nas też nic nie dostaniesz — odparł spokojnie, choć w środku wszystko w nim wrzało. Ten stary dziadyga uważał, że są do siebie podobni. Piotr poczuł obrzydzenie na samą myśl o Macieju.

— Staremu teściowi paru groszy żałujesz? — Maciej był wyraźnie zdziwiony.

— Stary durniu, nie będę płacił za twoje popijawy. Nic nie dostaniesz.

— Dostanę, dostanę. — Zachichotał, chwiejąc się na nogach. Chwycił się wolną ręką balustrady, aby nie upaść. — Dostanę, bo ty nie lubisz plotek. Boisz się tego, co ludzie powiedzą.

— Mam to w dupie.

— O tym, że pierzesz moją córkę też? — spytał niewinnie.

Piotr nie był pewien, co się później stało. Wściekłość przysłoniła mu możliwość logicznego myślenia. Następne wspomnienie, jakie miał, to on stojący nad ciałem Zabudy. Dyszał ciężko, a w ręce trzymał kamień, z którego skapywała krew. Skąd miał ten kamień? Rozejrzał się bezradnie. Na pomoście leżało ich kilka. Duże, dość płaskie, wędkarze czasami pomagali sobie nimi przy stabilizowaniu wędek, opartych długie godziny o balustradę. Musiał chwycić jeden z nich. Maciej leżał na deskach nieruchomo. Piotr nie sprawdzał, czy żyje. Założył, że nie, chciał tego. Wrzucił kamień do wody. Zabrał kilka innych, które znalazł w pobliżu i wypełnił nimi kieszenie płaszczka trupa. Rozejrzał się jeszcze raz, ale w okolicy nikogo nie zauważył. Woda miarowo uderzała w pale pomostu, rozbijając się z chlupotem, nic ponad to, żadnego ruchu. W oddali wyłaniały się oświetlone reflektorami ruiny grodu jako nocny punkt orientacyjny. Wyrzucił ciało do wody. Miał nadzieję, że obciążenie z kamieni pociągnie je na dno. Wtedy nie sprawdził, czy wystarczy. Zawrócił najszybciej, jak mógł. Serce waliło mu jak po bardzo długim biegu i wciąż nie opuszczało go wrażenie, że jest obserwowany. Rozglądał się, ale nadal nikogo nie dostrzegł. Pospieszenie sprawdził, czy nie został żaden ślad. Nic.

Odwrócił się i ruszył truchtem wzdłuż jeziora. Nie pomyślał o tym, że ciało Zabudy może wypłynąć tak szybko. Właściwie nie wiedział, czy o czymkolwiek wtedy myślał.

Już następnego dnia wywiązała się z tego afera. Najpierw myśleli, że pijak sam się zabił. To cieszyło Piotra, było prostym rozwiązaniem jego problemów, jednak chwilę później okazało się, że jednak dopatrzyli się działania kogoś jeszcze. Piotr był pewien, że po prostu znaleźli ślad po kamieniu. Gdyby Weronika wtedy wzięła na siebie odpowiedzialność, wszystko byłoby w porządku. Poszłaby do więzienia, a on spokojnie mógłby żyć tu wraz z żoną i synami, ale ona musiała się wyłgać.

Skoro policja była przy jego domu, w jakiś sposób wpadli na jego trop. Może rzeczywiście ktoś go widział?

Piotr wyciągnął komórkę i napisał SMS do żony.

Był poszukiwany, musieli uciekać. Nie zamierzał nawet próbować się wybronić. Czuł, że na niewiele by się to zdało, a perspektywa zamknięcia w więzieniu, nawet na krótko, przerażała

go.

Po chwili wyświetlacz ożył. Piotr spojrział na niego i uśmiechnął się. Eliza mimo wszystko nadal była mu posłuszna.

Odpalił silnik i powoli ruszył ulicą. W głowie układał plan. Najpierw pojedą w stronę Zielonej Góry. Szybka trasa, pokonają ją w trzy godziny. Zanim rozniesie się informacja o tym, że jest ścigany, będą już za granicą Polski.

Zatrzymał się w bocznej uliczce, w pobliżu parku oddzielającego rynek od jeziora. Zgasił silnik i rozejrzał się. Nigdzie nie było śladu żywej duszy, Eliza jednak powinna pojawić się lada chwila, zgodnie z tym, jak się z nią umówił.

Tak się stało. Jej cień oderwał się od mroku zabudowy. Szła powoli w stronę samochodu z rękoma w kieszeniach kurtki, z kapturem na głowie. Rozglądała się nerwowo. Sam zaczął lustrować ciemność, ale nikogo nie zauważył.

— Głupia — warknął do siebie. Jego żona uległa strachowi ze zbyt dużą łatwością.

Gdzieś z boku zaszczekał pies. Kundel rzucił się na ogrodzenie, aż zadzwoniło. Przerażona Eliza odskoczyła w bok i znieruchomiała. Piotr zaklął w duchu. Odpiął pas i wysiadł z samochodu. Ruszył w kierunku żony. Wyglądała, jakby wrosła w ziemię. Nie drgnęła, póki do niej nie podszedł.

— Rusz się, Eliza — rzucił na powitanie. — Gdzie chłopcy?

— Zostali — odparła prawie szeptem. Przez cały czas nie podnosiła głowy.

— To idź po nich, musimy szybko wyjechać. — Pchnął ją w kierunku, z którego przyszła. Zachwiała się, ale nie straciła równowagi.

— Nie.

— Jak to „nie”? Przyrowadź ich natychmiast.

— Nie.

Podniosła głowę. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Zdziwiony? Spodziewałeś się Elizy. — Weronika nie zdołała ukryć satysfakcji.

— Co ty, kurwa, robisz?

— Nie zobaczysz ani Elizy, ani chłopców.

— Zawołaj ich tu. — Przestąpił z nogi na nogę, zbliżając się nieznacznie.

— Nie.

— Teraz!

Wyskoczył do przodu. Błyskawicznym ruchem chwycił Weronikę za gardło. Unieruchomił ją. Jęknęła z bólu, dając mu tym odrobinę satysfakcji. Jej przerażony, ale nadal wściekły wzrok błędził po jego twarzy.

— I co powiesz? — szepnął jej do ucha, nie kryjąc radości. — Teraz nie jesteś już taka odważna.

Pobladała. Poluźnił odrobinę uścisk, nie chciał, żeby straciła przytomność, nie tak od razu. Stanowiła doskonałą stymulację, jej strach dawał mu radość. Weronika sapnęła, łapiąc gwałtownie powietrze.

— Policja wie, co zrobiłeś — wychrypiała.

— Dlatego muszę szybko wyjechać — odparł, zaciskając ponownie palce. — Ale nie pojedę sam, muszę zabrać rodzinę.

Zmarszczyła brwi i znów się szarpnęła. Wzmocnił uścisk. Otworzyła usta, na jej twarzy malowało się przerażenie i desperacja. Z przyjemnością patrzył, jak oczy rozszerzają się jej ze strachu.

— To już długo nie potrwa — mruknął z odrobiną smutku w głosie.

Weronika szarpnęła po raz ostatni, zbliżając się do niego. Poczul, jak bolesna fala

przeływa przez jego ciało. Nagle wszystkie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Bezwładnie wypuścił ją z uścisku. Weronika to wykorzystała, odepchnęła go od siebie i odskoczyła. Łapała powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

Piotr upadł na asfalt.

Wokół nagle zaroilo się od ludzi. Wyskakiwali z ciemności jak cienie i zbliżyli się błyskawicznie. Przydusili go do ziemi. Zanim oszołomienie minęło, ręce miał już zakute w kajdanki. Podnieśli go, ktoś mówił coś do niego, ale szum w głowie uniemożliwiał skupienie. Odwrócił głowę. Wokół Weroniki zebrał się spory tłum.

— Idziemy. — Ktoś pociągnął go za sobą i stracił ich z widoku.

Epilog

Paweł wyprostował zeszywniałe plecy i spojrzał w witrynowe okno, wychodzące na rynek. Ciepła pogoda rozpieszczająca okolicę od kilku dni i zwiastująca nadejście pełni lata, sprowadziła do Mroczyca prawdziwe tłumy turystów. Nie wszyscy byli rżadni widoku starych ruin dawnego grodu. Wielu z nich przyjechało, aby odwiedzić miejsce morderstwa, które jakiś autor kryminałów opisał w swojej powieści. Oparty na wydarzeniach z pierwszych stron gazet pomysł chwycił chyba nawet lepiej niż prawda, która była o wiele mniej ciekawa. Mroczyce miały swoje pięć minut, a rozentuzjzmowany burmistrz planował już sezonowe atrakcje w postaci zlotów miłośników kryminałów i przygody, przeplatane festiwalami historycznymi, jako że stali bywalcy grodu nadal stanowili sporą część tej fali ciekawskich.

Ostatni klient wstał od stolika i ruszył w stronę drzwi. Staruszek poruszał się tak wolno, że Paweł zastanawiał się, czy mu nie pomóc. Udało się jednak, mężczyzna odwrócił się, grzecznie uchylił sfatygowany kapelusz i uśmiechnął się na pożegnanie. Paweł odwzajemnił uśmiech. Dzwonek zawieszony nad drzwiami odezwał się wesoło, ożywiając pomieszczenie.

— Jutro przyjdę dopiero po dwunastej, poradzisz sobie? — Krzysiek wyszedł z kuchni i zaczął zbierać puste koszyki po pieczywie.

— Tak.

— Powinieneś sobie zrobić jakiś dzień wolnego — poradził chłopak, patrząc na zmęczoną twarz Pawła.

— Nie chcę.

— To nie jest kwestia chęci. — Zbliżył się, odstawiając pojemniki na ladę. — Po prostu marnie wyglądasz.

— Czyli wyglądam tak, jak się czuję, ale wolę pracować.

— To ponad miesiąc, nie możesz przestać o niej myśleć?

Paweł odwrócił się do chłopaka. Popatrzył na niego spokojnie.

— A ty byś przestał?

Jego spojrzenie mimowolnie powędrowało do zdjęcia zawieszzonego nad ladą. Dwoje dzieci uśmiechało się z niego niezmiennie. Krzysiek odwrócił się w tym samym kierunku. Westchnął ciężko i zabrał koszyki.

— Zdejmij wreszcie to zdjęcie.

— Nie chcę.

Dzwonek nad wejściem odezwał się ponownie. Paweł odwrócił się zaskoczony. Zapomniał, że nie przekreślił zamka.

— Cześć, mogę jeszcze?

— Eliza, cześć.

Kobieta podeszła powoli do lady. Od pamiętnej nocy aresztowania jej męża minął ponad miesiąc. W tym czasie Eliza zmieniła się nie tylko fizycznie. Prócz tego, że ścięła długie rozjaśniane włosy na rzecz o wiele krótszej fryzury, to po Mroczycach niosła się wieść, że z pomocą Sławka Wiśniewskiego-Pałaj chciała sprzedać firmy męża, gdy tylko uzyska do tego prawo. Na razie pracowała jak szalona w swoim zakładzie kosmetycznym, chcąc w ten sposób utrzymać siebie i dwóch synów. Okazało się, że jest o wiele silniejsza, niż początkowo sądził Paweł. Eliza postanowiła też nie sprzedawać domu po matce.

— Sorry, że to tylko ja.

— Odezwała się?

Eliza pokręciła przecząco głową.

— Przyszłam po zamówienie — zwróciła się do Krzyska, który wyszedł zrobić drugą rundę po sali.

— Już przynoszę. — Chłopak cofnął się na zaplecze.

— Odpuść sobie — poradziła. — Wera nie chciała tu wrócić, może więc lepiej, jak jej nie ma?

Paweł posłał jej zimne spojrzenie, na które odpowiedziała ponownym wzruszeniem ramion. Rozpromieniła się na widok Krzyska wychodzącego z zaplecza ze sporej wielkości kartonem.

— Dziękuję.

Eliza bez słowa odwróciła się i zniknęła za drzwiami piekarni.

— Widzisz? — zwrócił się Krzysiek do Pawła, wskazując na drzwi. — Bierz z niej przykład.

— Idź już do domu, ja posprzątam.

Krzysiek zawahał się. Widząc tę reakcję, Paweł uśmiechnął się i wyszedł z za lady. Popchnął chłopaka w stronę drzwi.

— Dalej.

— No dobra, ale nie zapomnij tylko o potykaczu, w zeszłym tygodniu zapomniałeś i dzieciaki go zwinęły. — Dał się szybko przekonać.

Pomimo zakończenia egzaminów, Krzysiek miał coraz mniej czasu, odkąd nowa miłość pojawiła się na horyzoncie. Jakaś część chłopaka walczyła z kuszącą perspektywą wyjścia wcześniej z pracy i spotkania się z dziewczyną na rzecz męskiej solidarności.

Paweł życzył mu jak najlepiej i jeśli wyjście wcześniej miało sprawić im obojgu taką przyjemność, to z chęcią się go pozbywał. Poza tym, ostatnio lubił być sam.

Krzysiek zniknął za drzwiami. Paweł zamknął sklep i zabrał się za sprzątnie.

Tamta noc, jak i cały tydzień zdawały się co najwyżej sennym wspomnieniem. Aresztowanie Piotra udało się rzutem na taśmę. Postanowili działać sami, zanim zawiadomiona przez Sławka policja dotrze na miejsce. Weronika miała tylko grać na zwłokę. Nie chciała puścić Elizy, która ze strachu i tak ledwie trzymała się na nogach.

Kiedy wszystko ucichło, wrócili do domu. Sławek odwiózł Elizę i jej synów do Dębinki. Paweł został sam z Weroniką.

Zdawało mu się, że są zbyt zmęczeni, by chociaż porozmawiać. Weronika miała jednak inne plany. Teraz, z perspektywy czasu, uznał to za formę pożegnania.

Następnego dnia, gdy się obudził, kobiety nie było. Krzysiek, który siedział w kuchni, nie potrafił nawet powiedzieć, czy wychodziła. Przeszukał mieszkanie, okolicę. Był u Hani, pojechał też do Elizy. Nie znalazł jej nigdzie. Od początku czuł, że szczęście nie może trwać wiecznie, ale nie potrafił pogodzić się z końcem tego romansu. Wrócił do domu załamany.

Weronika ponownie zniknęła z jego świata bez słowa.

Postanowił, że tym razem się nie podda. Szukał jej na wszystkie możliwe, znane sobie sposoby, próbował dowiedzieć się czegoś od Elizy, bo przez cały czas miał wrażenie, że siostra Weroniki wie więcej, niż chce powiedzieć. Uważał, że jest zbyt spokojna.

Nie osiągnął nic. Weronika jakby rozplynęła się w powietrzu.

Zamiótł spokojnie salę. Oczyszczył wiklinowe koszyki i poustawiał wedle wielkości, aby mieć do nich dostęp, jak będzie wyciągał pieczywo. Ogarnął kuchnię krytycznym okiem. Krzysiek nie skończył sprzątnania, więc wyczyścił blachy i blaty zgodnie z zasadą, że im więcej zrobi teraz, tym później będzie mógł zacząć pracę w nocy. Odetchnął głęboko, patrząc na przygotowaną kuchnię. Kiedyś to wszystko było jego marzeniem. Ostatnimi czasy jednak częściej miał ochotę uciec stąd jak najdalej. Wszystko przypominało mu o Weronice. Krótka

wizyta wystarczyła, aby odnowić wspomnienia, które teraz ochoczo wyzierały z każdego kąta.

Idąc na schody, zgasił światło. Dopiero w połowie drogi przypomniał sobie o potykaczu.

Zawrócił i zbiegł na dół. Zapalił światło w kuchni i przeszedł przez salę do drzwi. Otworzył je gwałtownie, wściekły sam na siebie za słabą pamięć.

Potykaç był na miejscu. Chwycił go, chcąc wnieść do środka. Coś na granicy pola widzenia przykuło jego uwagę. Serce zabiło mocniej. Spojrzał w stronę rynku. Weronika zbliżała się przez plac, oświetlana miękkimi promieniami zachodzącego słońca. W jednej ręce trzymała rączkę dużej walizki podróżnej, która turkotała na betonowych płytach rynku, w drugiej trzymała za rękę dziewczynkę o jasnych włosach. Na oko miała mogła mieć dziesięć lat, nie więcej. Kogoś mu przypominała, ale w pierwszej chwili nie potrafił skojarzyć kogo.

Kobieta spostrzegła, że Paweł stoi i jej się przygląda. Odrobinę zwolniła na ostatnich metrach. W końcu stanęła przed piekarnią, tak samo jak stała ponad miesiąc wcześniej. Paweł czuł suchość w ustach. Serce waliło mu tak mocno, że nie słyszał własnych myśli. Weronika uśmiechnęła się nieśmiało. Nerwowo odwzajemnił gest. Czuł, że jeśli nie odezwie się za chwilę, to może już nigdy nie będzie miał okazji.

Dziewczynka u boku Weroniki spoglądała to na matkę, to na Pawła, z ciekawością, jakby na coś czekała. W końcu zmarszczyła brwi, posyłając matce karcące spojrzenie i utkwiała wzrok tylko w Pawle. Miała niebieskie oczy niczym niebo w jasny dzień i, jak stwierdził za chwilę, o wiele więcej odwagi niż on.

— Cześć — rzuciła.

Spis treści

	Prolog	1	2	3	4	5	6	7	8							
9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	Epilog

